

MINKA KENT

THRILLER PSYCHOLOGICZNY Z ZASKAKUJĄCYM ZAKOŃCZENIEM!



ZŁE MIEJSCE

PIĘKNI LUDZIE SKRYWAJĄ NAJBRZYDSZE SEKRETY...

FILIA

MINKA KENT

**ZŁE
MIEJSCE**

Przełożyła
Kinga Markiewicz

FILIA

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[Podziękowania](#)

[O autorce](#)

[Reklama](#)

[Karta redakcyjna](#)

Dla moich skarbów. I mojego ukochanego.

1

Wren

Sześćdziesiąt trzy dni – tyle czasu minęło, odkąd mama wyszła z domu. Przesuwam kredą, nierównym znakiem „X” skreślając w naszym kalendarzu dwudziesty pierwszy listopada.

W przyszły czwartek Evie skończy dziewięć lat – gdziekolwiek teraz jest.

Oczami wyobraźni widzę jej krzywy uśmiech, złote kędziory i kościste kolana. Uśmiecham się w duchu, ale tylko przez chwilę.

Gdy ma się skostniałe z zimna palce, boleśnie skręcony z głodu żołądek i powieki tak ciężkie, że ledwo widzi się na oczy, uśmiechanie się kosztuje mnóstwo wysiłku.

Ostatnio Sage zaczęła bawić się lalką, którą uszyłam na urodziny dla Evie, choć mając osiemnaście lat, jest na to o wiele za duża. Chyba znajduje pocieszenie w świadomości, że może coś trzymać w ramionach i kołysać, tak samo jak mama trzymała i kołysała ją.

Ja nie potrzebuję pocieszenia.

Ja chcę przetrwać.

W chacie co wieczór robi się zimniej. Budzimy się na zmiany, by rozpalić ogień. Wczoraj Sage o tym zapomniała, więc obudziłam się, trzęsąc się tak mocno, że ledwie byłam w stanie wstać z łóżka. Gdy w końcu znalazłam w ciemności zapałki, wydychane przeze mnie powietrze zmieniło się w kłęby pary.

Nigdy wcześniej nie doświadczyłam uczucia tak dotkliwego zimna. Przeniknęło mnie najgłębiej, jak się dało. Myślałam, że popękają mi kości.

Za oknem wyje wiatr. Sage przygotowuje śniadanie, smażąc jajka nad

trzaskającym ogniem. Pozszywana z gałganków lalka siedzi na jej krześle, patrząc na wszystko martwymi oczami z guzików i czekając.

To jedyne, co ostatnio robimy... czekamy.

Tymczasem nasze zapasy się kurczą, a ja przewiduję, że za kilka tygodni zacznie się sroga zima. Kaczki i gęsi odleciały na południe szybciej niż zwykle, a pająki wdzierają się do chaty całymi stadami, by tkać ogromne pajęczyny, co mama zawsze uważała za pewny zwiastun zimy.

W ciągu ubiegłego miesiąca straciłyśmy pięć z ośmiu kur. Nie wiemy jak ani dlaczego. Gdyby mama tu była, na pewno by wiedziała. Każdego ranka, gdy zachodzimy do kurnika, boję się, że znajdę kolejną, leżącą na boku, nieżywą kurę, dziobaną przez swoje towarzyszki. Nie chcę nawet myśleć, co by było, gdybyśmy straciły pozostałe trzy.

Ciekawe, czy one też są chore, tak jak Evie.

Ciekawe, czy Evie nadal jest chora...

Zakładam, że tak, bo nie miałyśmy żadnych wieści od mamy po tym, jak obie opuściły chatę w środku nocy, by sprowadzić pomoc dla Evie, która miała wysoką gorączkę i z trudem oddychała. W piersi rzeziło jej tak, jakby ktoś wrzucił do blaszanej puszki garść kamyków. Nigdy nie zapomnę spojrzenia mamy, gdy zawinęła naszą najmłodszą siostrzyczkę w wełniane koce i spakowała małą torbę. Przysięgam, że nadal je widzę, jasno i wyraźnie, za każdym razem, gdy zamykam oczy.

Mama nigdy nie ulegała panice, ale tamtej nocy była naprawdę wystraszona.

Jej ostatnie słowa brzmiały: „Dziewczynki, nie otwierajcie *nikomu* drzwi. Zrozumiano?”.

Usta miała blade i zaciśnięte, a oczy rozbiegane, gdy trzymała w ramionach moją bezwładną siostrę. Chwilę później ruszyła przed siebie piechotą, by zniknąć w lesie Stillwater otaczającym nasze domostwo. Wraz ze zwiększającą się odległością jasna sukienka mamy stawała się coraz ciemniejsza. Obserwowałam to z walącym w piersi sercem. Zamknęłam drzwi, gdy straciłam obie z pola widzenia.

Powinny były tu wrócić już dawno.

2

Nicolette

Rozpaczliwie potrzebuję plastra z opatrunkiem dla swojego małżeństwa.

Tyle że takie plastry nie nadają się do opatrywania ziejących ran.

Są przeznaczone do płytkich skaleczeń i małych zadrapań, oberwanych skórek wokół paznokci i do wykorzystania wtedy, gdy zatniesz się w palec o kartkę – przydatne do niewielkich obrażeń, które błyskawicznie się goją. Nasze małżeństwo to rana cięta o poszarpanych brzegach. Wszystkie dobre rzeczy – których potrzebujemy do przetrwania naszego związku i które czynią nas ludźmi takimi, jakimi jesteśmy – wypływają z niej strumieniem, a żadne z nas nie ma pod ręką opaski uciskowej.

Nie mam pojęcia, jak powstrzymać to krwawienie.

Wiem jedynie, że muszę spróbować... bo go tracę.

– Powiedzieli, że możemy wyznaczyć domową wizytę pracownika socjalnego, kiedy tylko nam pasuje. – Stoję przy kuchence, podsmażając czosnek z jarmużem na patelni Le Creuset, a mój mąż siedzi przy kuchennym stole i podnosi wzrok znad laptopa, gdy mówię: – To nie potrwa długo. Dzięki temu otrzymamy pozwolenie na adopcję w stanie Nowy Jork.

Brant poprawia okulary w drucianych oprawkach, przesuwając je w górę po grzbiecie swojego prostego nosa. Czekam na uśmiech albo jakieś potwierdzenie z jego strony, że ta wiadomość go cieszy, ale na próżno.

– Powiedzieli, że gdy już uzyskamy pozytywną opinię, może minąć nawet rok, aż zostaniemy wpisani na listę rodzin zastępczych – dodaję, ignorując poczucie winy, które wzbiera we mnie za każdym razem, gdy wyczuwam brak zainteresowania ze strony mojego męża. – Czasami udaje się od razu.

Nigdy nic nie wiadomo.

Brant z powrotem wbija wzrok w ekran, zajęty edytowaniem zdjęć do zbliżającej się wystawy. Muzeum Sztuki Współczesnej Bellhaus na Manhattanie postanowiło, że przez następne cztery miesiące będzie prezentowało jego dzieła. I chociaż życiowym marzeniem Branta było, aby jego prace uhonorowała światowej sławy instytucja kulturalna, to od chwili, w której otrzymał tę radosną nowinę, chodzi podminowany.

Drewnianą łyżką przekładam duszony jarmuż z lekko zbrązowiałymi kawałkami czosnku na półmisek i wycieram ręce w fartuch, sprawdzając dopiekającego się kurczaka.

– Wyobrażasz sobie, że pewnego dnia będą tu biegać dzieci? – pytam, delikatnie śmiejąc się pod nosem.

Bo ja tak.

Wyobrażałam to sobie tysiące razy. Może więcej.

Tak to już jest, gdy mając dwadzieścia dwa lata, poznajesz mężczyznę swoich marzeń, wychodzisz za niego, przekładasz założenie rodziny na później, by móc podróżować z nim po świecie, gdy fotografuje jego najpiękniejsze zakątki, a potem czujesz, jak tracisz przytomność, leżąc na stole operacyjnym i czekając na natychmiastową operację usunięcia macicy. W wieku zaledwie dwudziestu pięciu lat.

– Nie potrzebuję nikogo prócz ciebie, Nick. Nigdy tak nie było i nigdy nie będzie – powiedział mi tamtego ranka Brant, gdy odwozili mnie na wózku. Złapał moją dłoń i przycisnął usta do palców, nie spuszczając ze mnie wzroku, aż w końcu poczułam, jak moje ciało się odpręża, skąpane w ciepłe i zapewnieniach męża. To jedyna rzecz, którą zapamiętałam. Reszta jest mglista i zamazana. Wspomnienia wyblakły po latach usilnych starań o to, by zapomnieć, że zostałam brutalnie pozbawiona danej mi przez Boga kobiecości. Nie miałam w tej kwestii żadnego wyboru.

Okazuje się jednak, że pozbawienie kobiety zdolności do posiadania dzieci ani trochę nie tłumi jej instynktu macierzyńskiego. W najgorszym wypadku wygląda to tak, że nie można się owego pragnienia wyprzeć, choć spełnienie tego snu znajduje się kompletnie poza zasięgiem, na najwyższej półce, a w pobliżu próżno szukać jakiegokolwiek drabiny.

A skoro już mowa o snach, wczoraj znów miałam sen o dziecku – ten,

w którym chodzę z wózkiem po parku w piękny, jesienny dzień, a kiedy patrzę w dół, okazuje się, że wózek jest pusty.

Zawsze jest pusty.

Za każdym razem budzę się dokładnie w tym samym momencie, oblana zimnym potem, czując, jakbym miała w piersi ziejącą dziurę. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to tylko sen.

Nie ma żadnego dziecka. Nigdy go nie było.

Moja podświadomość to okrutna, tchórzliwa suka, która daje o sobie znać tylko wtedy, gdy nie umiem z nią walczyć.

Rozumiem to.

Wypełnia mnie pustka.

Pragnę czegoś, czego nie mogę mieć.

– Dopracowywałeś te zdjęcia chyba ze sto razy – mówię, wyjmując kurczaka z supernowoczesnego piekarnika w naszej supernowoczesnej kuchni, którą sprawiliśmy sobie dwa lata temu w ramach gwiazdkowego prezentu. Takimi rzeczami ekscytują się ludzie, którzy nie mają dzieci. Oddałabym wszystko, by choć raz móc wytrzeć lepkie odciski drobnych palców z tych wszystkich powierzchni ze stali nierdzewnej.

Brant zbywa moją uwagę.

Ignoruję bolesne ukłucie towarzyszące świadomości, że jestem na drugim miejscu w jego życiu, tuż za pracą.

Zawsze tak było. Raz gorzej, raz lepiej, ale jeszcze nigdy tak źle, jak w ciągu kilku ostatnich lat. Czasami z tego powodu ogarnia mnie irracjonalna zazdrość, tak jakby praca była kochanką, która daje mu wszystko, czego tylko zapagnie, przez co czuję się wybrakowana i niepewna siebie. A przecież nigdy taka nie byłam.

Brant twierdzi, że stale musi uganiać się za swoją muzą.

Czasami to ja nią jestem.

A czasami nie.

Po prostu tęsknię za wspólnie spędzonym z nim czasem, za jego świadomą obecnością. Za śmiechem. Czułością. Uwielbieniem. Za wszystkimi dobrymi rzeczami, które tak bardzo kochałam, bez cienia zwątpienia.

Tęsknię za *nami*.

Wykładam jedzenie na jego talerz i zanoszę obiad na stół, siadając obok niego. Brant z nieskrywaną niechęcią zamyka laptop i odsuwa go na bok.

– Przepraszam cię, Nick. – Dotyka mojej dłoni. Nasze spojrzenia spotykają się, gdy Brant powoli wypuszcza powietrze z płuc. – Wystawa w Bellhaus to jedna z najlepszych rzeczy, jakie kiedykolwiek przytrafiły mi się w życiu, ale sprawia, że zamieniam się w egoistycznego dupka.

Podnosi grzbiet mojej dłoni do ust, patrząc mi w oczy.

Rozkoszuję się nieoczekiwanym przebłyskiem zrozumienia z jego strony, które otula mnie niczym ciepły koc. Brant rozumie. W końcu to rozumie, po raz pierwszy od wielu lat.

– Nie jestem w stanie wyobrazić sobie ogromu presji, która na tobie spoczywa – mówię, pełna współczucia. To część mnie, której nie potrafię całkowicie wyłączyć. – Powiedz, co mogę zrobić, żeby ci pomóc.

Wyhodowałam tego potwora z biegiem lat, wszystko rozumiejąc i wiecznie wspierając, bez dopuszczania do siebie jakichkolwiek wątpliwości, ale człowiek robi tak, kiedy kogoś kocha. Kiedy przyrzekł poświęcić całe swoje życie drugiej osobie, bez względu na to, co przyniesie los.

Jego szczęście jest moim szczęściem, i vice versa.

A przynajmniej tak właśnie było. Do niedawna.

Brant puszcza moją dłoń i wyjmuje widelec ze złożonej serwetki.

– Jeśli chodzi o tę adopcję...

Żołądek wywraca mi się na drugą stronę. Brant nigdy nie należał do mężczyzn, którzy pragnęli mieć dzieci. Od samego początku naszej znajomości wyznawał zasadę „wóz albo przewóz” – za każdym razem sugerując, że decyzja należała do mnie.

Po histerektomii zainteresowaliśmy się adopcją, ale powiedziano nam, że adoptowanie zdrowego noworodka może potrwać nawet dziesięć lat albo dłużej, więc wstrzymaliśmy się z podjęciem decyzji, przekonując się wzajemnie, że życie we dwojkę nam wystarcza. Utwierdzaliśmy się w tym postanowieniu na każdy możliwy sposób.

– Może to jakiś znak – powiedział wtedy Brant. – Nie każdy jest stworzony do bycia rodzicem.

Pogodził się z tą decyzją, zatapiając się w pracy, przyjmując więcej

zagranicznych zleceń i podróżując ze mną, kiedy tylko się dało. Zwiedzanie świata i ucieczka przed naszą rzeczywistością sprawiły, że przestałam myśleć o będącej następstwem naszej decyzji pustce – ale tylko tymczasowo.

W końcu uczucie pustki powróciło z dziesięciokrotnie większą mocą. Pogarszało się zawsze wtedy, gdy na zewnątrz robiło się coraz zimniej. Może to ogołoczone z liści drzewa rosnące w lesie za naszym domem wywołują u mnie tę reakcję. O tej porze roku sprawiają wrażenie pustych i martwych – zupełnie jak moje nieistniejące łono.

Staram się nie myśleć o tym, że mogliśmy mieć dziecko, ale zaprzepaściliśmy swoją szansę i pozwoliliśmy się wpisać na listę oczekujących.

To wszystko przez strach. Strach sprawia, że zaczynasz kwestionować to, czego chcesz, i to, co wydaje ci się, że chcesz.

– Nie cierpię nie wiedzieć, czego mogę się spodziewać, kiedy uzyskamy odpowiednią zgodę, i całej tej reszty – mówię – ale to całkiem ekscytujące, nie sądzisz? Jak mała przygoda.

– Za bardzo idealizujesz – kwituje Brant łagodnym, ale stanowczym głosem, tak jak dziesiątki razy wcześniej. – Martwię się, że za bardzo się przywiążesz i nie wyniknie z tego nic dobrego.

– A ja z kolei martwię się, że gdzieś tam jest jakieś dziecko, które nas potrzebuje – dodaję. – To zmartwienie przebija twoje.

Puszczam mu oko, żeby załagodzić sytuację i poprawić nam humor.

Brant uśmiecha się, przeżuwał z zamkniętymi ustami, ale w kącikach jego oczu pojawiają się zmarszczki, gdy mruży oczy i pogrąża we własnych myślach. Spędziłam z nim większą część całego mojego dorosłego życia, więc domyślałam się, co mu chodzi po głowie.

Dasz radę zostać sama w domu z dzieckiem, kiedy ja będę podróżował?

Będziesz tęsknić za zwiedzaniem świata tylko we dwójkę?

Czy rozumiesz, z czego będziesz musiała zrezygnować, aby osiągnąć swój cel?

Co, jeśli nie będziemy w stanie stworzyć więzi z dzieckiem?

Co, jeśli dziecko będzie miało problemy, z których rozwiązaniem nie będziemy umieli sobie poradzić?

Gdyby zapytał mnie teraz o te rzeczy, tak jak zdarzało mu się to robić w przeszłości, podałabym mu tę samą, niezmienną odpowiedź: martwienie się zostaw mnie.

Za każdym razem, gdy przydarza mi się nieprzespana noc – co ostatnio dzieje się o wiele za często, odkąd Brant zamyka się w gabinecie i przesiaduje w nim aż do białego rana, kończąc najnowszy projekt dla „Vanity Fair” – poświęcam ten czas na wałkowanie w myślach każdego możliwego scenariusza.

Mój mąż wraca do przerwane go posiłku, znów zamykając się w swojej skorupie introwertyka, a ja myślę o rzeczy, o której starałam się nie myśleć od chwili, kiedy natknęłam się na nią w jego szufladzie ze skarpetkami.

Potrzebujemy opaski uciskowej, i to natychmiast, bo inaczej go stracę.

3

Wren

Zrobiłabym wszystko, aby tylko móc umieć cieszyć się prostymi rzeczami, tak jak Sage. Bez przerwy burczy mi w brzuchu, głowa pulsuje z bólu, a Sage ani myśli przestać śpiewać.

Mało brakuje, żebym krzyknęła na jedyną osobę, na której życie mam teraz jakikolwiek wpływ, ale odpycham od siebie tę myśl i podchodzę do małego okna w kuchni. Wyglądam przez kraciaste zasłony w stronę lasu, tak jak wiele razy przedtem. Tli się we mnie iskierka nadziei, że mama i Evie wyjdą spomiędzy drzew, biegnąc w stronę domu ze zmęczonymi uśmiechami na twarzach, nareszcie wróciwszy z niebezpiecznej wyprawy.

Leżąc w łóżku, co noc wyobrażam sobie ich powrót i budzę się ze śladami łez na poduszkach. Nigdy nie lubiłam się nad sobą rozczulać, w przeciwieństwie do Sage, ale ostatnio moja cierpliwość bywa na granicy wyczerpania jeszcze przed upływem wieczora.

Nie tylko ona się kończy.

Moja nadzieja również.

Moje ciało niknie w oczach.

Nasze zapasy się kurczą.

To życie powoli dobiega końca.

Wszystko po prostu... rozpada się w nicość.

Niedługo nie zostanie po nas żaden ślad.

Myśl o zamarznieniu i zagłodzeniu się na śmierć z młodszą, naiwną siostrą u boku sprawia, że żołądek zaciska mi się w supeł. Jednak sama wzmianka o opuszczeniu domostwa i wyjściu poza las przyprawia mnie

o bolesne kołatanie serca.

Nie wolno nam przekraczać granicy lasu. Nawet gdybyśmy wyruszyły w tamtą stronę, nie wiedziałybyśmy, dokąd iść. Pewnie padłybyśmy łupem wygłodniałego kojota.

Skoro mam umrzeć, to wolę, aby doszło do tego tutaj, obok pocerniałego od sadzy kominka, który zapewniał nam ciepło, na którym gotowałyśmy posiłki i przy którym słuchałyśmy niezliczonych opowieści mamy. Wolę umrzeć w otoczeniu zniszczonych książek, szkicowników i kolekcji lalek, które uszyłam na przestrzeni lat dla młodszych sióstr. Wolę odejść zawinięta w jedną ze starych sukien mamy, wdychając zapach jej lawendowego mydła z koziego mleka, zamiast leżeć na ziemnym grobie, pokryta połamanymi gałązkami i opadłymi liśćmi.

– Sage, przestań już.

Dźwięk mojego głosu zaskakuje ją do tego stopnia, że milknie. Może powinnam pozwolić jej śpiewać. Może ta prosta czynność napełnia ją choć odrobiną radości, którą potrafi z siebie wykrzesać, ale właśnie zapadł zmrok. Im szybciej pójdziemy spać, tym szybciej wyrwiemy się z tej niekończącej się rutyny i w końcu przestaniemy być takie głodne, zmęczone i samotne.

Podchodzę do drzwi, upewniam się, że zasowa jest zamknięta, i zaciągam zasłony w małym oknie, tak jak zawsze o zachodzie słońca.

„Nocą dzieją się złe rzeczy”, ostrzegала nas mama. „Ludzie z większą śmiałością robią to, na co nie odważyliby się w biały dzień”.

Nigdy nie mówiła, o jakie dokładnie rzeczy chodziło. Nie chciałam wiedzieć – mogłam to sobie jedynie wyobrazić.

„Świat to złe miejsce, moje skarby”, mówiła wieczorami, odgarniając nam włosy z czoł i całując w pulchne, pachnące mydłem policzki. „Tutaj jesteście bezpieczne. Przy mnie. Nigdy nie pozwolę, aby stało się wam coś złego”.

Ogień na kominku trzeszczy, a pogrążona w milczeniu Sage buja się w fotelu ze szmacianą lalką wciśniętą pod pachę, pochylając się w przygaszonym świetle nad kawałkiem układanki.

Przebieram się za drzwiami szafy stojącej w rogu izby. Moja sukienka opada na podłogę. Zakładam przez głowę i obciążam przez kościste biodra jedną ze starych koszul nocnych mamy, czując, jak rąbek z koronki

łaskocze mnie w stopy. Wsuwam dłonie pod gęstą kurtynę włosów i związuję je nisko na karku, po czym podchodzę do miski, aby się obmyć.

Obok miski z wodą stoi stary ozdobny słój ze szczoteczkami do zębów. Wyjmuję z niego swoją – w jaskrawym odcieniu neonowej zieleni. Zawsze wydawało mi się zabawne, że wszystko wokół nas jest białe, kremowe, brązowe albo szare – cudownie nieciekawe i monotonne – ale szczoteczki są urzekająco kolorowe, niczym pudełko woskowych, wielobarwnych kredek, które mama podarowała Evie na piąte urodziny.

Pan – mężczyzna, z którym mama widuje się co kilka miesięcy, by uzupełnić nasze zapasy – kupił je dla niej. Nie powiedziała, skąd dokładnie je wziął, ale wspomniała o istnieniu sklepów i miejsc, w których sprzedają podobne towary, tak jak istnieją miejsca, gdzie sprzedają paszę, którą dajemy później naszym kurom i kozom, oraz materiały i nici, z których szyjemy ubrania.

Któregoś razu spytałam mamę, czy zabrałaby mnie do sklepu, żebym mogła wybrać nowy krój sukienki albo materiał, który nie jest pokryty wzorkiem z drobnych kwiatków, ale oczy zaczęły jej łzawić. W odpowiedzi kazała mi obrać ziemniaki na obiad, nucąc pod nosem *Simple gifts*.

Kochałam mamę zbyt mocno, żeby ją denerwować. Szanowałam ją tak bardzo, że nigdy więcej nie poruszyłam tego tematu.

Trzymając w dłoniach koszulę nocną, siadam w ciepłe płomieni paleniska, obok swojej milczącej siostry, i podsycam przygasający ogień. Dorzucam trzy polana, co powinno nam wystarczyć na parę kolejnych godzin, po czym podbiegam na bosaka do mojego stojącego w rogu łóżka i zakładam parę najcieplejszych wełnianych skarpet.

– Powinnaś się umyć – mówię, wślizgując się pod ulubiony pled mamy.

Ziewając, Sage sięga po kolejny element układanki.

– Nie jestem zmęczona.

– Akurat. – Przewracam oczami. – W porządku, jak sobie chcesz.

Sage dokłada następny element puzzli, po czym wzdycha głęboko.

– One już tu nie wrócą, prawda?

Siadam na łóżku, przyciągając pościel do pasa i zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Ile czasu już minęło, Wren? – pyta.

Teoretycznie nie powinno mnie dziwić, że tylko ja zajmuję się liczeniem dni. Jednak Sage prawie nigdy nie wie, jaki mamy miesiąc, więc dlaczego miałyby to robić? Zawsze to ja pilnowałam kalendarza. Jej jedynymi obowiązkami było zmywanie naczyń po obiedzie, zbieranie jajek i wykręcanie się z całej reszty nieśmiałym uśmiechem.

– Sporo.

Nie mówię jej, że minęły siedemdziesiąt trzy dni, włącznie z dzisiejszym.

– Nie wydaje ci się, że mama już dawno by kogoś po nas przysłała? – Odwraca się do mnie, przyciskając do piersi tę nedorzeczną lalkę szmaciankę, jak mała dziewczynka.

– Nikogo tu wcześniej nie było. Niby kogo miałyby przysłać?

Sage wzrusza kościstym ramieniem. Ciemne, proste jak drut włosy opadają jej na wystające obojczyki.

– Nie wiem... Pana?

– Skąd miałyby wiedzieć, jak nas znaleźć?

W ciągu ostatnich tygodni sama zadawałam sobie to pytanie, stale dochodząc do jednego wniosku: mama zawsze dbała o to, by nikt nie dowiedział się, gdzie mieszkamy. Za każdym razem, kiedy wychodziła na spotkanie z Panem, nie było jej przez co najmniej osiem godzin albo i więcej. Przywoziła wszystko w dwóch czerwonych wózkach i nigdy nie pozwalała sobie pomóc. Sage nie była wystarczająco silna, by odbyć tę podróż, a ja musiałam zostać w domu i pilnować Evie. Poza tym chodzenie po zmroku po lesie nie było bezpieczne dla młodych dziewcząt.

W lesie mogłyśmy napotkać zbyt wiele niebezpieczeństw: ludzi z bronią, chore na wściekliznę zwierzęta i tym podobne. Choć w ciągu niemal dwudziestu lat życia nie widziałam ani jednej z tych rzeczy.

Sage nie odpowiada, kołysząc swoją lalkę i przyglądając się, jak jęzory ognia strzelają na palenisku. Kładę się na plecach, przykrywając po samą szyję. Przewracam się na bok i zamykam zmęczone, ociężałe powieki.

– Myślisz, że coś im się stało? – pyta Sage, gdy już prawie zasypiam.

Marszczę brwi, nie otwierając oczu.

– Sage, kładź się spać. Proszę. Porozmawiamy rano.

W niedużej chacie rozlega się skrzypienie bujanego fotela, po którym daje się słyszeć ciche stuknięcie, gdy szmacianka lalka upada na podłogę.

– Muszę skorzystać z wychodka – oznajmia piskliwym głosem, bo wie, że za długo zwlekała.

Przewrócenie się na drugi bok kosztuje mnie resztki energii, którą w sobie miałam. Gdy udaje mi się otworzyć oczy, zauważam stojącą przed moim łóżkiem Sage, z twarzą wykrzywioną w grymasie desperacji.

– Zamknęłam już drzwi na noc. Nie mogłaś pójść wcześniej?

– Ja *naprawdę* muszę wyjść. – Przygryza dolną wargę, podskakując w miejscu i trzymając się za swoje części intymne przez materiał sukienki.

– Zaraz się posikam.

Zrzucam pościel na bok i gramolę się z łóżka. Odkąd tylko sięgam pamięcią, Sage miała kłopoty z pęcherzem. Gdy była młodsza, zbyt długo ignorowała swoje potrzeby fizjologiczne, a potem płakała za każdym razem, gdy musiała się wysiusiać. Mówiła, że strasznie ją piecze, przez co wstrzymywała mocz jeszcze dłużej. Od tamtej pory mama zaczęła zamawiać u Pana antybiotyki w tabletkach.

Które skończyły się nam w zeszłym miesiącu.

Biorę ją za rękę, zdejmuję nasze kurtki z haczyków przy drzwiach i zapalam lampę naftową. Wyglądam przez okno i odsuwam zasuwę. Pod osłoną nocy wybiegamy z domu, mijając po drodze zagrodę dla kóz, kurnik i szopę ogrodową, by w końcu dotrzeć do przechylonego w jedną stronę wychodka znajdującego się na skraju naszego gospodarstwa.

– Pośpiesz się – nakazuję jej, łapiąc drzwi, które otworzyła jednym szarpnięciem.

Obejmuję się ramionami w pasie, próbując zachować choć odrobinę ciepła, podczas gdy lodowate powietrze wgryza się w mój płaszcz i cienki materiał koszuli nocnej. Dzwoniąc zębami z zimna, pytam, czy już skończyła.

– Prawie! – woła Sage.

Przechodząc do południowej ściany wychodka w nadziei na osłonięcie się przed okrutnym, północnym wiatrem, zerkam w stronę ciemnego lasu Stillwater, ku niewielkiej polanie, gdzie mama i Evie zniknęły siedemdziesiąt trzy dni temu.

Gdybym wiedziała, że widzę je wtedy po raz ostatni, powiedziałabym im jeszcze raz, że je kocham. Ucałowałabym pulchne paluszki Evie i uściskała

mamę tak mocno, że musiałyby mnie od siebie odkleić, żeby móc normalnie oddychać.

Podziękowałabym mamie za wszystko. Za ochronę przed niebezpieczeństwami świata zewnętrznego. Za ciepłe posiłki i ubrania, za dach nad głową chroniący przed zimnem. Za radosne piosenki i piękne kołysanki. Za karmiące moją wyobraźnię książki, pozwalające na ucieczkę do innego świata w trakcie dłużących się, letnich dni. Za jej opowieści o swoim pięknym dzieciństwie, gdy świat był lepszym, bezpieczniejszym miejscem. Za historie o wszystkich członkach rodziny, których nie mogliśmy poznać, bo świat zewnętrzny stał się chciwym i zimnym miejscem.

Ale przede wszystkim podziękowałabym jej za bezinteresowną miłość.

Drzwi wychodka otwierają się ze skrzypnięciem. Po chwili trafia w nie podmuch wiatru, uderzając nimi z hukiem o ścianę niewielkiego budynku.

– Wren? – woła Sage.

– Tutaj. – Odsuwam się od południowej ściany i biorę siostrę za rękę. Wracamy w stronę domu, a za przewodnika mamy ciepły blask ognia widocznego w oknie. – Lepiej ci?

Sage przytakuje.

– Pójdiesz teraz do łóżka? – pytam.

Kolejne kiwnięcie głową.

– Obiecuję, że rano porozmawiamy – dodaję, gdy jesteśmy w połowie drogi do drzwi. Nie bardzo wiem, co mam powiedzieć, żeby złagodzić jej niepokój, kiedy sama zamartwiam się od tygodni, ale zrobię, co w mojej mocy, aby nie zgasić płomyka nadziei tłącego się w ufnych, ciemnobrązowych oczach mojej siostry.

Po powrocie do chaty wieszam nasze płaszcze, a Sage przebiera się w uszytą z białej bawełny koszulę nocną z koronkowym rąbkiem, która należała wcześniej do mnie. Widzę, jak zakłada dodatkową parę szarych wełnianych skarpet na te, które już ma na stopach.

Zamykam drzwi po raz ostatni tego wieczora, odcinając się od ciszy, która przypomina mi, jak bardzo jesteśmy samotne – w świecie, który mama zawsze nazywała „naszym małym kawałkiem nieba na ziemi” i „miejscem, w którym nikt nas nigdy nie skrzywdzi”.

Podnoszę z podłogi lalkę i kładę ją na leżącej obok Sage poduszce, obiecując sobie w duchu, że jutro spróbuję być lepsza. Może nawet zaśpiewam jej jedną z ulubionych piosenek mamy i postaram się znaleźć sposób na odwrócenie uwagi od naszej niewesołej sytuacji, choćby tylko na parę chwil.

– Nie pozwolę, by spotkało nas coś złego – mówię, przykrywając ją i całując na dobranoc, tak jak robiła to mama. – Obiecuję.

Wracam do łóżka i chowam się pod pledem, zakrywając się aż po czubek głowy i ciesząc resztką ciepła, jaka we mnie pozostała.

Nie umrzemy.

Nie tutaj.

Nie w ten sposób.

Nie z zimna, samotne i zapomniane.

Mama nie chciałaby, aby jej skarby spotkał taki los.

4

Nicolette

– A myślałem, że to *ja* powinienem się dziś denerwować – mówi Brant, kładąc dłoń na moich plecach i wręczając mi kieliszek szampana.

Posyłam mu niepewny uśmiech i już mam zamiar otworzyć usta, by coś powiedzieć, gdy mój mąż zostaje porwany przez mężczyznę w trzyczęściowym garniturze i kobietę w sukience Givenchy, obwieszoną od stóp do głów diamentami.

Każdy z zebranych tu gości jest kupcem, handlarzem dziełami sztuki albo wiernym wielbicielem sztuki fotograficznej. Jak przypuszczam, jedna z kobiet obecnych na wystawie jest kochanką mojego męża.

– Nicolette? Mój Boże, nie widziałyśmy się całe wieki.

W moją stronę zbliża się dawna znajoma z Berkshire Gallery. Kładzie mi dłoń na ramieniu i całuje powietrze tuż przy moim policzku. W pierwszej chwili nie potrafię przypomnieć sobie jej imienia, bo nasza znajomość trwała bardzo krótko. Pracowałam tam od niedawna, kiedy pewien przystojny fotograf przyszedł na spotkanie z dyrektorem, a wyszedł z galerii z moim numerem telefonu, obiecując piątkowy wypad na drinka.

M... Jej imię zaczyna się na „m”.

Mariah... Marie... Marin.

Tak. To ostatnie.

– Marin – witam się, przywołując na twarz tę samą sztuczną ekscytację, która gościła na niej przez cały wieczór. – Miło znów cię widzieć. Cieszę się, że wpadłaś.

Przykłada wypielęgnowaną dłoń do upstrzonego piegami dekoltu.

– Brant Gideon i Bellhaus Museum? Chyba żartujesz? W życiu nie przegapiłabym takiej okazji. Ogromny sukces. Pamiętam, jak zaczynał stawiać pierwsze kroki w zawodzie. Był najseksowniejszym przymierającym głodem artystą, jakiego widziałam... a potem zjawiłaś się ty i ukradłaś mi go sprzed nosa. – Marin poklepuje mnie po ramieniu. – Żartuję – dodaje, przekrzywiając głowę w bok. Uśmiech znika z jej twarzy. – Pasujecie do siebie pod każdym możliwym względem. Cieszę się waszym szczęściem. Słyszałam, że wyjechaliście z miasta. Gdzie się teraz podziewacie?

Upijam łyk szampana, czując w gardle przyjemne łaskotanie bąbelków.

– Na północy stanu.

Marin przygląda mi się uważnie spod zmrużonych powiek.

– Ha. Nie tego się spodziewałam.

Unoszę pytająco brew.

– Serio?

Marin wzrusza ramionami.

– Myślałam, że wybieriecie coś bardziej... egzotycznego, zważywszy na jego zawód.

– Podróżujemy, ale Brant lubi samotność. Wtedy gdy nie robi zdjęć.

– A ty? Lubisz ją?

Ogarnia mnie wahanie. Biorąc pod uwagę to, że nie widziała mnie od czasów, gdy miałam dwadzieścia dwa lata, jej pytanie jest trochę nie na miejscu.

– Wybacz – mówi, machając ręką. – Po prostu... Pamiętam, że jak razem pracowałyśmy, zawsze powtarzałaś, że chcesz mieszkać w apartamencie z widokiem na Central Park. Mówiłaś, że urodziłaś się i wychowałaś w mieście i że zamierzasz w nim umrzeć.

Faktycznie. To moje słowa. Kompletnie o tym zapomniałam.

Uśmiecham się krzywo, unosząc kieliszek.

– Podobno żeby rozśmieszyć Pana Boga wystarczy mu opowiedzieć o swoich planach, czyż nie tak?

Marin parska śmiechem, choć nie uważam, żeby mój komentarz był aż tak śmieszny. Po chwili zauważam, że zerka z ukosa na mojego męża.

– No cóż, muszę zrobić kilka rundek – dodaje, poklepując mnie po

nadgarstku. – Przyjechałam tu wyłącznie w celu nawiązania korzystnych kontaktów. No i żeby pogapić się bezczelnie na twojego męża, rzecz jasna.

Marin puszcza mi oko i się oddala, a ja zaczynam przypominać sobie sytuacje, w których wykazywała się osobliwym poczuciem humoru. Nigdy nie umiałam ocenić, kiedy była poważna, a kiedy żartowała.

Odpuszczam sobie. Marin nie stanowi zagrożenia. Nie jest ani trochę w jego typie.

Od zawsze lubiła się głośno zachowywać. Przechwalała się znajomościami w niemal każdej rozmowie, którą odbyłyśmy. Brantowi nigdy nie chodziło o awans społeczny i zdobycie upragnionego statusu. Od razu to w nim pokochałam. Nie miał bladego pojęcia, kim byli moi rodzice, za co z miejsca otrzymał kilka dodatkowych punktów, w przeciwieństwie do reszty poznanych przeze mnie mężczyzn.

Stojąc w sali pełnej uznanych osobistości, śmietanki towarzyskiej manhattańskiej sceny artystycznej, obserwuję, jak spojrzenia wszystkich kierują się w stronę mojego męża, który wychodzi ze swojej skorupy introwertyka i przywdziewa kostium charyzmatycznego artysty wizjonera. Ludzie tłoczą się wokół niego, spijając z jego ust każde słowo, tak jakby opowiadał najbardziej fascynujące historie pod słońcem.

Obdarowuje ich serdecznymi uśmiechami i uściskami dłoni. Oprowadza po galerii grupę gości, tłumacząc, co posłużyło mu za inspirację do stworzenia serii „Zagubieni w naturze” – projektu, nad którym pracował od chwili naszej wyprowadzki z miasta.

To dzieło jego życia, wyjątkowo odkrywczе i zapierające dech w piersiach. Nie sądziłam tylko, że ukończenie go zajmie mu aż dziesięć lat.

Przeczesując wzrokiem pomieszczenie, napotykam na swój portret: stoję boso w strumieniu, a promienie wschodzącego słońca dotykają czubka mojej głowy. W dłoniach trzymam rąbek prześwitującej sukienki.

Podchodzi do niego jakaś kobieta ubrana w czarną, obcisłą sukienkę. Jest sama, a w dłoni trzyma kieliszek czerwonego wina. Na jej lewym nadgarstku lśni diamentowa bransoletka.

Patrzy na moje zdjęcie.

Ja patrzę na nią.

Kobieta podziwia fotografię przez dłuższą chwilę, po czym przechodzi

dalej – do niesamowicie klimatycznego zdjęcia przedstawiającego leśną polanę o poranku. Jednak nie stoi przed nim zbyt długo i podchodzi do następnego, i kolejnego. Po kilku minutach powraca przed mój portret.

Obserwuję ją jak zahipnotyzowana. Nie umiałabym oderwać od niej wzroku, nawet gdybym chciała.

Czy to właśnie ona?

Czy to kobieta, z którą widuje się mój mąż? Z którą prawdopodobnie ma dziecko?

Czy przyszła tu wybadać teren, tak jak zrobiłaby to kochanka porównująca się do żony swojego mężczyzny?

Równo podcięte włosy w kolorze onyksu spływają na jej plecy niczym lśniąca kurtyna, zasłaniając część twarzy. Jest oszałamiająco piękna; emanuje błyskotliwością typową dla wyższych sfer Nowego Jorku. Elegancja i wdzięk biją od niej na kilometr.

Nie wiem, jak długo przyglądałam się studiującej moje zdjęcie kobiecie, ale serce zaczyna mi walić jak młot, a moją krew ścina lód, gdy zauważam, że podchodzi do niej mój mąż.

Nieznajoma uśmiecha się w momencie, w którym ich spojrzenia się spotykają. Brant pochyla się, całując ją w twarz między ustami a policzkiem. Nie powietrze obok niej. Zaczynają rozmawiać, a on dotyka jej nagiego ramienia. Oczy ma szeroko otwarte i pełne ekspresji. Zupełnie jakby nie było tu nikogo prócz niej.

Jest absolutnie oczarowany.

Rozpoznaję spojrzenie, które posyła mu ta kobieta – patrzyłam na niego dokładnie tak samo, gdy byłam jak młody motyl chcący dać się złapać w jego sieć. Dwójka gości przeciska się obok nich, więc Brant zmuszony jest przysunąć się o krok do swojej rozmówczynie, by móc ich przepuścić.

Nie odsuwa się jednak.

Czuje się komfortowo w jej przestrzeni osobistej, jakby dobrze ją znał.

Szampan musujący w moim żołądku sprawia, że robi mi się niedobrze. Rozglądam się dokoła w poszukiwaniu najbliższej damskiej toalety na wypadek, gdyby zebrało mi się na wymioty.

Brant jest czarujący, muszę mu to przyznać. Jest ciepłym, serdecznym i ujmującym mężczyzną. Byliśmy na wielu wystawach, otwarciach galerii

sztuki i podpisywaniach książek, jednak jeszcze nigdy nie widziałam, żeby zachowywał się przy kimś tak, jak przy tej kobiecie.

Słowo daję, że dołeczki w jego policzkach z każdą sekundą robią się coraz większe, a błysk w jego oczach koloru morskiej zieleni staje się taki wyraźny, że widzę go aż stąd.

– Dobrze się czujesz? – Czyjaś ciepła dłoń dotyka mojego ramienia. Odwracam głowę i zauważam stojącą obok Marin. – Wyglądasz, jakbyś miała mdłości.

Zmuszam się do uśmiechu i kręcę głową.

– To przez szampan. Chyba mi zaszkodził.

Unosi brwi ze zdziwienia, wybuchając nosowym śmiechem.

– Słonko, przecież to *Cristal*. *Cristal* podchodzi *wszystkim*. Na pewno nic ci nie jest?

Brant i nieznajoma nadal są zatopieni w rozmowie. Do tego stopnia, że sprawiają wrażenie, jakby tkwili we własnym, małym świecie. Krew w moich żyłach, która jeszcze przed sekundą była zimna jak lód, teraz wrze wściekle tuż pod powierzchnią skóry. Gdybym nie była damą, pewnie do reszty by mi odbiło i zwróciłabym się do niego w uprzejmych słowach, mówiąc coś w stylu „Co tu się, do cholery, wyprawia?”.

Ale nie tutaj. Nie zrobię sceny na oczach ludzi, od których zależy przyszłość Branta, szczególnie że pracował na swoją karierę przez całe życie.

Marin podąża za moim spojrzeniem, szybko składając w jedną całość przypuszczenie, którego nie zamierzam wymawiać na głos.

– Chodzi o tę kobietę z ciemnymi włosami? – Marin kiwa głową w jej stronę. – Jest fotografką. Ma styl całkiem podobny do stylu Branta. Na pewno jest fanką jego twórczości. Bez przerwy przychodzi do galerii, próbując nakłonić nas do sprzedaży swoich prac.

– Jak się nazywa? – To może być moja jedyna szansa na to, aby się tego dowiedzieć.

– Clara Briese.

Utrwalam nazwisko w pamięci, bezgłośnie powtarzając je co najmniej z tuzin razy, na wypadek, gdyby było mi kiedyś potrzebne.

– Podziwiała wcześniej moje zdjęcie – dodaję, choć nie bardzo wiem, po co

zwierzam się z tego faktu Marin ani czy ma to jakiegokolwiek znaczenie. Wypowiedzenie na głos tego spostrzeżenia sprawia, że moje podejrzenia wydają się głupie i uświadamia mi, że nie mam powodu, aby od razu się denerwować.

Marin śmieje się pod nosem.

– Pewnie uważa, że jesteś piękna.

W głębi ducha skreślałam jej wytłumaczenie jako zbyt proste i zbyt optymistyczne, aby mogło stłumić mój niepokój.

– Umawia się z kobietami – dorzuca Marin. – Wyłącznie z kobietami. Tak czy inaczej, o wilku mowa.

Kobieta znika w tłumie. Brant idzie w moją stronę.

– Dobrze się czujesz? – pyta, stając obok. Dusi mnie znajomy zapach jego wody kolońskiej. Ten sam zmysłowy, drzewny zapach, który przynosił mi kiedyś pocieszenie, bo przypominał o domu.

Przytakuję bez mrugnięcia okiem, uśmiechając się, bo czuję się o wiele lepiej niż pięć minut temu.

– Oczywiście. A ty?

Mój mąż przygląda mi się bacznie.

– Jeśli nie czujesz się dobrze, to po prostu to powiedz. Wyjdziemy stąd jak najszybciej.

– Nie wygaduj głupstw. To twój wieczór. Nic mi nie jest – kłamię.

Twarz Branta rozjaśnia się, choć nawet nie w połowie tak bardzo jak wtedy, gdy rozmawiał z Clarą. Przynajmniej wiem, że to *on* nie jest w *jej* typie.

– Wieczór jest wyjątkowo piękny, a ja czekałem na niego wystarczająco długo, ale nie mogę przestać myśleć o najbardziej cudownej osobie na tej sali, która stoi tuż przede mną. – Pochyla się, muskając moje usta w pocałunku i czule gładząc palcami policzek. – Jesteś nie tylko moją muzą, ale i całym moim światem. Bez ciebie nic by się nie udało.

Rok temu uwierzyłam w jego zapewnienia – jak zawsze zresztą.

Ale po tym, jak w zeszłym miesiącu znalazłam w jego szufladzie na skarpetki ukryte pod skórzanym organizerem zdjęcie jasnowłosej dziewczynki z oczami w kolorze morskiej zieleni, nie wiem już, czy dalej jestem w stanie to zrobić.

Brant całuje mnie jeszcze raz, po czym przesuwa palcami po moim ramieniu, zatrzymując się, by uścisnąć delikatnie moją dłoń.

– Widziałem, jak do środka wchodził Robert Moffatt. Wygląda, jakby miał za dużo pieniędzy w kieszeniach. Chyba powinienem pójść się przywitać...

Uśmiecha się do mnie, spodziewając się z mojej strony wymownego chichotu. Zmuszam się do śmiechu, czując ucisk w piersi. Brant wyciąga rękę.

– Chodź. Przedstawię cię.

Większość swojego dorosłego życia spędziłam na chodzeniu za tym mężczyzną po marokańskich bazarach, greckich klifach, starożytnych ruinach Majów i bujnych lasach Amazonii. Opuściłam Manhattan – jedyny *dom*, jaki kiedykolwiek znałam – ponieważ mnie o to poprosił. Stworzyłam nam cudowny, sielski zakątek w rodzinnym mieście Branta, przygnębiającej, zapadłej dziurze o nazwie Stillwater Hills, ignorując uporczywą tęsknotę za domem, która nigdy mi nie przeszła. Co wieczór gotowałam mu jego ulubione wykwiłtne posiłki i nauczyłam się lubić jego ukochane jazzowe klasyki. Kochałam się z nim, gdy wyczuwałam, że musi rozładować emocje, nawet wtedy, gdy sama nie do końca miałam na to ochotę. Przynosiłam kawę, gdy zarywał nocki, i masowałam mu ramiona, gdy spędzał zbyt wiele godzin przez komputerem, zatopiony w pracy.

Jedyną rzeczą, której nigdy nie byłam w stanie mu dać, była rodzina.

Dobija mnie świadomość, że zrobił to ktoś inny.

Ujmując go pod łokieć i tłumiąc wewnętrzny niepokój, czuję się jak oszustka, gdy przedstawia mnie potentatowi handlu nieruchomościami, Robertowi Moffattowi, oraz jego olśniewająco pięknej młodej żonie, rasowej bywalczynie salonów, Temple Rothschild-Moffatt, której nawet trzeci trymestr ciąży nie powstrzymał przed tym, by ubrać się od stóp do głów w Versace i założyć piętnastocentymetrowe szpilki.

Rozmowa Branta i Roberta zlewa się z szumem pozostałych, Temple przeprosza nas na moment i odchodzi, natomiast ja ponownie przeczesuję wzrokiem galerię, zatrzymując się na każdej ładnej buzi znajdującej się w sali.

Chuda jak szczapa blondynka w etoli ze sztucznego futra.

Brunetka w typie mola książkowego, z pomalowanymi na czerwono

ustami i w okularach z przezroczystymi oprawkami.

Influencerka o ufarbowanych na lawendowo włosach, zerkająca z ukosa na mojego męża, kiedy wydaje jej się, że nikt nie patrzy.

To może być każda z nich.

A zarazem żadna.

Wiem jedynie, że konieczność odkrycia jej tożsamości pomału zaczyna pochłaniać wszystkie moje myśli.

Brant kładzie dłoń w dole moich pleców i przysuwa mnie blisko. Pokój wiruje mi przed oczami, oddech przyśpiesza, a na czoło występują kropelki potu.

– Przepraszam na chwilę – mówię, przerywając ich rozmowę, i wychodzę na zewnątrz. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam ataku paniki, ale jestem pewna, że właśnie jestem o krok od zaliczenia pierwszego.

Jest środek grudnia. Chodniki są pokryte cieniutką warstewką puszystego śniegu. Kilka pobliskich sklepów jest już zamkniętych, ale świąteczne światelka migoczą w ich witrynach, a na szklanych drzwiach wiszą wianki z ostrokrzewu. Dawniej na widok tych rzeczy zalewała mnie fala ciepła i serdeczności.

Teraz nie czuję nic.

Łapiąc z trudem powietrze, zamykam oczy i próbuję skupić się na wdychaniu do płuc zimnego powietrza. Odliczam od dziesięciu w dół, wmawiając sobie, że kiedy dotrę do jedyńki, poczuję się lepiej... przynajmniej na razie.

Dziesięć...

Dziewięć...

Osiem...

Siedem...

– Nicolette...

Otwieram oczy i zauważam swojego męża stojącego przed drzwiami muzeum, z dłońmi wciśniętymi w kieszenie garnituru od Prady. Nonszalancję w jego pozie odbieram niemal jak zniewagę.

– Porozmawiajmy – mówi, po czym zbliża się do mnie z lekko przekrzywioną na bok głową. Patrzy na mnie tak, jakbym była niemożliwą do rozgryzienia łamigłówką. – Nie wiem, co w ciebie wstąpiło, ale przez

cały wieczór zachowujesz się dziwnie. Zupełnie jak nie ty.

Otwieram usta, ale nie wiem, co powiedzieć.

Nadal próbuję ustalić, co dalej – kiedy doprowadzić do konfrontacji i w jaki sposób. Nie wspominając już o tym, co powinnam czuć, biorąc pod uwagę to, że wymyśliłam w głowie tysiące najczarniejszych scenariuszy, opierając się na zaledwie jednym zdjęciu.

Brant zamyka mnie w uścisku. Ciepło jego ciała i ciężar ramion przynoszą ukojenie, ale są zarazem niemożliwe do zniesienia.

– Jeśli nie masz nic przeciwko – mówię stłumionym głosem, z ustami przyciśniętymi do jego nienagannej marynarki – wrócę taksówką do hotelu. Chyba coś mi zaszkodziło.

Brant odsuwa się, świdrując mnie wzrokiem. Znowu mi nie wierzy, ale w tym momencie średnio mnie to obchodzi. Myślę już wyłącznie o tym, żeby zedrzeć z siebie tę suknię, wyjąć z włosów spinki i zmyć z twarzy makijaż, zanim zrujną ją go łyzy.

Z całą resztą zmierzę się innym razem, na pewno nie po trzech kieliszkach szampana i zszarganiu sobie nerwów tylko dlatego, że jakaś ślicznotka gapiła się na moje zdjęcie o wiele za długo, a mój mąż powitał ją z typowym dla siebie szerokim uśmiechem z dołeczkami oraz błyskiem w oczach koloru morskiej zieleni.

Brant patrzy ponad moim ramieniem na światła nadjeżdżającej taksówki i unosi rękę, aby ją przywołać.

– Odpocznij – mówi, zgarniając z ziemi tren mojej sukni i pomagając mi wejść do środka. Zamyka drzwi i pokazuje, żebym opuściła szybę. – Mam przy sobie telefon, w razie gdybyś czegoś potrzebowała.

Doceniam jego troskę, ale nie mogę wyprzeć cichutkiego głosiku z tyłu głowy mówiącego, że sposób, w jaki mnie odprawia, bez mrugnięcia okiem, jest co najmniej dziwny i zastanawiający. Zabieram dłoń i macham mu na pożegnanie, dostrzegając w jego oczach odbicie blasku widocznego na niebie księżycy w pełni. Dawniej te oczy symbolizowały dla mnie dom, za każdym razem, gdy w nie spoglądałam.

Teraz widzę jedynie tę małą dziewczynkę.

5

Wren

– Wren, spadł śnieg. – Sage budzi mnie z radosnym piskiem, a ja przykrywam głowę pledem. – Zrobimy ciągutki? – pyta.

Nie mam siły powiedzieć jej, że do zrobienia ciągutek potrzebujemy melasy, a przecież jej nie mamy.

Nie mamy też cukru.

Nie zostało nam już prawie nic prócz jajek i koziego mleka. Mamy ostatnią torebkę mąki, trochę fasoli w puszkach, a w piwnicy parę ziemniaków, cebulę i czosnek. Zrobiłam wczoraj remanent, którego obawiałam się od tygodni. To było nieuniknione.

Po wygrzebaniu się z łóżka i zasznurowaniu butów zdejmuję płaszcz z haczyka na drzwiach i biorę do ręki koszyk na jajka. Muszę zajrzeć do kur i upewnić się, że przetrwały mróz, który nawiedził nas zeszłej nocy.

– Zaraz wracam – informuję Sage.

Brnę przez śnieg, który sięga mi prawie do końca cholewek butów, i jestem już w połowie drogi do kurnika, gdy nagle mój zmęczony wzrok przykuwają ślady przecinające podwórko i biegnące wokół domu.

Zatrzymuję się i kucam, aby lepiej im się przyjrzeć.

To ślady butów.

Wielkich butów.

Upuszczam koszyk i wracam biegiem do chaty, przez całą drogę ślizgając się po roztapiającej się brei. Wpadam do środka i zatraskuję drzwi, ledwie zdążając z zasunięciem zasuw.

– Wren? Co się stało?

Sage podchodzi do mnie, ale ja nie zwracam na nią uwagi, tylko pędzę przez pokój i łapię za krzesło, a następnie szybko stawiam je pod drzwiami.

Wchodzę na nie i zdejmuję wiszącą nad progiem strzelbę.

– Wren? – powtarza Sage, tym razem głośniejsze i wyraźniej, a jej pierś faluje niemal tak szybko jak moja. – Co ty wyprawiasz? Boję się.

– Ślady – udaje mi się w końcu wykrztusić zdyszonym głosem. Wnętrze chaty wiruje mi przed oczami. – Na zewnątrz są ślady.

– Czyje? Kojota? Niedźwiedzia?

– Nie, ślady butów. Wielkich butów.

Sage podchodzi do okna przy drzwiach i odsuwa zasłonkę o parę centymetrów, by wyrzucić na zewnątrz, ale odciągam ją.

Mama powiedziała nam, że w głuszy każdy może liczyć wyłącznie na siebie i że wszyscy musimy robić to, co konieczne, aby przetrwać. Zapewniała nas, że tu jesteśmy bezpieczne. Nazywała nasz dom fortecą, choć zawsze uważałam, że to naiwne, bo wystarczyłoby porządne gradobicie albo silniejsza wichura, żeby woda i wiatr wdarły się do środka.

Skoro żywioły mogły to zrobić, to z całą pewnością udałoby się to też komuś lub czemuś innemu.

Po załadowaniu strzelby opieram ją na ramieniu i kładę dłoń na klamce.

– Co chcesz zrobić? – pyta Sage. Jej oczy lśnią jak dwie wypolerowane kulki.

– Pójdę za śladami.

Ignoruję narastającą w gardle gulę, która utrudnia mi przełykanie, oraz drżenie rąk. Zaciskam je na strzelbie. Planuję, że obejdem całe gospodarstwo, ale podejrzewam, że właściciela śladów już tu nie ma, a ślady jego butów zaprowadzą mnie do lasu, przed którym będę musiała się zatrzymać.

Ale jeśli czai się gdzieś na zewnątrz w ukryciu i zobaczy mnie z bronią, to może już nigdy tu nie wróci.

Czując, jak serce podchodzi mi do gardła, wychodzę przed chatę. Kolba strzelby przylega ciasno do mojego przedramienia. Idę po śladach odcisniętych na śniegu. Wokół słychać tylko chrzęst moich własnych butów oraz beczenie naszych kóz.

Nie wiem, kim jest właściciel śladów, ani czego od nas chce, ale nie będę ukrywać się jak ostatni tchórz.

Nie będę łatwym celem.

6

Nicolette

Jadące przede mną w sklepowym wózku dziecko kopie swoją matkę, a ja przyglądam się, jak kobieta łapie malucha za nóżki i przytrzymuje je w miejscu. Dziecko wierci się niespokojnie. Matka szepcze mu coś na ucho. Maluch robi nadąsaną minę. Kobieta kontynuuje zakupy, pchając wózek do końca alejki.

Jestem pewna, że takie sceny rozgrywają się na co dzień w sklepach spożywczych w całym kraju, ale stoję jak zaczarowana, obserwując tę dwójkę na własne oczy i wyobrażając sobie na miejscu tej matki siebie. Jej spodnie do jogi są pokryte kłaczkami żółtawej psiej sierści, koszulkę ma wygniecioną, a ciemne, lśniące włosy związała w wysoki koczek na czubku głowy. Kiedy staje bokiem, dostrzegam jej profil.

Jest ładna, mimo ciemnych kręgów pod oczami i lekko pyzatej twarzy. Na lewym palcu nosi cienką, złotą obrączkę ozdobioną malutkim diamentem.

Zaciskam dłonie na rączce sklepowego wózka i odrywam wzrok od matki z dzieckiem, próbując przypomnieć sobie, czego potrzebuję z tej alejki. Mąka migdałowa? Ksylitol? Groszki z gorzkiej czekolady bez cukru? Na co dzień nie kupuję takich produktów, ale Brant przeszedł ostatnio na jakąś nową modną dietę paleo wykluczającą cukier i gluten, dzięki której rzekomo poprawia mu się zdolność do kreatywnego myślenia.

Wyteżam umysł, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

Brak snu, który dał mi się we znaki w ciągu kilku ostatnich tygodni, zaczyna mieć wpływ na moją pamięć krótkotrwałą. Przez jakiś czas zażywałam tabletki z melatoniną, ale miałam po nich koszmary – bardzo

konkretne koszmary, w których pojawiał się mój mąż, blondwłose dziecko i kobieta bez twarzy.

Stojąc na środku prowincjonalnego sklepu spożywczego, przez chwilę rozważam możliwość, że mogę się całkowicie mylić – i mam wielką nadzieję, że tak jest.

Przez lata pocieszałam się naiwnymi fantazjami o fikcyjnej rodzinie. Żyłam marzeniami, w których mąż pstrykał zdjęcia naszemu maluchowi, a które ja pieczołowicie układałam potem w albumach. Wycieczkami do moich rodziców w Nantucket, którzy powitaliby nasze dziecko z otwartymi ramionami. Babcia pokazałaby mi, jak piecze swoje słynne ciasteczka owsiane z malinami, a dziadek nauczyłby je pływać na swej ukochanej łódce, Parsivalu III. Wyobrażałam sobie wyjazdy na narty do Vermont i europejskie wakacje, marząc o smażeniu naleśników na późne śniadanie i kupowaniu szkolnych wyprawek.

Jeśli mam szczęście, to jeszcze nie wszystko stracone.

A jeśli nie, to zmarnowałam lata na bujaniu w obłokach i snuciu mrzonek.

Brant oddalał się ode mnie przez cały ubiegły rok, a ja konsekwentnie zakładałam, że dzieje się tak dlatego, że sprawy między nami utknęły w martwym punkcie. Doszłam do wniosku, że musimy rozpocząć nowy rozdział w naszym życiu i byłam przekonana, że oboje jesteśmy na to gotowi.

Rozpoczęłam starania o to, byśmy zostali rodzicami zastępczymi.

Nazywałam to metodą małych kroczków. Naciskałam, robiąc wszystko po swojemu, tak jak każda zdesperowana kobieta. Czyniłam aluzje, trzepotałam rzęsami i opowiadałam żarty, które w rzeczywistości wcale nimi nie były.

Brant potrzebował trochę czasu, aby przekonać się do mojego pomysłu. Jego niechęć złożyłam na karb harmonogramu zbliżających się podróży. Gdy w końcu wyraził zgodę, uznałam, że jego akceptacja bierze się z poczucia winy wynikającego z zaburzonej równowagi między życiem prywatnym i zawodowym oraz faktu, że nigdy wcześniej o nic go nie prosiłam.

Teraz zżera mnie strach, bo boję się, że Brant zwleka, czekając na

właściwą okazję, by złamać mi serce i zniszczyć nasze życie w nieodwracalny sposób. Nie wiem tylko, jaki ma plan... Owszem, Brant jest sławny, ale to ja mam pieniądze.

Dom. Auta. Wszystko kupiłam za rodzinne pieniądze z funduszu powierniczego. Brant zarabia naprawdę przyzwoicie, ale bez mojego wsparcia finansowego standard jego życia uległby drastycznemu obniżeniu. Nie wspominając już o tym, że dzięki mnie nie musi martwić się o pieniądze do końca swojego życia.

Z tego, co wiem, Brant nie odłożył ani centa z zarobionych przez siebie pieniędzy, głównie ze względu na to, że wcale nie musiał. Nasza przyszłość jest zabezpieczona, przynajmniej pod względem finansowym. Od zawsze traktowaliśmy jego dochody jako kieszonkowe, które mógł wydać, na co tylko chciał, ponieważ sam je zarobił, a my niekoniecznie ich potrzebowaliśmy.

Jeśli to dziecko naprawdę jest jego, lwia część zarobionych przez niego pieniędzy z pewnością trafia teraz do matki dziewczynki.

Zmęczona kobieta z marudnym dzieckiem musiała zauważyć, że się na nią gapię, bo bez ostrzeżenia wymija mnie szerokim łukiem, a skóra wokół jej oczu napina się, gdy nasze spojrzenia się spotykają.

To dla mnie żadna nowość.

Odkąd się tu przeprowadziliśmy, jestem traktowana jak obca. Nie ma znaczenia, że mieszkam tu od ponad dziesięciu lat – nadal jestem „bogata suką z przedmieścia”. Ludzie widzą moje eleganckie, idealnie wyprasowane stroje, markowe torebki od francuskich projektantów, zero zmarszczek na czole oraz brak worków pod oczami i wydaje im się, że mam wszystko.

Jeszcze całkiem niedawno faktycznie tak było.

Posyłam kobiecie uśmiech, a wyraz jej twarzy łagodnieje, gdy dociera do niej, że wcale nie próbuję nikogo oceniać. Że nie jestem aż tak nieprzystępna, jak się wszystkim wydaje. Milczę, bo nie chcę wyjść na nadmiernie emocjonalną dziwaczkę, ale chętnie powiedziałabym jej, że ma wielkie szczęście, bo może codziennie nosić legginsy, wiązać włosy w kok na czubku głowy, odkurzać okruchy chrupek z zakamarków samochodu i planować proste, smaczne posiłki.

Oddałabym wszystko, byleby tylko móc poczuć, jak to jest być zmęczonym

rodzicem.

Odwracając się do mnie plecami, kobieta blokuje mi pole widzenia i zasłania swoje dziecko, zupełnie jakby nie życzyła sobie, żebym ponownie na nie spojrzała. W końcu zaczynam rozumieć. Myślała, że gapię się na jej malucha.

Wiele lat temu – na długo przed naszą przeprowadzką – w mieście doszło do dwóch porwań. Ofiarami były dzieci, a incydenty miały miejsce w biały dzień. Mieszkańcy nigdy do końca nie przezwyciężyli strachu i bolesnej traumy związanej ze świadomością, że w ich pięknym Stillwater Hills zaczęło się zło. Wiele rodzin wyprowadziło się wówczas z miasteczka, a popchnął je do tego strach. Nie wiadano, czyje dziecko będzie następne.

Nie dziwię się żadnej matce, która za wszelką cenę stara się ochronić swoje dziecko.

To jej prawo, jej obowiązek.

– Jest uroczy – mówię, pchając sklepowy wózek i mijając matkę z niebieskookim synkiem. Mam nadzieję, że dałam jej subtelnie znać, iż nie stanowią żadnego zagrożenia.

– Dziękuję – odpowiada lekko zdyszczanym głosem, odsuwając wózek.

Mąka kokosowa.

Właśnie tego szukałam.

Zdejmuję z półki półkilogramową torebkę i przechodzę do stoiska mięsnego, by skreślić z listy pozostałe produkty, po czym wracam do domu, zaczynam przygotowywać obiad i udaję najlepiej, jak potrafię, że wszystko jest w porządku, a ja wcale nie rozpadam się od środka.

Wystarczy jedno pociągnięcie nitki, a złudzenia opadną, obnażając mnie przed światem. Jeszcze nie wiem, co się wtedy stanie, ale z pewnością żadnemu z nas nie wyjdzie to na dobre.

Wren

Śnieg leżał przez zaledwie dobę, po czym rozpuścił się, jakby wcale go nie było. Widocznie ziemia była zbyt ciepła, by mógł utrzymać się na jej powierzchni. Zazwyczaj nie jest mi przykro, kiedy śnieg znika, ale jeśli mężczyzna wróci, to nie mamy już sposobu na to, by się o tym dowiedzieć.

Otulona płaszczem i z nasuniętymi na nogi trzewikami wkładam strzelbę pod ramię i wychodzę do kurnika. Jak na razie nie widzę żadnych nowych śladów. Wszystko jest na swoim miejscu. Mimo to serce nadal wali mi jak młot, a oddech jest płytki i niespokojny.

Wchodzę do kurnika i opieram broń o ścianę. Staję jak wryta na widok jednej z naszych kur rasy karmazynowej, leżącej w bezruchu na ziemi. Klękam przy niej i przykładam dłoń do jej skrzydła.

Jest jeszcze ciepła.

Próbuję ją poruszyć, kołyszę nią delikatnie w przód i w tył, ale nie otwiera oczu. Dwie pozostałe kury rasy leghorn, które są z nami najdłużej, gdaczą wokół mnie, łopocząc skrzydłami, tak jakby wiedziały, że stało się coś złego.

Ponownie przykładam dłoń do ciała kury i stwierdzam, że ptak nie oddycha.

Usta zaczynają mi drżeć, ale przygryzam je tak mocno, aż czuję na języku posmak krwi. Udaje mi się odpędzić łzy. Mama zawsze nas przestrzegala, żeby nie przywiązywać się do zwierząt gospodarskich, ale ja uwielbiałam tę małą, głupiutką kurkę. Była najbardziej przyjazna z całego stada, a kiedy wypuszczałyśmy wszystkie na dwór, chodziła za mną jak cień. Potrafiła

jeść mi prosto z ręki.

Nikommu o tym nie powiedziałam, ale nazwałam ją Ruby.

To była nasza mała tajemnica.

Biorę ją na ręce i wynoszę z kurnika. Kładę jej zwłoki obok ogołoczonego z liści drzewa, po czym wchodzę do szopy, by zabrać łopatę. Grunt będzie twardy i zmarznięty, ale muszę zakopać jej ciało, żeby nie przyciągnęło żadnych drapieżników.

Gdyby kura nie zdechła z powodu jakiejś nieznanej choroby, mogłybyśmy ją zjeść, a wtedy jej śmierć nie poszłaby na marne. Jednak w tej sytuacji nie jest to bezpieczne.

Pół godziny później rzucam ostatnią garść ziemi na Ruby, czując, jak po plecach spływa mi pot. Czubki palców mam skostniałe z zimna, ale moje ciało płonie z powodu wysiłku. Choć jestem na nogach dopiero od godziny, oddałabym wszystko, by znowu móc położyć się do łóżka.

Trzęsącymi się rękami opieram trzonek łopaty o drzewo i powłóczę nogami, wchodzę do chaty. Zamykam drzwi, opierając się o nie przez chwilę i próbując złapać oddech. Ciepło ognia w kominku rozgrzewa zimny koniuszek mojego nosa.

– Co się stało? – pyta Sage. – Gdzie są jajka?

Zdejmuję płaszcz i wieszam go na kołku, po czym schylam się, aby rozsznurować lewy but.

– Straciłyśmy kolejną kurę.

Sage nie odpowiada. Wie, że nie możemy nic zrobić, skoro nie mamy pojęcia, co jest przyczyną zdychania naszych kur. Nie chcę nawet myśleć, co będzie, jeśli stracimy następną. Nasze kury składają po jednym jajku na dzień. A my tych jaj potrzebujemy.

– Wren? – pyta Sage, patrząc na mnie swoimi wielkimi oczami.

– Tak?

– Pograsz ze mną w warcaby?

Mam ochotę odmówić, ale w porę się powstrzymuję. Kiedyś bez przerwy grałyśmy w warcaby, a teraz nie potrafię sobie przypomnieć, żebyśmy w ogóle w coś grały. Poza tym, wątpię, by Sage chciała grać w warcaby dla samego grania. Pewnie bardziej zależy jej na tym, żeby choć przez chwilę poczuć się normalnie.

Zdejmuję pudełko z półki w kącie, zanoszę je na kuchenny stół i uśmiecham się. Moja siostra ochoczo zeskakuje z krzesła i dołącza do mnie, siadając przy blacie z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Zaklepuję czerwone – mówi, pomagając mi rozłożyć planszę. – Więc możesz zacząć.

Przesuwając czarny pionek na nowe pole, opieram się na krześle i przyglądam, jak moja siostra rozważa swój następny ruch. Dopiero gdy ponownie przychodzi moja kolej, uświadamiam sobie, że obgryzłam paznokcie niemal do krwi, choć wcale nie pamiętam, żebym to robiła.

– Twoja kolej – mówię, chowając paskudnie prezentujące się dłonie.

Sage wygląda przez najbliższe okno, a jej ciało zastyga w bezruchu. Wygląda jak jeden z tych greckich posągów, które widziałam w należącej do mamy książce opisującej grecką sztukę i archeologię.

– Wren, słyszysz to, co ja? – pyta najcichszym możliwym szeptem.

Włoski na karku stają mi dęba, choć niczego nie słyszę. Jedynymi źródłami dźwięku są wyjący wiatr i becząca od czasu do czasu koza.

– Niby co mam słysze...

– Ciii!

Sage unosi palec, przeczesując wzrokiem teren widoczny z okna.

Na zewnątrz słychać trzask pękających gałązek i szuranie butów przedzierających się przez zwały opadłych, mokrych liści. Nasze spojrzenia się spotykają. Wstrzymujemy oddechy.

– Wren, strzelba... – Sage wskazuje na pustą półkę nad drzwiami.

Serce mi zamiera.

– Zostawiłam ją w kurniku – szepczę.

Przez chatę przetaczają się trzy głośne stuknięcia do drzwi. Sage zakrywa dłońmi nos i usta, a ja siedzę jak skamieniała. Jediną bronią, jaką mamy pod ręką, są przybory kuchenne. Z tego, co wiem, nasze noże rzeźnicze rozpaczliwie potrzebują ostrzenia.

Osoba stojąca po drugiej stronie drzwi puka ponownie.

Znowu trzy razy.

Sage zaczyna wstawać od stołu, jakby zupełnie postradała rozum i chciała otworzyć drzwi, ale kładę się na blacie i łapię ją za nadgarstki. Marszczy brwi, wrywając się z mojego niepewnego uścisku.

– Wren! – mówi ledwie słyszalnym głosem.

– Cisza – nakazuję jej, unosząc dłoń.

– A jeśli to mama? – pyta, ignorując mnie.

Gardło mam tak ściśnięte, że ledwie udaje mi się przełknąć ślinę.

– Mama by nie zapukała.

Nicolette

– Szkoda, że Brant nie mógł do nas dołączyć.

Moja matka z wdziękiem wbija widelczyk w kawałek swojego urodzinowego tortu, podnosząc do ust kolejny kęs.

– Pozdrawia was oboje. Zobaczycie go jutro z samego rana.

– Ten tort jest przepyszny. Ominie go niezła gratka.

Mama wskazuje widelczykiem na udekorowane białą polewą ciasto.

Zbywam jej komentarz machnięciem ręki.

– Jest na nowej diecie. Bezcukrowej i bezglutenowej. To byłaby dla niego istna tortura.

Jak co roku, w weekend przed świętami Bożego Narodzenia, moi rodzice przyjeżdżają do Stillwater Hills ze swojego drugiego domu w Nantucket, żeby spędzić z nami kilka dni, świętując jednocześnie urodziny mojej mamy. Po świętach wyjeżdżam na Florydę ze swoją najlepszą przyjaciółką, by tam spędzić resztę zimy. Robiliśmy tak od początku naszego małżeństwa, więc tym bardziej dziwi mnie, że Brant postanowił poświęcić się obowiązkom zawodowym akurat w ten konkretny dzień.

On i mój ojciec są najlepszymi kumplami. Ojciec chwali się swoim kolegom z klubu jachtowego i każdemu, kto zechce go wysłuchać, że Brant jest zięciem, o jakim zawsze marzył. Brant nie jest tak wylewny jak mój ojciec, ale wiem, że odwzajemnia te uczucia. Jego ojciec porzucił rodzinę, gdy on i jego młodszy brat byli jeszcze dziećmi. Przez większość ich dzieciństwa matka była albo pijana, albo naćpana. Czasami jedno i drugie.

Moi rodzice to jedyna rodzina, która kocha go i uwielbia w sposób, w jaki

od zawsze chciał być kochany i uwielbiany. To jedyna rodzina, jaką ma. Matka Branta zmarła na marskość wątroby krótko po naszym ślubie, a jego brat mieszka w rozpadającej się przyczepie na drugim końcu Stillwater Hills, pracując na nocną zmianę w fabryce opon i spędzając większość wolnego czasu w klubie ze striptizem w sąsiednim mieście.

– Co właściwie robi dziś wieczorem Brant? – pyta tata.

– Ma prelekcję.

– Na temat czego? – dopytuje.

Ojciec nie interesuje się takimi szczegółami, więc jego pytania zbijają mnie z tropu.

Prawda jest taka... że nie mam bladego pojęcia. Nie wiem, co odpowiedzieć.

Brant twierdzi, że wygłasza wieczorem wykład na przyjęciu charytatywnym w jakimś ekskluzywnym klubie golfowym w Albany, gdzie wstęp mają tylko jego członkowie. Kiedy spytałam, czy chce, abym mu towarzyszyła – dla moralnego wsparcia, jak zawsze zresztą – nalegał, żebym została w domu i oczekiwała na przyjazd rodziców. Nie wiem nawet, co jest tematem jego prelekcji, i ani razu nie widziałam, żeby ćwiczył swoje przemówienie.

– Spytasz go o to jutro. – Ignorując bolesne ściskanie w żołądku, dolewam sobie wina. – Jak wam idzie wykup Carlton Hotels?

– Lepiej być nie może – mówi ojciec, wypinając dumnie pierś. – Wraz z początkiem roku sfinalizujemy umowę.

Mama przykładła dłoń do piersi i pochyła się lekko do przodu, z oczami szeroko otwartymi z podniecenia.

– Nie mogę się doczekać. Sześć miesięcy negocjacji to trochę za dużo.

Tata parska śmiechem. Pewnie myśli, że mama za bardzo dramatyzuje.

– Na litość boską, Helene, nie było aż *tak* źle.

Mama odwraca się w jego stronę, posyłając mu złośliwy uśmiezek, w którym kryje się cień niedowierzania.

– To jedyny temat, na który rozmawiałeś podczas ostatnich stu osiemdziesięciu kolacji.

– Cóż, możesz być pewna, że nie będę cię nim dłużej zadręczał. – Ojciec chichocze pod nosem. – Nie zapominaj, że w uznaniu dla twojej wielkiej

cierpliwości w przyszłym miesiącu zabieram cię do Aspen.

– Odnutowałam ten fakt.

Mama puszcza ojcu oko, po czym kładzie talerzyk deserowy na stoliku. Ojciec podaje jej kubek z cappuccino. Są razem od blisko czterdziestu lat, a nadal łączy ich coś wyjątkowego. Błysk w oczach, rozumienie się bez słów, więź, której nikt nigdy nie był w stanie zerwać. Ciekawe, czy wiedzą, jakie mają szczęście, że łączy ich coś tak rzadkiego i niespotykanego, ale nie mam siły ich o to pytać. Od razu przejrzą mnie na wylot. Nie mam ochoty na ich wszytkowiedzące spojrzenia i odpowiadanie na wścibskie pytania. Lepiej żeby moi rodzice martwili się wyłącznie siecią swoich luksusowych hoteli. Nie muszą dodatkowo przejmować się problemami swojej jedynej córki.

– Nick, chciałem ci pokazać, jak wygląda po remoncie apartament Gideon w SoHo. – Ojciec wyjmuje z kieszeni telefon. – Helene, zostawiłem okulary w pokoju gościnnym. Leżą na stoliku nocnym. Przyniosłabyś je?

Mama uśmiecha się i wychodzi bez słowa, a tata pochyla się w moją stronę, kładąc telefon ekranem do dołu. Wiedziałam, że to pułapka.

– Wszystko w porządku, Nick? – pyta przyciszonym głosem, a jego czoło przecinają poziome zmarszczki.

Odsuwam się gwałtownie, przekrzywiając głowę w bok.

– Co? Tak. Dlaczego pytasz?

Zaciska usta w wąską kreskę, wydmuchując powietrze przez nos.

– Wczoraj dzwonił do mnie nasz księgowy. Powiedział, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy doszło... do kilku pokaźnych wypłat z twojego funduszu powierniczego.

Pierwsze słyszę.

Chciałabym go zapytać o wysokość tych wypłat, ale nie chcę, by domyślił się, że coś jest nie tak.

Nagle odnoszę wrażenie, że połączenie ciasta i wina w moim żołądku wcale nie było dobrym pomysłem. Fundusz został otwarty na moje nazwisko, ale Brant zna wszystkie moje hasła i ma dostęp do konta internetowego. Mógł przelać środki Bóg jeden wie gdzie, a ja nie zwróciłabym na to uwagi, bo nie miałabym powodu, aby przypuszczać, że mój mąż byłby do tego zdolny. Nawet za milion lat.

Wiem, że gdy dorastał, nie miał wokół siebie najlepszych wzorców do naśladowania, ale nigdy nie przestał być dobrym, szczodrym, uczciwym i bezpośrednim człowiekiem.

Nigdy nie ruszał moich pieniędzy – a przynajmniej tak mi się wydawało.

Powiadają, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. To wstrętny, oklepany stereotyp, ale nie mogę się powstrzymać przed rozmyślaniem, czy sprawdzi się i w tym przypadku.

Brant może i jest Brantem Gideonem, ale to w dalszym ciągu Gideon.

Mama wraca z okularami taty, który zabiera telefon ze stolika i podejmuje przerwany wcześniej temat, co jest dla mnie jasną wskazówką, że mama nie ma o niczym pojęcia, a tata stara się ochronić moją godność, bo jest przekonany, że z moim małżeństwem dzieje się coś niedobrego.

Gdyby tylko znał prawdę...

Zgarniam puste talerzyki oraz sztucce i w milczeniu zanoszę je do kuchni, wdzięczna za to, że powrót mamy oznaczał brak konieczności rozmowy z ojcem.

Oplukuję naczynia pod bieżącą wodą. Ręce mi drżą, a oczy szczypią mnie od łez. Gdy moi rodzice w końcu idą spać, loguję się na swoje konto i sprawdzam przelewy. Z tego, co wiem, Brant nie dokonał ostatnio żadnych nowych zakupów. Nie zajechał na podjazd nowym, ekstrawaganckim samochodem i nie obdarował mnie drogocenną biżuterią.

Nawet garnitur, który w zeszłym tygodniu założył na wystawę w Bellhaus Museum, miał co najmniej dwa lata.

Nic nie trzyma się kupy.

Jedynym wiarygodnym wytłumaczeniem jest to, że pieniądze – *moje* pieniądze – posłużyły mu do kupienia milczenia jego kochanki.

Podnoszę krzyk.

Ale wyłącznie w myślach... gdzie nikt go nie usłyszy.

9

Wren

Uginający się materac i szarpnięcie za koc wrywają mnie z głębokiego snu, który nawet sprawiał mi przyjemność, bo nie było w nim tej zimnej, pogrążonej w ciemności chaty. Była w nim mama. I Evie. Dzień był ciepły, a my grałyśmy na dworze w kółko graniaste.

Im bardziej się wybudzam, tym szybciej zapominam swój sen i staję się jeszcze bardziej świadoma faktu, że nadal jesteśmy same.

Sage układa się obok, poprawiając warstwy pledów, po czym obejmuje mnie ramionami. Czubki jej palców są lodowato zimne. Dreszcze przenikają mnie tak długo, aż w końcu robi mi się ciepło – a raczej wystarczająco ciepło. Opatulam nas kocami i przesuwam dłonią po jej drżącym ramieniu, ale brak gęsiej skórki podpowiada mi, że Sage wcale nie jest zimno. Ona po prostu się boi.

Wczoraj wieczorem ktoś zapukał do drzwi naszej chaty. Odczekałyśmy dwie godziny, zanim odważyłyśmy się chociaż wyjrzeć przez okno, a gdy już miałyśmy pewność, że nieproszony gość sobie poszedł, pobiegłam do kurnika z nożem w ręce, aby odzyskać strzelbę.

Całą drogę tam i z powrotem przebiegłam najszybciej, jak potrafiłam. I choć ani razu nie zatrzymałam się, żeby się rozejrzeć, wszystko sprawiało wrażenie, że jest na swoim miejscu. Może zwyczajnie wyobraziłyśmy sobie to pukanie? Może iskry na kominku strzeliły akurat w tym samym momencie albo jakieś zwierzę posłużyło się naszymi drzwiami jako drapakiem?

Chwilę później słyszę już ciche pochrapywanie siostry i znowu przepełnia

mnie zazdrość. Mimo wyraźnego zmęczenia nadal miewam kłopoty z zaśnięciem. Gapię się wtedy w sufit i odliczam tyknięcia zegara na ścianie tak długo, aż w końcu tracę rachubę. Czasami udaje mi się naliczyć grubo ponad dwa tysiące tyknięć. Byłam przyzwyczajona do późnego przesiadywania i rysowania przy ogniu w te wieczory, kiedy nie mogłam spać, ale zużyłam już wszystkie ołówki, a niedługo po odejściu mamy i Evie skończył mi się papier do szkicowania.

Czasami mam straszną ochotę rysować, tak wielką, że aż świerzbią mnie palce.

Takie wieczory są dla mnie istną torturą.

Nabieram haust zimnego powietrza, wypuszczam go z płuc i przyglądam się, jak tworzy wokół mnie obłoczki. Podciągam się ostrożnie, przecieram zaspane oczy i próbuję skupić się na przygasającym w palenisku ogniu.

Sage zapomniała dołożyć drewna przed położeniem się do łóżka.

Znowu.

Ściągam z nas warstwę koców i biorę kilka małych polan oraz pogrzebacz. Choć nadal jestem zamroczona, jakimś cudem udaje mi się rozpalić ogień. Pocieram dłonią o dłoń i wyciągam je w stronę płomieni. Gdy w ciemności nie widzę już wydychanej przez siebie pary, wracam do łóżka.

– Przepraszam, Wren – szepcze Sage z półprzymkniętymi oczami.

– Nic się nie stało. Śpij.

Kładę się obok i wtulam w jej ciało, wsuwając ramię pod jej ramię. Włosy Sage pachną lawendowym mydłem mamy. Powinno mnie to pocieszyć, ale zamiast tego ogarnia mnie jeszcze większa tęsknota. Zamykam oczy i próbuję zasnąć. W chwili, w której wreszcie udaje mi się wygodnie ułożyć, rozlegają się trzy puknięcia do drzwi.

Uznałabym to za koszmar senny, gdyby nie Sage, która w ułamku sekundy siada na łóżku, z oczami wielkimi jak spodki. Drżąc, przyciąga koce pod brodę, a kiedy próbuje coś powiedzieć, przyciskam dłoń do jej ust, skutecznie ją uciszając.

Znów rozlega się trzykrotne puknięcie do drzwi, tym razem szybsze i bardziej stanowcze.

– Wiem, że tam jesteście.

Głos nieznanego jest głęboki, stłumiony przez oddzielające nas deski.

Zrywam się z miejsca w chwili, w której jego pięść uderza w nie po raz trzeci. Wyskakuję z łóżka i podbiegam do drzwi, by złapać wiszącą nad nimi strzelbę. Stawiam przed nimi stołek, włożę na niego i wyciągam rękę po broń.

Jeśli ten nieznajomy – ten intruz – ośmieli się przekroczyć próg naszego domu, nie zawaham się pociągnąć za spust. Muszę chronić Sage. Nasz dom. Dobytek. Nasze życie – a raczej to, co z niego zostało.

Czubki moich palców ledwie muskają metalową lufę, gdy zamek w drzwiach zostaje wyważony, a one same otwierają się gwałtownie, uderzając prosto we mnie. Tracę równowagę i przewracam się na drewnianą podłogę, bez broni w ręku.

Podmuch zimowego wiatru wypełnia chatę, a Sage podnosi krzyk.

Do naszego domu wdarł się mężczyzna.

10

Nicolette

Nie wiem, czego szukam, ale kiedy już to znajdę, od razu będę wiedziała, że o to chodziło.

Choć Brant jest artystą, to w jego garderobie wszystko jest perfekcyjnie zorganizowane. Wszędzie widać porządek, a każda rzecz ma swoje miejsce. Jestem pewna, że potrafiłby znaleźć swój ulubiony kaszmirowy sweter z zamkniętymi oczami, więc upewniam się, że wszystko, czego dotykam i co przesuwam, zostawiam ułożone dokładnie tak jak przedtem.

Przełądam półki ze złożonymi dżinsami, lustrzaną podstawkę, w której stoją jego ulubione wody kolońskie – Botkier, Creed i Burberry – oraz szufladę ze starannie poskładanymi T-shirtami i koszulkami polo, ale nie znajduję niczego, w czym nie chodziłby już co najmniej z dziesięć razy.

Przygryzając kącik ust, stoję na środku tego małego pomieszczenia, pod kryształowym żyrandolem, który nadaje garderobie Branta charakteru działu męskiego w domu towarowym Barneys, i pokonana powoli wypuszczam powietrze z płuc.

Brant nie zmienił perfum i nie kupił żadnych nowych ubrań. Nie ćwiczy więcej niż zwykle. Wychodzi pobiegać o piątej rano, a po południu, jeśli czuje się ospały, czasem zdarzy mu się pójść na małą wyprawę do lasu.

Każdy artykuł o zdradach, który przeczytałam w ciągu ostatnich paru tygodni, był pełen wskazówek, list kontrolnych i niezawodnych sposobów na odkrycie, czy partner zdradza czy też nie... i jak na razie, Brant nie spełnił żadnego z wymienionych kryteriów.

Nie licząc zdjęcia dziewczynki – które nadal leży na swoim miejscu –

jedynym sygnałem ostrzegawczym, na który się natknęłam, są przelewy na kilkadziesiąt tysięcy dolarów dokonane w ciągu ostatnich paru miesięcy. Każda z transakcji – od dwóch do pięciu tysięcy lub więcej – została przesłana na wspólne konto oszczędnościowe, które zamknęliśmy w tym roku. Pamiętam, że podpisałam dokumenty, a Brant powiedział, że pojedzie do miasta i wstąpi do banku, żeby zająć się resztą formalności.

Okłamał mnie...

Z tego, co się orientuję, dokonywał z tego konta regularnych wypłat i to właśnie na nim urywa się wszelki ślad.

– Co tu robisz, Nick?

Głos Branta odbija się echem od wysokiego sufitu, przyprawiając mnie o dreszcz.

– Rany boskie – mówię, odwracając się w jego stronę. – Przestraszyłeś mnie.

– Szukasz czegoś? – dopytuje, przyglądając mi się uważnie. Najwyraźniej postanowił skrócić poranny jogging.

Nigdy nie umiałam kłamać, a co za tym idzie, nie potrafiłam wymyślić niczego na poczekaniu.

– Swojego paska od Altuzarry – mówię. – Tego czarnego ze złotą sprzączką. Nie mogę go znaleźć. Pomyślałam, że może znalazł się przez pomyłkę w twoich rzeczach.

Brant świdruje mnie wzrokiem przez jedną, nieskończenie długą sekundę, po czym wychodzi na korytarz, kierując się do mojej części garderoby. Gdy wraca, ściska w dłoni czarny pasek Altuzarry ze złotą sprzączką.

Wypuszcza powietrze przez nos.

– To ten?

Zmuszam się do nonszalanckiego uśmiechu.

– No coś takiego! Nawet go nie zauważyłam.

Biorę od niego pasek, kładę dłoń na jego ramieniu i staję na palcach, aby go pocałować, obwąchując go dyskretnie, zupełnie jakbym była w stanie wyczuć na nim jej zapach. Tyle że Brant pachnie... jak Brant. Jak skórzana tapicerka jego tesli, chusteczki do czyszczenia obiektywów i ulotna woń płynu do kąpieli z wetiwerem z porannego prysznicza.

– Idę robić śniadanie – mówię, przez chwilę zatrzymując dłoń na jego piersi.

Oddech ma bardziej zdyszany niż zwykle, a spojrzenie wyjątkowo przenikliwe. Ciekawe, o czym myśli. Pewnie zastanawia się, czego szukam, albo dlaczego w ogóle to robię.

Coś mi mówi, że zna odpowiedzi na oba te pytania.

Przez te wszystkie spędzone razem lata ani razu nie przeszło mi przez myśl, żeby grzebać w jego rzeczach.

Nigdy nie musiałam.

Schodząc po schodach, przygryzam dolną wargę i zaciskam dłoń na poręczy, zatrzymując się na chwilę, by przetrwać to, co się przed chwilą stało.

Na przyszłość muszę być ostrożniejsza... Dopóki nie znajdę niepodważalnych dowodów na to, co robi za moimi plecami, muszę zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Gdy tylko zacznę podejrzewać, że go szpieguję, zacznę zacierać ślady, a wtedy nigdy nie znajdę tego, czego szukam.

Po wejściu do kuchni włączam piekarnik, aby się nagrzał, i zaczynam wyjmować na marmurowy blat składniki. W połowie krojenia cebuli i papryki włączam w telefonie aplikację muzyczną, by z głośników w kuchni poleciała znajoma piosenka Fleetwood Mac.

Zupełnie jak kolejny zwykły dzień...

Ale gdy tylko przechodzę obok ładowarki, dostrzegam tkwiący w niej telefon Branta. Zerkając co chwila w stronę schodów, upewniam się, że nie ma go nigdzie w pobliżu, po czym stukam w przycisk, by zobaczyć ekran. Strona ze wskazówkami o demaskowaniu zdradzających małżonków wymieniała „zmianę hasła w telefonie” jako jeden z głównych powodów do niepokoju, ale do tej pory nie miałam okazji sprawdzić telefonu Branta podczas jego nieobecności. Bateria jest prawie wyczerpana. Czyżby rozmawiał przez ostatnią godzinę? Zasięg jest tu czasami wyjątkowo słaby, rozładowując baterie w naszych telefonach szybciej niż zwykle, jeśli za długo rozmawiamy.

Na ekranie pojawia się białe okienko powiadomień informujące o tym, że dostał wiadomość z komunikatora internetowego iMessage od numeru 212.

Nie ma możliwości podglądu.

Do numeru nie jest przypisane żadne nazwisko.

Rozglądając się ukradkiem po kuchni, upewniam się jeszcze raz, że jestem całkiem sama, po czym wpisuję hasło Branta, by odblokować jego telefon.

4-5-0-4.

Rocznica naszej pierwszej randki.

Telefon wibruje, każąc mi „spróbować ponownie”.

4-5-0-4.

Spróbuj ponownie.

Dziwne. Czterocyfrowym hasłem, którego używaliśmy dosłownie do wszystkiego, od zawsze było 4504. Mechanizm otwierający garaż. PIN do naszych kart debetowych. Hasło do systemu alarmowego.

Marszczę brwi, ponownie zerkając w stronę schodów przed próbą wpisania innego hasła.

8-9-7-9.

Data urodzin Branta.

Telefon wibruje, prosząc o kolejną próbę.

Wpisuję datę swoich urodzin.

Rocznicę ślubu.

Numer domu.

Cztery ostatnie cyfry numeru ubezpieczenia społecznego Branta.

Telefon wibruje, a na ekranie pojawia się komunikat, że urządzenie zostało zablokowane na pięć minut ze względu na zbyt dużą liczbę prób zalogowania

Niech to szlag.

Biorę głęboki wdech i kończę krojenie warzyw. Gdy Stevie Nicks śpiewa o tym, by pamiętać o wszystkich rzeczach, które mieliśmy, a które utraciliśmy, modłę się w duchu, by mój mąż został na górze jeszcze przez pięć minut...

Wren

Sage dygocze, gdy obejmuję ją ramionami. Kulimy się we dwie na skraju jej łóżka stojącego w rogu chaty, opatulone szczelnie kocami, tak jakby były one w stanie ochronić nas przed obcym siedzącym przy stole i gmerającym przy naszej lampie naftowej.

– Nie używałem ich od wieków – mówi, gdy płomyk zaczyna pełgać po szklanej ścianie.

Snop światła padający na twarz nieznajomego podkreśla plamy i bruzdy na jego skórze. Policzki ma usiane głębokimi, okrągłymi bliznami, a jego czoło przecinają ostre linie, które biegną również od skrzydełek nosa aż do kącików ust.

Mama powiedziała mi kiedyś, że nasz kraj spustoszyła zaraza. Mówiła, że ludzie ciągle chorowali i umierali, przenosząc na innych straszliwą, nieuleczalną chorobą.

Zastanawiam się, czy ten nieznajomy był kiedyś chory.

Może nadal jest.

Zdejmuje z siebie ciężki płaszcz, ani razu nie spuszczając z nas wzroku.

– Całkiem tu przyjemnie. I ciepło.

Nie odzywamy się. Jestem pewna, że Sage ani razu nie mrugnęła.

– Jesteście tu całkiem same? – pyta, krzyżując nogi i opierając kostkę o kolano. Jest słusznej postury, a to, że siedzi na jednym z naszych małych, drewnianych krzeseł, jeszcze bardziej to podkreśla.

Sage wstrząsają dreszcze. Zaciskam dłoń na jej udzie.

– To dziwne, że dwie tak młode kobiety siedzą same w środku lasu –

dodaje, chichocząc pod nosem. – Na pewno nie mieszka z wami ktoś jeszcze?

Nie odpowiadam.

– Macie jakieś imiona? – pyta, ściągając z głowy czapkę. Włosy ma ciemne i matowe, jakby nie mył ich od dłuższego czasu. Przeczesuje je grubymi palcami, co tylko pogarsza ich stan. – Ile macie lat?

Siedzimy w milczeniu. To obcy człowiek. Intruz. Nie jesteśmy mu nic winne i nie musimy odpowiadać na żadne z jego pytań.

Przechylając się na bok, mężczyzna sięga do tylnej kieszeni, wyjmując z niej coś i kładzie na stole z głośnym trzaskiem. Przedmiot jest czarny i lśniący. Ma lufę, podobnie jak nasza strzelba. To chyba rodzaj jakiejś mniejszej broni.

– Widziałyście kiedyś coś takiego?

Podnosi przedmiot, nakierowując go w naszą stronę. Czarny metal lśni w blasku ognia lampy naftowej.

Zaciskam szczękę tak mocno, że boli mnie pół twarzy. Moje dłonie kurczowo trzymające koszulę nocną Sage robią się mokre od potu. Jestem spocona jak mysz. Dociera do mnie, że od momentu, w którym nieznajomy wparował do naszego domu, nawet na chwilę nie przestałam się trząść.

– Pewnie nie macie tu żadnych wtyczek, co? – pyta, rozglądając się po chacie. Podnosi się i zaczyna chodzić dokoła, szurając ciężkimi buciorami po drewnianej podłodze. – Macie tu prąd?

Nie mam pojęcia, o czym on mówi. Cokolwiek to jest, nigdy wcześniej o tym nie słyszałam.

– Jaja sobie robicie czy co? – mówi po obejrzeniu naszej kuchni. – To wygląda jak żywcem wyjęte z *Domku na prerii*.

Czytałam te książki – w rogu na półce stoi cała seria – ale nie rozumiem, o co mu chodzi, i co go tak bardzo śmieszy.

Siada z powrotem na jednym z kuchennych krzeseł. Nóżki trzeszczą i uginają się pod jego ciężarem. Chciałabym, żeby to idiotyczne krzesło się pod nim złamało. Gdybyśmy zdołały na moment odwrócić jego uwagę, to może udałoby się nam stąd uciec. Jednak na zewnątrz panuje przenikliwy ziąb, a nam nie starczyłoby czasu na porządne zasznurowanie butów i założenie płaszczy. Bez wody, jedzenia i najmniejszego pojęcia o tym,

w którą stronę iść, umarłybyśmy z powodu wychłodzenia organizmu, jeszcze zanim wzeszłoby słońce.

– Gdzie są wasi rodzice? – pyta, opierając zarośniętą szczękę o pięść. Ze swojego miejsca widzę, że za paznokciami ma ciemne półksiężycy brudu. Ciekawe od jak dawna wędrował po lesie. – Wiem, że nie mieszkacie tu same.

Nieznajomy uciska palcami grzbiet nosa.

– Słuchajcie, *nie chcę* robić wam krzywdy, ale szukam kogoś i mam przeczucie, że możecie pokierować mnie we właściwą stronę, więc jeśli za chwilę któraś z was się nie odezwie, to...

Wstaje z krzesła, zasłaniając blask i ciepło ognia bijące z kominka. Przechodzi przez pokój, zbliża się do łóżka Sage i bez słowa wyciąga ku nam dłonie. Zamykam oczy i ściskam siostrę tak mocno, że ta aż piszczy z bólu, ale wymyka się z moich objęć w ułamku sekundy, gdy nieznajomy wyszarpuje ją z mojego uścisku.

– Wren! – krzyczy Sage, a ja patrzę w jej kierunku przez zmrużoną powiekę.

Dopadł ją.

Obok mnie zostały jedynie zimna pustka i skłębione koce.

Sage wbija paznokcie w przedramię nieznajomego, ale on nawet nie drgnie.

Patrzy na mnie spod zmrużonych oczu, a drapieźny uśmiech na jego twarzy ścina mi krew w żyłach.

– Spróbujmy jeszcze raz. *Jak masz na imię?*

Czuję bolesny ucisk w piersi, gdy zauważam wielkie jak groch łzy toczące się po bladych policzkach Sage.

Jeśli coś jej zrobi, to będzie to wyłącznie moja wina.

Nie ochroniłam jej wystarczająco dobrze.

Uparcie odmawiam udzielenia odpowiedzi.

– Wren – wyrzucam z siebie w końcu.

– A ona?

Jego przedramię spoczywa tuż pod jej spiczastym podbródkiem, zakrywając całą szyję. Jedno potężne ściśnięcie wystarczyłoby, żeby uszło z niej całe życie.

– Sage – mówię, przenosząc spojrzenie z siostry na nieznanego i z powrotem.

– Ile macie lat? – pyta.

– Dziewiętnaście – odpowiadam, czując ściskanie w gardle. – A ona osiemnaście.

– Gdzie są wasi rodzice?

– Nasza matka udała się do miasta po zapasy – kłamię. – Może wrócić w każdej chwili.

Kącik jego ust unosi się w uśmiešku, odsłaniając pozółkłe zęby, ale nie ma w nim cienia wesołości.

– Masz mnie za idiotę? – Wzmacnia uścisk, a moja siostra z trudem łapie powietrze. – Krążyłem po okolicy przez wiele dni. Oprócz was nikt tu nie mieszka. – Rozgląda się dokoła. – Zauważyłem jednak, że w chacie stoją cztery łóżka. A w ścianie są cztery kołki, ale widzę tylko dwa płaszcze. Okłam mnie jeszcze raz, *Wren*, a nie spodoba ci się to, co będzie potem.

Odwracam wzrok.

– Kogo jeszcze brakuje?

Boję się skłamać po raz kolejny, więc mówię prawdę.

– Naszej siostry *Evie*. Poszła z mamą do miasta.

Rozluźnia nieco uchwyt, ale nie wypuszcza Sage. Jego nierówne brwi podjeżdżają do góry. Przygryza wargi, jakby usilnie się nad czymś zastanawiał.

– Wasza matka to *Maggie Sharp*, tak?

Kręcę głową.

– Nie wiem, kto to.

Ani razu nie myślałam o tym, czy mama ma jakieś imię i nazwisko. Mówiłam do niej „mamo”, tak samo jak Sage i *Evie*. Nigdy nie miałyśmy powodu, aby zwracać się do niej w inny sposób.

– Gówno prawda – powarkuje nieznanomy, a z ust pryska mu ślina. – W takim razie jak nazywa się wasza matka?

– Ona nie ma imienia.

Głos mi drży. Mówię prawdę, ale sposób, w jaki patrzy na mnie mężczyzna, sprawia, że czuję się, jakbym kłamała.

Jego szeroka pierś unosi się i opada. Przekrzywia głowę na bok.

– Nie igraj ze mną, Wren.

Przykładając dłoń do szaleni bijącego serca, mówię:

– To prawda. Ona... to po prostu mama.

– Jak zwracał się do niej wasz ojciec?

– Nie wiem. Nie pamiętam.

– Jak możesz tego nie pamiętać?

– Zmarł dawno temu. – Razem z naszą najstarszą siostrą, Imogen, ale nie wyjawiam tego nieznanemu, bo to i tak nie ma znaczenia. – Byliśmy małe. Nie pamiętam go zbyt dobrze, więc nie wiem, jak zwracał się do mamy.

Nie znam nawet jego imienia... mogłabym policzyć na palcach jednej ręki, ile razy mama opowiadała o nim i o Imogen. Smuciło ją mówienie o przeszłości i o tym, jak wyglądał wtedy świat. Utrata męża i pierwszego dziecka na pewno nie była tematem, który z chęcią by przywoływała. Widok jej niebieskich oczu szklących się od łez, gdy z trudem udawało jej się zachować spokój, za każdym razem rozdzierał mi serce, więc po jakimś czasie po prostu przestałam ją o to pytać.

Ich ciała leżą zakopane za domem. Nad ich grobami rośnie wierzba płacząca. Zdobia ją czerwone niecierpki, które mama sadi co roku na wiosnę. Były ulubionymi kwiatami Imogen. Wiem o moich bliskich tylko tyle, że tata miał kasztanowe włosy i głośno się śmiał, a Imogen wyglądała zupełnie jak ja. *Mogłybyście uchodzić za bliźniaczki*, mówiła mama. *Jesteś uderzająco podobna do swojej starszej siostry*.

Nieznajomy wydaje z siebie jęk zawodu i puszcza Sage. Moja siostra upada na podłogę, po czym pełźnie przez pokój i rzuca się w moje objęcia.

– Łaziłem po tym lesie całymi dniami. Czuję zmęczenie, a moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. Nie chcę na was wrzeszczeć ani zrobić czegoś, czego rano będę żałował, więc pozwolę wam wrócić do łóżek. Porozmawiamy ponownie, gdy tylko wzejdzie słońce.

Sage zerka na mnie ukradkiem, a ja próbuję wyrównać oddech, żeby się uspokoić.

Nieznajomy przykręca knot w lampie do momentu, w którym płomyk gaśnie, po czym chowa broń za pasek spodni i kieruje się w stronę łóżka mamy. Łapiąc mięsistymi łapami za jego kant, zaczyna napierać na nie

z całej siły. Drewniane nóżki szurają po podłodze, gdy łóżko przesuwa się do przodu. Nieznajomy sapie z wysiłku przy każdym popchnięciu mebla.

Nie pytam, czemu to robi.

Dobrze wiem, o co mu chodzi.

Dopycha łóżko do drzwi – naszej jedynej drogi ucieczki, nie licząc małych okienek. Gdy tylko udaje mu się ustawić łóżko w odpowiednim miejscu, nieznajomy ściąga buty i rozpina flanelową koszulę. Po chwili kładzie się i przykrywa kocem mamy, układając się wygodnie.

– Idźcie spać, dziewczyny. Za parę godzin nastanie ranek.

Biorę Sage za rękę i prowadzę ją do łóżka Evie, które stoi w największym oddaleniu od intruza. Pozwalam jej wejść jako pierwszej, z nadzieją, że poczuje się bezpieczniej, jeśli będzie spać między mną a ścianą, i opatulam nas szczelnie kocami.

Odwróciwszy się na bok, przyglądam się nieznajomemu spod zmrużonych powiek, bo instynkt podpowiada mi, żeby nie spuszczać go z oczu nawet na sekundę.

Będę obserwować go przez całą noc, jeśli to zapewni nam bezpieczeństwo.

I utrzyma przy życiu.

Poza tym nawet gdybym chciała, i tak nie zmrużyłabym oka.

Nie wtedy, gdy w naszym domu jest intruz.

Nie wtedy, gdy nie mam pojęcia, kim jest ani czego od nas chce.

Ani co planuje z nami zrobić jutro rano.

12

Nicolette

– O której masz lot?

Mój mąż przesuwa palcem po grzbietach książek w księgarni przy Hancock Drive – przypominającej odrestaurowaną wersję Main Street, gdzie każdy sklep i każda witryna są utrzymane w stylu wiktoriańskim i tudorskim, wystylizowane, by wyglądać jak pozostałości po czasach największej świetności górnictwa w Stillwater Hills.

To nasza sobotnia rozrywka. Jemy brunch w małej kafejce przy drodze, w której dobrze nas znają, po czym udajemy się do Raven Books, by przejrzeć najnowsze bestsellery, a następnie wracamy do domu do własnych zajęć – co w przypadku Branta oznacza zadekowanie się w swoim gabinecie, a dla mnie zrobienie prania, sprzątanie oraz rozmowy telefoniczne z przyjaciółmi i rodziną. Czasami, gdy bardzo się nudzę, biorę kąpiel z bąbelkami. Czasami robię internetowe zakupy w swoich ulubionych nowojorskich butikach, w których od dawna mnie znają.

Wcześniej tak nie było.

Kiedyś spędzaliśmy soboty w łóżku, robiąc krótkie przerwy na wzięcie prysznicza albo otwarcie kolejnej butelki wina. Nazywaliśmy je „nagimi sobotami”, co w tamtych czasach brzmiało aż nazbyt kiczowato, ale odkąd przestały się nam zdarzać, nie potrafię przypomnieć sobie, kiedy przestałam za nimi tęsknić ani kiedy Brant przestał ich chcieć, a to już mówi samo za siebie.

– Nie mówiłam ci? – pytam. Brant odwraca się w moją stronę, unosząc jasną brew. – W tym roku nigdzie nie jadę.

Jego dłoń zsuwa się z grzbietu egzemplarza *Alchemika*.

– Nie jedziesz? W sensie, że w ogóle?

Rozumiem jego zdziwienie. Przez cały okres trwania naszego małżeństwa, najzimniejsze miesiące spędzałam w Miami, w towarzystwie mojej najlepszej przyjaciółki, Cate. Słońce w połączeniu z dodatkową dawką witaminy D zawsze pomagały mi w niepoddawaniu się zimowej chandrze, a Cate zwyczajnie wymiata. Bardzo cenię sobie naszą przyjaźń. I choć w tej chwili przydałaby mi się dobra rozrywka, nie mogę jechać.

Nie wtedy, gdy dręczą mnie pozostające bez odpowiedzi pytania.

– Nick... – Głos Branta łagodnieje, a ja wiem, że będzie próbował przemówić mi do rozsądku. – Jesteś tego pewna?

Przytakuję, skupiając się na stojących przede mną książkach. Zdejmuję z półki egzemplarz *Atlasa zbuntowanego* i zaczynam go kartkować, tak jak robiłam to tysiące razy wcześniej z nadzieją, że tym razem przykuje moją uwagę w sposób, w jaki zawsze przykuwał uwagę Branta, ale okazuje się, że nadal gustuję głównie w komercji.

– Przecież wiesz, jaki miewasz nastrój o tej porze roku... – mówi, zbliżając się.

Wzdycham, przerzucając strony.

– Wiem.

– Do tego dochodzą koszmary – dodaje, tak jakbym potrzebowała przypomnienia.

Jakbym jakimś cudem potrafiła zapomnieć o powracających snach o pustym, porzuconym wózku dziecięcym, które zawsze prześladują mnie w zimowych miesiącach. Nie są przyjemne, ale zdążyłam się do nich przyzwyczać. Uznałam je za metaforę przedstawiającą moją niezdolność do posiadania dzieci. Zima, ogołocone z liści drzewa i szare niebo służą mi za coroczne przypomnienie tego faktu.

– Nie pozwolę, żeby koszmary dyktowały mi, czy mam jechać na Florydę, czy nie.

– Co myśli o tym Cate?

– Była rozczarowana, ale mnie wspierała. Powiedziała, że jeśli chcę, przyjedzie tutaj i spędzi ze mną kilka tygodni.

To prawda. Poznała po moim głosie, że coś jest nie tak, ale nie mogłam

zdradzić jej szczegółów. Nie gada się o takich sprawach z najlepszą przyjaciółką przez telefon. Rozmawia się o nich w cztery oczy – i wyłącznie wtedy, gdy ma się w rękach wystarczające dowody, by nie wyjść na znudzoną i samotną kurę domową, która zmyśla problemy z powodu własnej niepewności.

– Może pojechałabyś chociaż na parę tygodni? – sugeruje. – Albo na miesiąc.

Uśmiecham się krzywo, próbując go jak najszybciej splawić.

– Za bardzo się martwisz.

– Chyba po prostu... tego nie rozumiem – stwierdza.

To, że nie odpuszcza, jest zastanawiające, ale wcale mnie nie dziwi. Potwierdza jedynie moje wcześniejsze przypuszczenia – Brant chce, żebym wyjechała.

A może nawet *potrzebuje*.

Odwracając się w jego stronę, odpowiadam z uśmiechem:

– Czy jest coś złego w tym, że chcę spędzić więcej czasu ze swoim mężem?

– Oczywiście, że nie. Martwię się tylko, że twoja... *chandra*... wróci ze zdwojoną siłą.

Jednej zimy faktycznie tak było – gdy przeszłam zabieg histerektomii po wyjątkowo obfitym krwotoku, przez który upadłam nieprzytomna na podłogę. Brant czym prędzej zawiózł mnie na ostry dyżur. Wszystko działało się bardzo szybko, jakby w próżni, w której lepiej zapomnieć o złych wspomnieniach.

Jak przez mgłę pamiętam, że w trakcie rekonwalescencji przesypiałam niemal całe dni, chudnąc w oczach i wykorzystując resztki sił na słuchanie, jak Brant rozmawia przez telefon z moim lekarzem w pokoju obok. Martwił się o mnie. O to, że już nigdy nie będę tą dziewczyną, którą poślubił, że już nigdy się nie uśmiechnę ani nie roześmieję. Stale używał słowa „trauma”, ale wiem, że ludzie są w stanie przetrwać gorsze rzeczy.

Przynajmniej nadal żyję.

Tym, co uderza mnie najbardziej z tamtego okresu mojego życia, jest świadomość, że Brant mógł mnie z łatwością zostawić albo przekazać pod opiekę rodziców i samemu umyć ręce. Postąpił inaczej.

Został przy mnie.

I otoczył troskliwą opieką.

Kochał mnie przez cały ten czas. Znosił wybuchy płaczu, koszmary o pustym wózku, huśtawki nastrojów i apatię.

– To było dawno temu – przypominam mu.

Pierwsza zima po operacji była koszmarna. Nadal nie jestem do końca przekonana, że nie zapoczątkowało jej zaburzenie równowagi hormonalnej po zabiegu, ale nie mam dyplomu lekarza, więc moje sugestie zawsze były ignorowane.

– Oczywiście, a ty zawsze spędzasz zimę u Cate. – Nie odwrócił się ode mnie ani razu od chwili, w której zaczęliśmy tę rozmowę, a teraz opiera dłoń o biodro. Jego frustracja narasta i staje się coraz bardziej widoczna. – Jesteś pewna, że tego chcesz?

Zerkam na niego z ukosa, śmiejąc się pod nosem.

– Czemu pytasz? To ci zrujnuje plany?

– Nick. – Mina mu rzednie. Nie podziela mojej wesołości. Najwyraźniej nie podoba mu się, że nie biorę jego troski na poważnie. – Próbuję przeprowadzić z tobą szczerą rozmowę. To kwestia, która jest dla mnie niesłychanie ważna.

Czuję ściskanie w dołku. Jestem przekonana, że za jego słowami kryje się drugie dno. Brant wcale nie troszczy się o moje samopoczucie. Nie chce dopuścić, bym dowiedziała się o tym, co przede mną ukrywa.

– Po co robisz z igły widły? Starannie to przemyślałam. Od dziesięciu lat przyjmuję antydepresanty i chcę sprawdzić, czy będę w stanie przetrwać zimę w domowym zaciszu. Jeśli sytuacja stanie się dla mnie zbyt trudna do zniesienia, przysięgam, że możesz wsadzić mnie w pierwszy lepszy samolot do Miami, a ja nie będę stawiać oporu. Po prostu... pozwól mi sprawdzić, czy sobie poradzę. Chciałabym przynajmniej spróbować.

Spojrzenie jego zielonych oczu łagodnieje. Bierze mnie za rękę i składa na niej pocałunek.

– Tak bardzo cię kocham, Nick. Przepraszam. Po prostu... bardzo się o ciebie martwię.

– Za bardzo – mówię, przechylając głowę w bok i uśmiechając się nieznacznie, by pomyślał, że uważam to za rozbajające, a nie irytujące.

– Za bardzo – powtarza za mną jak echo, przyciskając usta do moich

palców w bezgłośnym pocałunku. – Pragnę jedynie twojego szczęścia. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby coś ci się stało.

Wren

Sage wierci się niespokojnie, gdy promienie słońca przebijają się przez zasłonki nad zlewem, a nieznajomy hałaśliwie przeszukuje naszą chatę.

Nie zmrużyłam oka przez całą noc.

Obejmując siostrę ramieniem, by nie zerwała się jak oparzona, obserwuję, jak mężczyzna grzebie w szafkach, rzucając na podłogę miarki i odsuwając na bok talerze.

– Nie mamy zbyt wiele jedzenia – mówię, siadając na łóżku. – Jeżeli tego właśnie szukasz.

Nieznajomy prycha pod nosem, wyraźnie niezadowolony.

– Na pewno coś tu macie. Wątpię, żebyście żyły na samej wodzie i powietrzu.

Odwraca się ode mnie i patrzy przez okno w stronę zagrody dla kóz. Nie mogę pozwolić, by je zabił. Nie hodujemy ich dla mięsa, tylko dla mleka, którego używamy potem do gotowania, pieczenia i wyrabiania tradycyjnych serów, masła i naturalnych mydeł. Mama przekazywała je człowiekowi od zapasów co kilka miesięcy, by sprzedał je na rynku. Wszystkie były przewiązane kolorowym szpagatem i pobłogosławione modlitwą.

Kozy to nasze źródło utrzymania.

Nie możemy sobie pozwolić na utratę ani jednej.

– Mamy w piwniczce trochę ziemniaków – mówię, wyslizgując się z łóżka.

Przechodzę na drugą stronę pomieszczenia i zaczynam zakładać trzewiki, gdy wyczuwam nad sobą jego obecność w postaci wielkiego cienia.

– Zaczekaj.

Odwracam wzrok, nie odpowiadając. Spoglądanie w jego paciorkowate oczy sprawia, że czuję w ustach posmak żółci. Nieznajomy śmieje się cicho, trzymając dłonie na biodrach.

– Niepotrzebnie tak się mnie boicie.

Powiedział wilk do owcy.

– Drżycie ze strachu od momentu, w którym się pojawiłem. To każe mi myśleć, że spróbujecie zrobić coś głupiego, gdy tylko was stąd wypuszczę – mówi. – Nie przyszedłem tu, by zrobić wam krzywdę.

– W takim razie co tu robisz?

Zmuszam się, żeby na niego spojrzeć. Moje zeszywniałe mięśnie drżą.

– W tej chwili chcę zjeść cholerne śniadanie – odpowiada, odsuwając się z szuraniem. – Pozwolę ci pójść do kurnika pod warunkiem, że zaraz wrócisz.

Dopiero wtedy przypominam sobie, że zostały nam tylko dwie kury, a to oznacza dwa jajka na cały dzień. Jestem pewna, że intruz zje oba.

– Idź. – Wskazuje na mnie palcem. – Za dwie minuty widzę cię z powrotem.

Zerka na moją siostrę, a potem na mnie. Czyżby uważał, że stanowią dla niego zagrożenie? Sekundę później odsuwa łóżko mamy spod drzwi.

Zakładam płaszcz i zasznurowuję trzewiki, po czym biorę stojący przy drzwiach koszyk i wychodzę na mróz. Porywisty wiatr szarpie moje włosy, gdy brnę przed siebie. Wchodzę do kurnika, w którym natrafiam na dwie gdaczące kury. Szybko znajduję jeszcze ciepłe jajka, które chowam do koszyka.

Po drodze wstępuję do piwnicy, zgarniam trzy małe ziemniaki i biorę do smażenia trochę masła z koziego mleka. Po powrocie do chaty zastaję nieznanego nad umywalką. Wziął różową szczoteczkę do zębów naszej mamy i zapaprał wodę brudem z dłoni i twarzy. Będę musiała pójść do studni, by zaczerpnąć świeżej wody. O ile w ogóle mi na to pozwoli.

Kładę koszyk z jajkami na kuchennym blacie razem z ziemniakami i masłem, wyciągam z szuflady stępiony nóż i zaczynam kroić, wkładając sporo siły w przecięcie brązowej bulwy. Chwilę później podchodzi do mnie Sage, by się do czegoś przydać. Jestem pewna, że po prostu chce trzymać

się blisko mnie, a nie przygotowywać posiłek dla tego człowieka.

Robimy śniadanie w pełnej napięcia ciszy. Kątem oka dostrzegam, że nieznajomy ściąga koszulę i zanurza ją w misce, której używamy do mycia twarzy i zębów. Szoruje ją do czysta kawałkiem naszego mydła, po czym wykręca nadmiar wody i wiesza ją na haczyku nieopodal kominka. Jego szerokie ramiona i żylaste mięśnie zakrywa jedynie koszula, od której odcięto rękawy.

Nieznajomy jest dziwny i nieprzewidywalny, równie dziki jak wszystko, co kryje się za sosnowym lasem.

Wróciwszy do stołu, przygląda się, jak przygotowujemy posiłek. Jego spojrzenie działa nam na nerwy. Gdy w końcu przekładam jedzenie na talerz i mu go zanoszę, patrzy najpierw na mnie, a potem na posiłek.

– Będziecie coś jeść? – pyta, wyszarpując widelec z mojej dłoni i przysuwając bliżej talerz. – Czy wolicie tak stać i się gapić? Matka nie nauczyła was, że gapienie się jest nieuprzejme?

Parska śmiechem, sapiąc przez zakrzywiony nos.

Sage spuszcza głowę i obejmuje ramionami swoją wążutką talię. Zerkam w stronę patelni, na której zostało trochę ziemniaków.

Oddaliśmy mu oba jajka.

Baliśmy się postąpić inaczej.

W milczeniu dzielimy się pozostałym jedzeniem. Siadam naprzeciwko nieznajomego. Gdy biorę pierwszy kęs, mój ściśnięty z nerwów żołądek podchodzi mi do gardła. Głód miesza się ze zdenerwowaniem, ale zmuszam się, by pogryźć i połknąć jedzenie. Powtarzam tę czynność kilka razy, aż w końcu mój talerz jest pusty.

Sage grzebie w swoich ziemniakach, więc szturcham ją pod stołem. Jedzenie może i jest już zimne, a ona może nie mieć apetytu, ale musi coś zjeść... szczególnie jeśli chcemy mieć szansę na to, by się stąd wydostać.

Nie spałam przez całą noc, obmyślając plan ucieczki. *Zauważ, jeśli spakujemy torby. Zorientuje się, jeśli wyjdziemy po jajka i zaraz nie wrócimy. Kilka minut to za mało, by zyskać przewagę. Poza tym wątpię, by pozwolił nam obu wyjść z chaty w tym samym czasie. Do tego dochodzi fakt, że nawet jeśli przedrzemy się przez zastłonę drzew, nie mam bladego pojęcia, w którą stronę iść. Jest ryzyko, że zgubimy się w lesie albo, co gorsza,*

padniemy ofiarą jakiegoś wygłodniałego zwierzęcia.

Myśl o ucieczce jest równie przerażająca jak myśl o pozostaniu w chacie.

Mężczyzna kończy jeść śniadanie i wyciera tłuste usta o grzbiet pokrytej włosami dłoni. Przechylając się na bok, wyciąga z kieszeni zielono-białe prostokątne pudełko oraz małe niebieskie ustrojstwo z czerwonym guzikiem na końcu.

Stuka pudełkiem o blat stołu. Wyłania się z niego coś na kształt białego patyczka. Nieznajomy bierze go do ust, a potem przesuwając kciukiem po jednym boku niebieskiego urządzenia i wciska czerwony guzik. W ułamku sekundy pojawia się mała płomyczka.

Razem z Sage przypatrujemy się, jak przysuwa miniaturowy płomień do patyczka i zaciąga się głęboko. Końcówka patyczka żarzy się na czerwono, a potem na pomarańczowo, do chwili, w której pojawia się smużka szarego dymu wypełniającego powietrze intensywnym, odpychającym zapachem, znacznie różniącym się od tego, który wydobywa się z naszego kominka.

Zaciągając się głęboko, nieznajomy trzyma patyczek między kciukiem a palcem wskazującym, po czym wypuszcza z ust obłok bieli, która na kilka sekund zasłania mu twarz.

Sage zanosi się kaszlem.

Wstrzymuję oddech.

Nie podoba mi się ten zapach: jest obcy, agresywny i nieprzyjemny. Zupełnie jak on.

– Wiecie, że mamy teraz Boże Narodzenie? – pyta, patrząc na nas swoimi ciemnoniebieskimi oczami.

Kiwam głową. Nie planowałam świętować w tym roku, więc nie wspominałam Sage o zbliżającej się Gwiazdce. Obdarowywanie się prezentami bez mamy i Evie wydało mi się niestosowne. Poza tym nie mamy nic, z czego można by przygotować świąteczną ucztę.

– Pewnie jest wam ciężko, że matki nie ma dziś z wami. – Znów przykładła biały patyczek do ust, by po chwili wydmuchnąć kolejne kłęby dymu. – Jak myślicie, gdzie ona może być?

Dotykam pod stołem dłoni Sage, ściskając ją mocno z nadzieją, że domyśli się, iż ma trzymać język za zębami.

– To strasznie dziwne, że matka porzuciła swoje córki akurat na czas

świąt – ciągnie intruz. – Coś mi tu nie gra.

Obserwuje nas bacznie, zasysając powietrze przez patyczek tak długo, aż jego końcówka nie zacznie płonąć jaskrawą czerwienią. Na blat opada kupka popiołu, którą mężczyzna zmiata na podłogę.

– Ona wróci – mówię. – Nie zdziwiłabym się, gdyby zaraz tu weszła.

Patyczek zwisa mu z kącika ust, sprawiając wrażenie, że może w każdej chwili wypaść.

– Marna z ciebie kłamczucha.

Posyłam mu nerwowe spojrzenie.

– Powiedz mi, Wren, jak wygląda wasza mama?

Jego dziwna fascynacja kobietą, której nigdy nie spotkał, sprawia, że włoski na karku stają mi dęba. Siadam prosto, chrząkając dyskretnie i oblizując wyschnięte wargi. Jedna część mnie ma chęć skłamać. Druga zaś boi się tego, co nieznajomy może nam zrobić, gdy połapie się, że nie mówię prawdy.

– Ma blond włosy, ale w ciemniejszym odcieniu. Niebieskie oczy, prawie szare. I jest wysoka, wyższa ode mnie.

Unoszę dłoń kilka centymetrów ponad głowę, pamiętając o sposobie, w jaki zawsze mierzyłyśmy swój wzrost. Przestałam rosnąć, gdy zaczęłam sięgać podbródka mamy.

Mężczyzna gasi biały patyczek na drewnianym blacie naszego stołu, zostawiając na nim czarny, wypalony ślad, po czym ciska go do kominka. Odchylając się na krześle, krzyżuje ramiona na piersi i przygląda mi się uważnie.

– To może być każdy – stwierdza. – Masz jakieś zdjęcie?

– Co takiego?

– Zdjęcie – powtarza. – Fotografię.

Marszczę brwi.

– Nie.

– Czy ktoś zrobił ci kiedyś zdjęcie? Aparatem?

Trzyma ręce przed twarzą, zakrzywiając palce, ale nie bardzo wiem, co właściwie chce mi pokazać.

– Nie.

– Niech to szlag. – Przesuwa dłonią po zarośniętej twarzy, a odgłos, jaki

temu towarzyszy, przyprawia mnie o ciarki. – Do kogo jest bardziej podobna? Do ciebie czy twojej siostry?

Zerkam z ukosa w stronę Sage, która ani trochę nie jest podobna do mamy. Nie łączy ich żadna cecha wyglądu. Mama zawsze powtarzała, że Sage odziedziczyła delikatne rysy twarzy i alabastrową cerę po tacie, ale nikt nie wie, po kim ma ciemne włosy.

– Do mnie – mówię, choć ja też w niczym jej nie przypominam.

Któregoś dnia stałyśmy obok siebie przed lustrem i przygotowujemy się do snu, a ja porównałam nasze rysy twarzy. Nieco wcześniej mama udzieliła nam lekcji biologii, opowiedziała o genetyce i szachownicy Punnetta, więc to normalne, że byłam ciekawa. Wystarczyło jednak kilka minut, abym uświadomiła sobie, że nie łączy nas ani jedna wspólna cecha zewnętrzna. Nos mamy był nieco przyduży w porównaniu do reszty jej twarzy, a rzęsy miała krótsze od moich. Moje oczy charakteryzowały się opadającymi na nie powiekami, jej były bardziej wyraziste. Moja twarz była owalna, jej pociągła. Brwi miała ciemniejsze i grubsze od moich, a gdy się uśmiechała na środku lewego policzka robił jej się dołeczek. Jej włosy miały odcień ciemnego blondu, a moje były jak blask sierpniowego słońca, miękkie i złociste.

Gdy spytałam ją, dlaczego tak bardzo się od siebie różnimy, parsknęła śmiechem, zmierzwiła mi włosy i powiedziała, że genetyka to przewrotna rzecz, i że czasami możemy wyglądać zupełnie jak nasi dziadkowie, ciotki albo kuzyni, a nie jak rodzice, po czym dodała, że bardzo przypominam jej własną matkę, włącznie z białymi plamkami w błękitnych źrenicach.

– Ma usta w kształcie serca – mówię, czując ucisk w piersi, gdy myślę o tym, jak bardzo tęsknię za jej uśmiechem. – Jej górna warga... – kreślę palcem w powietrzu – wygląda tak.

– Łuk kupidyna.

Nie bardzo wiem, co ma na myśli, ale średnio mnie to interesuje.

Potrzebuję chwili, by zapanować nad emocjami. Oddycham ciężko. Nieznajomy czeka, aż powiem coś jeszcze, ale nie mam już nic do dodania. Twarz mamy już na zawsze będzie tkwić w mojej pamięci, ale żadne próby opisanie jej wyglądu obcemu człowiekowi nie oddadzą jej piękna.

Przypominała mi królową z bajki – dobrą i szlachetną – z sercem

przepełnionym miłością, która przejawiała się w łagodnym tonie jej głosu, gdy do nas mówiła, i błysku zadowolenia w oczach, gdy nas przytulała i czytała nam co wieczór przed pójściem spać.

Zaciskając mocno powieki, próbuję odpędzić palące ukłucie łez, by nieznajomy nie zobaczył, że płaczę.

– Czy ma tutaj jakieś znamię? – Mężczyzna wskazuje palcem na miejsce po prawej stronie swojego nosa. – Mały pieprzyk w kolorze skóry. Trudno go dostrzec, chyba że patrzy się na niego we właściwym świetle.

Moje serce zamiera na ułamek sekundy.

– Nie – kłamię. – Nie ma.

Nicolette

Brant zamyka walizkę, po czym siada obok na łóżku. Przykładając dłoń do mojego policzka, przesuwając kciukiem po mojej dolnej wardze i kradnie mi całusa.

Gdybym postąpiła tak jak w ubiegłym roku, odpoczywałabym teraz na Florydzie i rozkoszowała się słońcem, wylegając się ze stopami schowanymi w białym piasku. Morska mgiełka i wilgoć w powietrzu spłaszczyłyby i skręciły mi włosy, a ja słuchałabym kolejnej pikantnej historii Cate dotyczącej jej życia miłosnego.

Uwielbiałam spędzać z nią czas. Zimy na północy stanu Nowy Jork są pochmurne i nijakie. Zimy z Cate są beztroskie, przezabawne i bajecznie kolorowe. Jej dom znajduje się bezpośrednio nad wodą. Nic nie może się równać z budzeniem się przy dźwiękach fal Atlantyku rozbijających się o brzeg albo krzyku mew szybujących nad wybrzeżem.

Przez lata podsuwałam Brantowi subtelne wskazówki sugerujące, że chciałabym mieszkać gdzieś, gdzie jest zielono i ciepło, ale on nie chciał o tym słyszeć. „Dopóki nie będziemy mieć siwych włosów i nie przejdziemy na emeryturę, nie widzę sensu w tym, byśmy przerzucali się na florydzki styl życia. Przytyjemy, rozleniwimy się i zgnuśniejemy przez słońce”, powiedział. Poza tym, lubi mieszkać niedaleko Nowego Jorku, bo jak twierdzi, dzięki temu może w ciągu paru godzin wsiąść na pokład samolotu i polecieć tam, gdzie go potrzebują.

Postanowiłam zatem spędzać zimy u Cate.

Artyści to dziwni, kapryśni ludzie. Kreatywność Branta czasami go

wyczerpuje. Czasami zaś rozpala w nim płomień tak jasny, że prawie widzę go w jego oczach. W jednej chwili wszystko w nim ożywa. To piękne i zaraźliwe, a także stanowi jeden z powodów, dla których się w nim zakochałam.

Ostatnimi czasy bywa zgaszony i zablokowany – a przynajmniej tak utrzymuje. Wątpi w siebie i jest pod presją, czując się jak skończony oszust, a za minutę jak wypalony, przebrzmiały artysta, niepamiętający o wystawie w Bellhaus Museum.

Mąż bierze mnie za rękę.

– Na pewno będzie ci tu dobrze?

– Przecież sama zaproponowałam, że do ciebie dołączę.

Odbyliśmy już tę rozmowę, chwilę po tym, jak poinformowałam go, że zostaję w Nowym Jorku na zimę. Zaproponowałam, że potowarzyszę mu w trakcie wyjazdu, celowo przeciągając wszystko w czasie, by jego łączony lot z Dallas do Mariscal Sucre International Airport został całkowicie zabukowany. Wtedy doszliśmy do wniosku, że nie ma sensu, żebym towarzyszyła mu w podróży, ale nie mogłam pogodzić się z wyrazem ulgi w jego oczach, która pojawiła się w nich, gdy dotarło do niego, że się ze sobą zgadzamy.

– Będę codziennie sprawdzał, co u ciebie słysząc – mówi. – I przez cały czas będę miał przy sobie telefon.

Próbuje mi to zrekompensować? Przypomina, że jest dostępny o każdej porze dnia i nocy, bo czuje się winny z powodu tego, co przede mną ukrywa?

– Nic mi nie będzie.

Wstaję z łóżka, wsuwając dłonie do tylnych kieszeni dżinsów i zmuszając się do uśmiechu. Brant bierze walizkę i stawia ją pod drzwiami naszej sypialni, po czym sprawdza telefon – ten sam, w którym z niewytłumaczalnych powodów zmienił hasło, uniemożliwiając mi do niego dostęp – po czym odkłada urządzenie.

– Taksówka będzie tu za dwie minuty.

Nasze spojrzenia się spotykają. W jego oczach i wyraźnych zmarszczkach na czole widać zmartwienie. Nie potrafię tylko rozróżnić, czy martwi się o mnie, czy o siebie.

Idę za nim do westybulu przy schodach. Brant kładzie walizkę przy drzwiach, po czym odwraca się w moją stronę.

– Będę za tobą tęsknił – mówi, odgarniając kosmyk włosów z mojego czoła.

– Ja za tobą też.

Mówię to wyłącznie dla zachowania pozorów.

Brant przysuwa do siebie moją twarz, napierając delikatnie palcem na spód podbródka, i całuje mnie ponownie, tym razem mocniej i chciwiej. Telefon brzęczy w jego kieszeni, a ja kątem oka dostrzegam czarnego sedana zatrzymującego się na podjeździe.

– Przyjechała twoja taksówka – mówię, wycofując się.

Brant zagryza wargi, przez chwilę mierząc mnie wzrokiem, ale poklepuję go po piersi i odsuwam się na bok.

– Uważaj na siebie – dodaję, jak zawsze zresztą.

Mój mąż naciska klamkę, a ja całuję czubki palców i macham mu na pożegnanie.

– Brant?

– Tak?

Odwraca się w moją stronę.

– Prawie bym zapomniała... otrzymałam ostrzeżenie o oszustwie w związku z środkami na moim funduszu powierniczym – wyjaśniam, marszcząc brwi. Specjalnie zaczekałam na ten moment, gdy ruszy w drogę za granicę i nie będzie miał szansy na zatarcie śladów. – Kazałam zamrozić środki do czasu, aż ustalimy, co się dzieje.

– Hmm. – Jego jabłko Adama podskakuje nerwowo, a opalona skóra na ułamek sekundy robi się biała jak płótno. – To... rzeczywiście dość niepokojące. Zajmę się tym po powrocie. Jestem pewien, że to nic takiego.

Przez moment stoi nieruchomo w drzwiach, a po chwili już go nie ma.

Wren

– Wsuwajcie, dziewczyny – mówi nieznajomy, odrywając kawałek koziego mięsa z żeberka. – Kto nie marnuje, temu nie brakuje.

Mama zawsze to powtarzała.

Moje nozdrza wypełnia intensywna woń pieczonego mięsa spoczywającego na talerzu. Nie zdążyłam go jeszcze spróbować, ale z góry wiem, że żadna ilość przypraw, które mamy w szafce, nie sprawi, że zapomnimy, iż za chwilę zjemy mięso jednej z naszych ulubionych kóz.

Sage zwymiotowała w trakcie przygotowywania tego posiłku.

Spojrzała przez okno na krew i skórę leżącą w brązowej trawie, gdzie nieznajomy zastrzelił jedną z kóz, i dostała mdłości. Kochała te kozy tak samo, jak kochałyśmy małego pieska rasy collie, którego kiedyś miałyśmy, ale nam uciekł.

Błagałam intruza, aby nie zabijał kóz, ale wziął naszą strzelbę i wyszedł na zewnątrz, trzaskając drzwiami. Dźwięk wystrzału odbił się echem w całej chacie, wstrząsając szybami w oknach. Razem z Sage tuliłyśmy się do siebie, dopóki nie wrócił w poplamionej krwią kurtce, by wziąć z torby nóż myśliwski.

– Prędzej szlag mnie trafi, niż znowu zjem na śniadanie jajka z ziemniakami – powiedział, prychając gniewnie.

Wbijam widelec w mięso i odrywam kawałek. Moje nozdrza wypełnia przyjemny zapach. Wsuwam kęs do ust. Smak jest wyraźniejszy niż w przypadku kurczaka, a konsystencja dość zbita, niemal gumowata.

Szturchając Sage łokciem, szepczę:

– Jedz.

Skoro biedna koza i tak straciła życie, to możemy ją zjeść. Wstyd by było, gdyby zginęła wyłącznie po to, by stać się posiłkiem dla intruza.

Nadal nie jestem pewna, co on tu robi. Wiem tylko, że zna mamę... Nie chce jednak zdradzić skąd ani dlaczego jej szuka.

– Zawsze tu mieszkaliście? – pyta, wydłubując kawałek mięsa spomiędzy zębów i mlaszcząc.

– Tak – mówię, ale ani słowem nie wspominam, że czasami w mojej głowie pojawiają się wspomnienia tego, jak mieszkałam w domu z kwiecistymi tapetami na ścianach i miękkimi, włochatymi podłogami, które łaskotały mnie w stopy, gdy po nich biegałam.

Mama twierdziła, że to „fałszywe wspomnienie”, które prawdopodobnie zaczerpnęłam z jednej z książek, którymi się zaczytywałam. Nigdy tego nie rozumiałam. Skoro te wspomnienia były fałszywe, to dlaczego wydawały mi się takie realne?

– Czy ja dobrze rozumiem? – pyta, prostując się na krześle i celując w nas widelcem. – Mieszkaliście w tej chacie przez całe swoje życie?

Przytakuję.

– Chodziłyście w ogóle do szkoły? Z innymi dziećmi? Żeby się uczyć?

Patrzymy na siebie z Sage, po czym obie kręcimy głowami. Mama powiedziała, że szkoły przestały być bezpieczne. Że byli rodzice, którzy rano posłali do nich dzieci, a potem już nigdy ich nie zobaczyli.

– Miałyśmy lekcje – wyjaśniam.

– Lekcje czego?

– Czytania, pisanie, dodawania i odejmowania – precyzuję. – Czasami uczyłyśmy się historii i geografii.

Historia zawsze mamę smuciła. Po przejrzeniu jednej z jej książek poświęconych społecznym niesprawiedliwościom i natknięciu się na akapit opisujący człowieka noszącego nazwisko Martin Luther King Jr., uświadomiłam sobie, że podawała nam mocno okrojoną wersję wydarzeń. Przeczytałam rozdział o jego walce o pokój i równość, za którą go zamordowano.

Zrozumiałam wtedy, że mama nie bez powodu pomijała pewne rzeczy.

Chciała nas chronić przed obłędem świata zewnętrznego.

– Oglądaliście telewizję? – Nieznajomy kręci głową i prycha pod nosem. – Jasne, że nie. Przecież nie macie prądu.

– Czym jest... *tele... wizja*? – pyta Sage.

– To coś, w czym można oglądać różne programy. I filmy.

Jego wyjaśnienie nie trafia do Sage, ale pamiętam, jak mama opowiadała, że widziała coś takiego jako dziecko. Przychodziła ze szkoły i oglądała swoje ulubione programy, dopóki rodzice nie wrócili z pracy i nie przełączyli na wiadomości. Wiadomości zawsze ją przygnębiały, bo ludzie mówili w nich wyłącznie o złych rzeczach dziejących się na świecie. Nigdy nie rozumiała, dlaczego jej rodzice chcieli to oglądać.

Jedyną rzeczą, którą mama lubiła w oglądaniu telewizji, była prognoza pogody. Dorastała w La Jolla, mieście w południowej Kalifornii, gdzie zawsze było słonecznie i ciepło. Mogła bawić się na dworze całymi dniami. Potem jej ojciec dostał pracę w Nowym Jorku, a ona już nigdy nie zamieszkała z powrotem w La Jolla. Życie tam było zbyt drogie, mówiła. Obiecała jednak, że pewnego dnia nas tam zabierze.

– Jest coś takiego jak ekran – ciągnie nieznajomy, kreśląc w powietrzu prostokąt – na którym widać występujących ludzi... i rzeczy... nie wiem, jak to opisać. Ogląda się to dla rozrywki, kiedy człowiek jest znudzony.

Wracam do letniego posiłku, przesuwając mięso po talerzu i przygotowując się mentalnie na wzięcie kolejnego kęsa.

– Wiele tracie – dodaje, wpychając do ust porcję jedzenia. – Będziecie miały nie lada gratkę, jak tylko zabiorę was z tego prymitywnego piekła.

Upuszczam widelec, który odbija się z klekotem od cynowego talerza.

– Co to ma znaczyć, że nas stąd zabierzesz?

Mężczyzna mruży oczy.

– Za kilka dni opuszczę to miejsce. Pójdziecie ze mną.

– Nie wolno nam – wtrąca Sage, zanim udaje mi się cokolwiek powiedzieć.

Nieznajomy wzrusza ramionami.

– Kto tak twierdzi? Wasza mama? Ta, której tu nie ma? Która zostawiła was same na pewną śmierć?

Zaciskam szczękę, chwytając mocniej rączkę widelca, by powstrzymać się przed wbiciem go w dłoń nieznajomego.

– Wcale nie zostawiła nas na pewną śmierć – oznajmiam stanowczym tonem.

Intruz unosi wymownie brew, po czym uśmiecha się kpiąco.

– Jestem innego zdania. Nie znam żadnej matki, która zostawiłaby młode córki same w lesie bez wystarczającej ilości pożywienia, które pozwoliłoby im przetrzymać zimę.

– Prędzej umrę z głodu, niż gdzieś z tobą pójde – mówię. – Jeśli zamierzasz nas zabić, to lepiej po prostu nas tu zostaw.

Dobrze wiem, jak skromne mamy zapasy. Umrzemy z głodu przed końcem miesiąca.

Nieznajomy wybucha gromkim śmiechem, dzięki któremu wygląda na nieco mniej groźnego.

– *Zabić?* Po co miałbym was *zabijać?*

– To czego od nas chcesz?

Wzrusza ramionami, sadowiąc się wygodniej na krześle.

– To skomplikowane. Wkrótce się dowiecie.

– Evie jest chora – wypala zniecierpliwiona Sage, choć może robi to, by zmienić temat na coś, co potrafi zrozumieć. – Mama zabrała Evie do miasta, by zapewnić jej pomoc. Evie potrzebowała lekarstwa. Wrócą, gdy tylko wyzdrowieje.

Gdy Sage wypowiada to na głos, po raz pierwszy dociera do mnie, jak wielką głupotą jest wiara w to, że jeszcze tu wrócą. Znika moja ostatnia nadzieja.

Nieznajomy zasłania brudną ręką złośliwy uśmiezek. Śmieje się z naiwności mojej siostry.

– Nie chcę was martwić – mówi, wyciągając widelec i kradnąc nasze niezjedzone mięso – ale ona nie wróci.

Sage odwraca się do mnie z oczami pełnymi łez, a ja ściskam mocno jej dłoń. Intruz zjada mięso i przesuwa talerz w naszą stronę.

– To był długi dzień. Chyba utnę sobie drzemkę.

Wstaje od stołu, podchodzi do łóżka mamy, zaciska tłuste palce wokół nówek i przesuwa je z powrotem pod drzwi. Chwilę później ściąga kapelusz z jednego ze słupków i układa się pod kocami, chowając twarz. Starając się robić jak najmniej hałasu, sprzątamy ze stołu i napełniamy zlew wodą, by

umyć naczynia.

– Wren – szepcze Sage, przysuwając się bliżej. – Jak myślisz, dlaczego on szuka mamy?

Patrzę na nią kątem oka, przykładając palec do ust i uciszając ją. Nieznajomy leży na łóżku niecałe sześć metrów od nas i nie zdążył jeszcze zachrapać. Nie możemy ryzykować, że usłyszy, jak rozmawiamy o *czymkolwiek*.

Patrząc na tablicę ze skreślanym kalendarzem wiszącą w rogu nad półkami biblioteczeki, gdzie mama kazała nam siadać na plecionym dywanie na czas lekcji, dostrzegam nasze łupkowe tabliczki do pisania i puszkę z kredą.

Przechodzę przez pokój na palcach, biorę dwie tabliczki i zaczynam pisać pierwszą wiadomość dla Sage. Kreda piszczy w zetknięciu z powierzchnią tabliczki. Zatrzymuję się, czując, jak serce podchodzi mi do gardła. Obie patrzymy na nieznajomego, ale on ani drgnie.

Przyciskam kredę delikatniej i piszę: NIE MOŻE USŁYSZEĆ, JAK ROZMAWIAMY.

Sage przytakuje, pisząc coś na swojej tabliczce. BOJĘ SIĘ.

– Wiem – mówię bezgłośnie, dodając kolejną wiadomość: WYDOSTANĘ NAS STĄD.

JAK?

Wzruszając ramionami, mówię cicho:

– Nie wiem.

Dopisuję kolejną wiadomość: DZIŚ WIECZOREM COŚ WYMYŚLĘ. Zmazuję ją i dodaję następną: BĘDZIEMY MUSIAŁY STĄD ODEJŚĆ, JAK MAMA I EVIE.

Ciemne oczy Sage robią się wielkie jak spodki. Przygryza wewnętrzny kącik ust.

Nim skończymy myć naczynia, zapisuję ostatnią wiadomość i odwracam tabliczkę, by ją zobaczyła.

NIE POZWOLE, ŻEBY COŚ NAM SIĘ STAŁO.

Nicolette

Ogień na kominku trzeszczy, a po mojej prawej, na marmurowej podkładce, stoi kubek mocnej kawy. Przeglądam media społecznościowe Branta i jego konta mailowe. O dziwo, nie zmienił żadnego z haseł dostępu – nadal jest nim „BGNG777”.

Brant na pewno wylądował już w Ekwadorze, kompletnie nieświadomy tego, co robię tysiące kilometrów od niego, za oceanem, na innym kontynencie. Nie opuszcza mnie poczucie winy za szperanie po jego osobistych kontaktach, ale po wszystkim, na co się ostatnio natknęłam, nie mam innego wyboru.

Jego skrzynka odbiorcza jest pusta.

Typowe.

Trochę spamu, ale nic niepokojącego. Otwieram folder z wysłanymi wiadomościami, ale znajduję tam wyłącznie nudną korespondencję pomiędzy nim a potencjalnymi kupcami. Przeglądając pozostałe foldery, zaczynam od oznaczonego jako „Ważne”, a potem przechodzę do folderu podpisanego moim imieniem, który zawiera jedynie potwierdzenia kupna prezentów podarowanych mi w ciągu kilku ostatnich lat.

To zrozumiałe, że nie miał potrzeby zmieniać haseł – nie ma tu niczego, co by go obciążało.

Przeglądając jego profil na Facebooku, sprawdzam wiadomości, głównie od wiernych fanek. Niektóre posuwają się tak daleko, że wysyłają mu niemoralne propozycje i zdjęcia topless. Przeczytał każdą z nich, ale z tego, co widzę, na żadną nigdy nie odpowiedział.

Zastanawiam się, co to może znaczyć... To, że nie zająknął się ani słowem o istnieniu tych wiadomości. Próbował mnie przed nimi ochronić? A może chciał mieć pewność, że nie będę miała powodu, aby wątpić w jego lojalność względem mnie?

Przez następną godzinę przetrząsam drobiazgowo każdy z jego profili w mediach społecznościowych, ale niczego nie znajduję. Otwieram w telefonie okno prywatnego przeglądania. Na stronie wyszukiwarkaoszustów.com radzą, by sprawdzić konta telefonów komórkowych. Chwilę później przeglądam wszystkie elektroniczne wykazy rozmów, jakie tylko wpadają mi w ręce, weryfikując numery, z których dzwoniło do Branta w ciągu kilku ostatnich miesięcy.

Spośród numerów, których nie rozpoznaję, powtarza się tylko jeden. 212. Rozmówca z Nowego Jorku dzwoni do Branta wyłącznie w piątkowe poranki, między dziewiątą a dziesiątą – kiedy załatwiam sprawunki na mieście.

Zapadając się w poduszki kanapy, czuję, jak na przemian robi mi się zimno i gorąco. Mój organizm nie może się zdecydować, jak ma się czuć w tym momencie, więc odczuwa wszystko na raz.

Sprawdzam numer w wyszukiwarce, ale moje starania nie przynoszą widocznych rezultatów. Po zalogowaniu się na konto funduszu powierniczego sprawdzam daty wypłat. Zasycha mi w ustach, gdy orientuję się, że odpowiadają one datom rozmów telefonicznych.

Co ty właściwie knujesz, Brant?

Wren

– Nie jesteś za duża na bawienie się lalkami? – pyta moją siostrę nieznajomy chwilę po kolacji.

Gdy mówi, jego nieświeży oddech rozchodzi się w powietrzu. Nawet z drugiego końca pokoju czujemy ostry, nieprzyjemny zapach atakujący nasze nosy.

Zdażył się wcześniej obmyć, używając do tego obszytej koronką myjki Evie i zmuszając nas do stanięcia twarzą do ściany, gdy się rozbierał. Przebywanie po raz pierwszy w życiu w jednym pomieszczeniu z nagim mężczyzną spowodowało, że na moje policzki wypłynął wściekły rumieniec. Ulżyło mi jednak, bo skoro nie chciał, bym na niego patrzyła, wątpliwe było, że każe mi się dotknąć.

Wiem, co mężczyźni robią z kobietami. Przeczytałam o tym kiedyś w jednej z książek. Mama powiedziała, że to stek bzdur i że nie ma pojęcia, jakim cudem ta książka znalazła się w naszych zbiorach. Tamtego wieczora spaliła ją w kominku, a ja nie mogłam przestać myśleć o tym, co robiła fikcyjna para z powieści. O sposobie, w jaki on ją całował. O tym, jak ona dotykała jego. Nawet teraz na samo wspomnienie serce wali mi jak młot.

Jednak myśl, że nieznajomy mógłby zrobić ze mną którąkolwiek z tych rzeczy, sprawia, że czuję w ustach gorzki posmak żółci i muszę odwrócić wzrok.

– Dlaczego tak ci to przeszkadza? – pytam.

Unosi krzaczaste brwi, jakby zaskoczyła go moja stanowczość.

– Po prostu nigdy nie widziałem, żeby młoda kobieta bawiła się lalkami,

to wszystko.

– Uszczęśliwiają ją. Daj jej spokój.

Unosi dłonie w geście milczącego protestu, po czym wyciąga z torby lśniący, prostokątny przedmiot. Jest cały czarny i gładki niczym kawałek szkła. Wygląda jak nie z tego świata. Nieznajomy znów zagląda do torby i wyjmuje z niej długi, biały sznurek, nieco grubszy od tego, którego używamy do szycia, po czym wkłada jeden koniec w czarny prostokąt, a drugi w srebrny kwadrat.

– Muszę go naładować, zanim stąd odejdziemy.

– Co to jest? – pyta Sage, kołysząc się na krześle przy kominku.

Nieznajomy unosi przedmiot.

– Telefon. Używa się go, by dzwonić do innych ludzi. Wszyscy je mają... wszyscy prócz was. – Pokazuje srebrny kwadrat i dodaje: – A to zapasowa bateria. Dzięki temu mogę naładować telefon, skoro żyjecie tu jak w 1881 roku.

Wybucha śmiechem. Jego klatka piersiowa unosi się i opada kilka razy. Odsuwa telefon na bok. Znalazłam kiedyś podobny w drewnianym pudełku, które mama trzyma pod łóżkiem. Szukałam nowej szpulki żółtej włóczki, by obrębić sukienkę Evie, ale zanim zdążyłam zbadać swoje dziwne znalezisko, usłyszałam za oknem głos mamy.

Gdy przy następnej okazji wyszła na zewnątrz, zostawiając mnie samą w chacie, chciałam ponownie obejrzeć tajemnicze urządzenie, ale okazało się, że zniknęło. Ani razu nie spytałam mamy o ten przedmiot. Nie chciałam mieć kłopotów przez swoje wścibstwo.

Zerkam z ukosa na torbę nieznajomego i zastanawiam się, co jeszcze w niej trzyma. Z tego, co zdążyłam zauważyć, zanim nas znalazł, wędrował po lesie przez co najmniej kilka dni, więc cokolwiek spoczywa w tej torbie, musi mu służyć do przetrwania.

Zeszłej nocy przespałam kilka godzin, ale wyłącznie dlatego, że pokonało mnie zmęczenie. Leżąc w ciszy, w pogrążonej w ciemnościach chacie, słuchając pochrapywania nieznajomego i czując na szyi ciepły oddech Sage, przeszło mi przez myśl, że wydostanie się stąd może być łatwiejsze, niż mi się zdawało...

Przez cały czas miałyśmy pod nosem wszystko, czego potrzebowałyśmy.

Nad umywalką, za lustrzanym frontem szafki na lekarstwa, w której mama trzyma spirytus do nacierania, bawełniane waciki, bandaże, maści, aloes, kamforę i aspirynę, znajdują się także melatonina i korzeń waleriany – środki nasenne.

Jutro wieczorem, kiedy razem z Sage przygotujemy kolację, rozkruszę tabletki i dodam je do jedzenia dla nieznanego. Podam potrójną, a jeśli będzie trzeba, nawet poczwórną dawkę – byleby tylko zasnął, a my uciekniemy tuż po zachodzie słońca.

Jeśli opuścimy chatę po zmroku, trudniej będzie mu nas wysledzić. Gdy się obudzi i zrozumie, że nas nie ma, będzie tak zdezorientowany po dodanych do posiłku ziołach, że znajdzie się w jeszcze gorszej sytuacji, gdy tylko spróbuje nas ścigać. Zabłądzi. Na zewnątrz panuje ziąb. Jakby tego było mało, odkryje poniewczasie, że... ukradliśmy mu torbę.

Jedyną rzeczą, która pozostała nam do zrobienia, jest wymyślenie, jak wydostać się stąd bez robienia jakiegokolwiek hałasu. Zimą, gdy powietrze jest suche, chata pracuje i osiada, przez co ramy okien pęcznieją i wymagają dodatkowej siły, aby je otworzyć. A z tym najczęściej wiąże się głośne skrzypnięcie przypominające pisanie kredą po tablicy.

Mam niecałe dwadzieścia cztery godziny, żeby coś wymyślić.

Z nieba zaczynają sypać grube płatki śniegu. W przeciągu paru minut trawa zostaje pokryta białym puchem. Jeśli nam się poszczęści, śnieg stopi się, zanim opuścimy chatę, dzięki czemu nieznanemu nie będzie mógł pójść po naszych śladach.

– Czy telewizja jest zła? – zagaduje nieznanego Sage, gdy jestem zajęta myciem naczyń.

Nie podnoszę wzroku, próbując ignorować rozmowę, ale zastanawia mnie, dlaczego Sage próbuje się z nim zaprzyjaźnić. To, że nas nie skrzywdził, wcale nie oznacza, że jesteśmy teraz przyjaciółmi ani że jesteśmy bezpieczne.

Mężczyzna opiera głowę o dłoń, ziewając. Nie rozumiem, skąd bierze się u niego to ustawiczne zmęczenie, ale mam nadzieję, że jutro wieczorem zadziała na naszą korzyść.

– Telewizja jest regulowana przez rząd, ale to prawda, że pokazują w niej także złe rzeczy. Rzeczy, które by was przeraziły.

Wiele lat temu razem z mamą rozmawialiśmy o rzeczach, które robiła dla zabawy, gdy była dzieckiem. Wspomniała wtedy o czymś, co nazywało się „kreskówki” i które oglądała w „odbiorniku telewizyjnym” – w skrócie, telewizorze. Powiedziała, że na początku swego istnienia telewizja była źródłem przyzwoitej, rodzinnej rozrywki, po czym stała się pełna przemocy i zakazanych treści. Nauczyła ludzi niewłaściwego i złego zachowania.

– Rząd? – pytam.

– Uhm. Przez FKŁ.

Mama wspomniała również o tym, że nasz rząd został rozwiązany.

Opowiadała, że mieliśmy kiedyś przywódców i prezydentów, którzy chcieli czynić wspaniałe rzeczy dla kraju i narodu. Zbuntowaliśmy się, gdy odkryliśmy, że nas okłamali. Nasz ustrój demokratyczny się rozpadł, zapanował chaos. Nie było prezydentów, partii politycznych, niczego... zostały się jedynie lokalne samorządy dbające o to, by drogi były brukowane, a podatki płacone.

Mama opowiedziała mi o tym wszystkim podczas naszych lekcji historii.

– FKŁ?

– Federalna Komisja Łączności. To ona jest odpowiedzialna za to, co wolno pokazywać w telewizji, a czego nie.

– A kto rządzi nimi?

Twarz mężczyzny wykrzywia grymas.

– Nie wiem. Prezydent? Senat?

Mama mówiła, że nasz kraj od dziesięcioleci nie miał prezydenta.

– Skąd mogę wiedzieć, że tego nie zmyślasz?

– Czego?

– Prezydenta.

– Po co miałbym kłamać o prezydencie i Federalnej Komisji Łączności? – Wybuchła śmiechem, pokazując na telefon. – Gdybym miał zasięg, wyszukałbym wszystko w telefonie, by udowodnić wam, że mówię prawdę. Może zrobię to, gdy za parę dni dotrzemy do miasta. Przypomnij mi później.

Nie rozumie mojego pytania, a ja nie rozumiem, w jaki sposób jego telefon miałby dowieść prawdy, ale porzucam ten temat.

Odwracam się od niego, zanurzając ręce po łokcie w zimnych mydlinach,

ale niczego nie czuję. Patrząc przez okno na spoczywający pod wierzbą płaczącą grób, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że mama nas okłamała.

Nicolette

– Wyglądasz na wypoczętą. – Brant uśmiecha się do telefonu w trakcie naszej porannej wideorozmowy. – W domu wszystko w porządku?

– Dlaczego miałyby nie być? – Puszczam mu oko, dbając o przyjemny ton głosu, by nie dodawać mu kolejnych zmartwień ani powodów, by nakłaniał mnie do wyjazdu do Cate.

– Spójrz tylko. – Zmienia temat, odwracając telefon w stronę okna swojego pokoju hotelowego, pokazując bajecznie zielony raj, który przecina wstęga rzeki o łagodnie toczących się wodach. – Amazonka.

Nie wiem, co powiedzieć. Widok jest malowniczy, ale na żywo robiłby jeszcze większe wrażenie. Oglądanie go jedynie na ekranie przypomina mi, że zostałam w domu, w szarym, zimowym, północnym stanie, i to tylko dlatego, że Brant coś przeskrobał.

– O której będziesz robił zdjęcia? – pytam, upijając łyk kawy.

Obok mnie leży talerz ze świeżymi truskawkami, częstkami melona i tostem z masłem, który zdążył już ostygnąć. Całkiem straciłam apetyt. Przygotowałam śniadanie z przyzwyczajenia, zupełnie jakbym podświadomie tęskniła za normalnością i czymś znajomym, ale teraz nadaje się ono wyłącznie do wyrzucenia.

– Za jakąś godzinę – mówi, spoglądając na zegarek – ten, który podarowałam mu na pierwszą rocznicę ślubu. Nadal wygląda jak nowy. Skórzany pasek był regularnie impregnowany, a kryształowe szkiełko jest pozbawione zadrapań. Gdyby włożył tyle samo miłości i troski w dbanie o ważniejsze sprawy...

Milknę na sekundę, porzucając chęć powiedzenia wszystkich rzeczy, które cisną mi się na usta.

– Nie mówiłeś, że będą tam inni fotografowie.

– Jest ich tu cała masa. – Uśmiecha się, a jego twarz promienieje. Czyżbym znów wyolbrzymiała sprawę? – Przysięgam, że ci o tym mówiłem, Nick. National Geographic chce sprawdzić, jak różni artyści, każdy ze swojej perspektywy, są w stanie ukazać las deszczowy. To projekt z ogromnym rozmachem. Pamiętasz? Rozmawialiśmy o tym kilka miesięcy temu.

Kiedy już o tym opowiedział, przypominam sobie jak przez mgłę, że wspominał o tym przy obiedzie pewnego popołudnia, ale słuchałam go jednym uchem. Uznałam, że będę już wtedy na Florydzie, więc szczegóły nie miały dla mnie żadnego znaczenia.

Wydechając powietrze, marzę o tym, abym przestała doszukiwać się wszędzie niewidzialnych wskazówek i mikroskopijnych luk we wszystkim, co Brant do mnie mówi i co robi, ale dopóki nie znajdę odpowiedzi, najpewniej właśnie tak będzie wyglądała moja nowa rzeczywistość.

– Oczywiście – mówię, zmuszając się do przemylenia w swoich słowach odrobiny uśmiechu, by złagodzić oskarżycielski ton sprzed zaledwie chwili.

– Muszę już lecieć. – Obraca telefon i zakłada buty. Odwracam wzrok od ekranu, żeby nie zakręciło mi się w głowie od rozmazanych kolorów na ekranie. Wygląda na to, że bardzo się śpieszy. – Nie mogę się doczekać powrotu do domu. Już za tobą tęsknię.

Ustawia telefon nieruchomo i posyła mi swój olśniewający uśmiech, który kiedyś sprawiał, że miękły mi kolana, a w żołądku latały motylki. Który sprawiał, że tęskniłam za nim tak bardzo, że czułam fizyczny ból – nawet jeśli stał w drugim końcu pokoju.

To były czasy...

– Gdy wrócę, może pojedziemy gdzieś na trochę? Ty i ja? Może do jakiegoś ciepłego kraju?

Nawet z daleka nie przestaje patrzeć na mnie tak, jakbym była dwie sekundy od popadnięcia w załamanie nerwowe.

Może faktycznie tak jest.

I może on naprawdę to dostrzega.

Wyglądam przez okno widokowe obok naszego kominka i wpatruję się w ogołocony z liści las, pozbawiony koloru i życia.

Po skończonej rozmowie umówię się na wizytę ze swoim lekarzem. Będę potrzebować zwiększenia dawki leków, by przetrwać tę zimę, gdyż nigdzie się nie wybieram. Będę szukać, szukać i szukać, aż w końcu odkryję prawdę.

Wiem, że tam jest...

Coś mi mówi, że mam ją cały czas przed oczami.

*

Przewijam listę kontaktów, zatrzymując się na nazwisku doktora Dewdneya, gdy moją uwagę przykuwa nazwisko widoczne powyżej.

Davis Gideon – mój szwagier.

Nie widziałam ani nie rozmawiałam z nim od czasów, gdy po raz ostatni wpadł do nas na obiad. Wypił za dużo alkoholu i zrobił z siebie idiotę, bełkocząc pod nosem i zachowując się chamsko w stosunku do dwójki ludzi, którzy wspierali go od niemal czterdziestu lat.

Nad pieczołowicie przygotowaną kolacją składającą się z kurczaka z szynką parmeńską i szałwią, risotta z borowikami i pieczarkami oraz schłodzonego rieslinga, wspomniałam Davisowi od niechcienia, że Brant i ja rozważamy możliwość ubiegania się o status rodziny zastępczej. Davis prawie zakrztusił się piwem, które ze sobą przyniósł, po czym spytał, dlaczego stwierdziłam, że się do tego nadaję.

Zignorowałam kąśliwy komentarz, uznając go za typowe zachowanie z jego strony. Davis uwielbia robić zamieszanie i prowokować. Spędzanie z nim czasu kończy się różnie: albo jest miło, albo nie. W większości przypadków lekceważymy jego będące próbą zwrócenia na siebie uwagi zachowanie, ale wtedy Brant nie mógł puścić tego mimo uszu.

Kazał mu wyjść, zabrał jego kluczyki do samochodu, wezwał taksówkę i siedział z nim na zewnątrz, dopóki nie przyjechała i go nie zabrała. Jak na lojalnego brata przystało, nawet w takiej chwili nie potrafił zmusić się do tego, by porzucić Davisa w potrzebie.

To był rozczulający i zarazem bolesny moment.

Zostałam w domu, zajęta sprzątaniem bałaganu po kolacji, na próżno doszukując się sensu w niewybrednym komentarzu swojego szwagra. Po jakimś czasie uznałam, że to strata czasu, bo Davis... to Davis.

A on wygaduje całe mnóstwo głupot.

Gdy w końcu odjechał taksówką, a mój mąż wrócił do środka, powiedziałam mu, że nie musiał tego robić. Brant zatrzymał się przede mną, sprawiając wrażenie, jakby chciał wygłosić jakąś głęboką i wnikliwą uwagę.

Podniósł rękę.

Opuścił ją po sekundzie.

Powlókł się na górę do swojego studia, w którym siedział jeszcze długo po wybiciu północy.

Od tamtej pory ani razu nie rozmawialiśmy o tym incydencie. Przywiązywanie wagi do opinii pijaka wydawało się bezcelowe i wręcz masochistyczne. Mój mąż jest wyrozumiały i szybko przebacza, a ja nie spotkałam się z sytuacją, by zbyt długo chował do kogoś urazę, ale Davis przekroczył wyznaczoną przez Branta granicę, o której istnieniu nie miałam pojęcia: zakpił z mojego pragnienia posiadania dziecka.

Niemniej to zupełnie niepodobne do Davisa, by wytrzymać tak długo bez proszenia o „pieniądze na paliwo”, ani do Branta, by nie „podrzucił mu stu baksów do wypłaty”. Zazwyczaj kontaktuje się z nami raz w miesiącu. A teraz? Cisza w eterze, ciągnąca się od kilku miesięcy.

Chociaż... może Davis kontaktował się z Brantem, a Brant nie wspomniał mi o tym ani słowem ze szlachetnych – a przynajmniej taką mam nadzieję – pobudek.

Jako jedynaczka, nie będę udawać, że znam zawiłości relacji między rodzeństwem, a trudną relację pomiędzy Brantem i Davisem potęgują ciężkie dzieciństwo, agresywni rodzice, domy dziecka i sytuacje, które potrafią złamać człowieka psychicznie, jeśli za dużo się o nich myśli.

Odkładam telefon i bijąc się z myślami, zaczynam obgryzać paznokcie. W końcu udaje mi się podjąć decyzję – w dodatku dość ryzykowną. Pojadę do Davisa z samego rana z czekiem w dłoni, by zadać mu kilka pytań. W ciągu ostatnich lat nauczyłam się, że za kilka dolarów jest on w stanie zrobić niemal wszystko. Jeśli wypiszę na czeku wystarczającą liczbę zer, to

być może nakłonię go do ujawnienia tajemnic brata.

Kto wie? Może się okazać, że o niczym nie wie.

Ale istnieje szansa, że jest wręcz przeciwnie.

Wren

Myśl o drzewie nie daje mi od wczoraj spokoju – drzewie ocieniającym ziemię, pod którą spoczywają szczątki taty i Imogen. Wiem, że to dość makabryczne, ale muszę wiedzieć. Muszę udowodnić samej sobie, że mama nie jest oszustką. Istnieje tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać.

Mama zawsze mówiła, że Imogen zmarła jeszcze przed moimi narodzinami. Opowiadała, że doszło do wypadku, ale nie dodawała nic poza tym, bo za każdym razem, gdy poświęcała temu zbyt dużo myśli, oddech wiązał jej w gardle i wybuchała płaczem.

Nie pamiętam taty, choć w którymś momencie musiał pojawić się w moim życiu. Miałam roczek, gdy urodziła się Sage. Najdziwniejsze jest to, że bez względu na to, jak bardzo się staram, nie potrafię przypomnieć sobie jego twarzy. Nocami nieraz leżałam w łóżku, próbując odnaleźć go w mglistych wspomnieniach, ale nigdy mi się nie udało.

Mama powiedziała, że większość ludzi nie pamięta pierwszych lat swojego życia. Powtarzała, żebym nie czuła się winna za to, że nie umiem wyobrazić sobie jego twarzy, ani przypomnieć piosenek Woody’ego Guthriego, którymi zabawiał nas, gdy ona sprzątała w kuchni po obiedzie.

Mama powiedziała, że zginął w lesie, tuż przy granicy naszej posesji. Że ktoś go postrzelił i zostawił na pewną śmierć. Nigdy nie dowiedziała się, dlaczego ani kto to zrobił. Przywlekła jego ciało pod dom i zakopała pod drzewem, gdzie spoczywało ich pierwsze dziecko.

Czasami wydaje mi się, że pamiętam ten okres w naszym życiu. Innym razem czuję, że to jedynie „fałszywe wspomnienia”, o których stale

opowiadała mama. Obrazy, które podsuwa mi umysł, by zilustrować barwne opowieści mamy.

Powinnam zebrać jajka na śniadanie, ale korzystając z okazji, zajrzałam do szopy z narzędziami w poszukiwaniu łopaty. W środku znalazłam motykę, konewkę i grabki... ale nie łopatę. Nieznajomy musiał ją gdzieś ukryć, uznawszy, że możemy ją wykorzystać przeciwko niemu.

Biorę grabki i wychodzę z szopy, pozwalając, by drzwi walnęły z hukiem o boczną ścianę. Podbiegam do wierzby płaczącej i klękam przed pustym klombem otoczonym kamieniami wielkości mojej głowy. Wbijając porzewiałe ząbki grabek w zimną, twardą ziemię, zdzieram wierzchnią warstwę gleby, gliny i kamyków. Idzie mi to z wielkim trudem, ale nie zamierzam przestawać, nawet jeśli lodowate powietrze pali mnie w płucach, a ja muszę walczyć o oddech.

Uznawszy je za bezużyteczne, ciskam grabki na bok i zaczynam ryć w ziemi gołymi rękami jak jakieś zwierzę – dzikie i zdeterminowane.

Nic innego się nie liczy.

Wiatr smaga moją twarz, wciskając mi włosy do oczu. Kiedy odgarniam je przedramieniem, zostaje mi na nim mokry ślad. Nie zdawałam sobie sprawy, że płaczę.

– Co ty wyprawiasz? – Głos nieznajomego przyprawia mnie o bolesny ucisk w sercu. Zastygam w bezruchu. – Zakopujesz kość czy co?

Chichocze pod nosem, a ja przez chwilę myślę, że jestem bezpieczna – że nie zrobi mi krzywdy za zboczenie z drogi do kurnika.

– Mój ojciec i moja siostra. Chciałam sprawdzić, czy faktycznie są tu pochowani.

Patrzę na niego, mrużąc oczy w słońcu. Przykłada dłoń do twarzy, masując szorstki policzek.

– Myślisz, że mama cię okłamała?

– Nie wiem. Dlatego kopię. – Biorę grabki, przygotowując się mentalnie na chwilę, w której wyszarpnę mi je z ręki.

Mężczyzna odchodzi bez słowa. Nie zastanawiam się nad tym i nie próbuję tego zrozumieć. Nie przestaję kopać. Kilka minut później moja sukienka jest brudna od ziemi, a paznokcie mam upaprane błotem. Robię sobie przerwę na złapanie oddechu i przyglądam się swojemu dziełu.

Szansę na skończenie tego w pojedynkę bez odpowiednich narzędzi są marne, ale nie mogę teraz przestać.

Zbierając resztki sił, raz po raz wbijam w ziemię kawałek metalu, zatrzymując się dopiero wtedy, gdy do moich uszu dociera znajomy, metaliczny szcęk. Po mojej prawej, wbita w ziemię, stoi nasza żółta łopata. Nieznajomy zaciska masywne dłonie na gumowej rączce.

– Pomyślałem, że ci się przyda – mówi.

Jego gest zaskakuje mnie i wzrusza. Nie wiem, gdzie zdołał ukryć łopatę, ale to najmniejsze z moich zmartwień. Podnoszę się z kolan i otrzepuję dłonie. Biorę od niego narzędzie i wbijam je w niewielką dziurę, którą udało mi się wykopać.

Przerzucam całe sterty ziemi, usypując z nich wielki kopiec. W końcu jestem zmuszona przestać, by odpocząć, więc osuwam się na ziemię i chowam twarz w dłoniach. Rzucam łopatę na bok. Wszystko mnie boli. Moje stawy pulsują, a mięśnie drżą z wysiłku.

Znów słyszę znajomy zgrzyt metalu uderzającego o kamienie.

Moje miejsce zajął nieznajomy.

Nie odzywa się, posapując przy każdym zamachnięciu się łopatą.

Łapię oddech, przyglądając się mu w milczeniu.

Kiedy kończy, mam swoją odpowiedź.

Pod wierzbą płaczącą, obok pustego klombu, nie ma żadnych kości.

Nie ma tu nic oprócz ziemi.

Mama skłamała...

Mama *skłamała*.

*

Sage podgrzewa nad ogniem wczorajsze resztki koźlego mięsa, a ja modłę się, byśmy się nie pochorowały.

– Może dla odmiany teraz ja zajmę się jedzeniem, co? – pytam z wymuszonym uśmiechem. Sage uwielbia gotować, ale tym razem muszę to zrobić ja. To część mojego planu. Jedyne sposoby na to, by nas stąd wydostać.

– Ale ja lubię gotować.

– Sage – mówię przyciszonym głosem. – Nie umiesz przyrządzać koziego mięsa. Pozwól, że ja się tym zajmę. Idź do piwnicy i przynieś słoik fasolki szparagowej.

Wycierając ręce w fartuch, patrzy na mnie krzywo, po czym pyta nieznanego o pozwolenie na pójście do piwnicy. Gdy oboje są zajęci, przysuwam patelnię bliżej ognia.

Potrzebuję smrodu palącego się mięsa.

Potrzebuję odrobiny dymu.

Potrzebuję powodu, aby móc otworzyć okno nad zlewem.

Moja siostra wychodzi do piwnicy, a nieznanomy zaczyna szperać w swojej torbie. Zaczęłam zwracać większą uwagę na rzeczy, które w niej trzyma. Co jakiś czas widzę, jak napełnia wodą ze studni puste manierki i słoiki, a potem chowa je w torbie – torbie, której potrzebuje, by przetrwać w tym lesie.

Sage wraca akurat w momencie, w którym mięso zaczyna się kurczyć i brązowieć. Przenoszę spojrzenie z niej na nieznanego, a potem na patelnię nad ogniem. Sekundę później mięso zaczyna skwierczeć i podskakiwać. Nie trzeba długo czekać, by całą chatę wypełniły kłęby dymu.

– Wren! – Sage podbiega do ognia. – Mięso się pali!

Piszcząc przeraźliwie, wyrzucam ręce w powietrze i podbiegam do kuchennego okna, otwierając jedno skrzydło i podnoszą dolną połowę, podczas gdy nieznanomy otwiera pozostałe okna. Sage rozpędza kłęby dymu. Gdy nie widzą, nabieram na palec masło, które celowo zostawiłam na wierzchu, i smaruję nim ramę okna. To sztuczka, której nauczyłam się z bajki o Babie-Jadze, czytanej nam przez mamę. Dzięki temu wieczorem, kiedy stąd uciekniemy, nieznanomy nie usłyszy skrzypienia towarzyszącego przesunięciu dolnej połowy okna.

– Bardzo mi przykro – mówię, gdy udaje nam się zapanować nad chaosem. – Zagapiłam się.

Nieznanomy prycha pod nosem, kręcąc głową zupełnie jak mama, gdy Evie nie odkłada na miejsce swoich klocek domino albo kiedy Sage zapomina schować swoje puzzle do pudełka.

Sage przejmuje dowodzenie nad przygotowywaniem mięsa, a ja biorę

słoik fasolki szparagowej i zaczynam ją nakładać... osobną porcję dla nas i osobną dla intruza: zdejmuję z półki trzy cynowe talerze i dzielę fasolkę na części. Szybkie podgrzanie nad płomieniami powinno sprawić, że będzie wystarczająco ciepła. Doprawiam porcję nieznanego melatoniną i korzeniem waleriany, które zawczasu przygotowałam. Starłam je tak drobno, że powstały proszek jest na daniu niemal niewidoczny. Dzięki dodatkowi soli i pieprzu ich smak powinien być ledwie wyczuwalny.

Obserwując ich kątem oka, upewniam się, że nikt na mnie nie patrzy, i przystępuję do dzieła. Jeśli nieznanomy dowie się, co zrobiłam... zabije nas obie. Jestem tego pewna.

*

Po kolacji mężczyzna wyjmuje z torby książkę – opasłe tomiszcze z wielkimi literami na okładce – i kołysze się na fotelu przy kominku, podczas gdy my bierzemy się za mycie naczyń. Spomiędzy talerzy wyciągam ukrytą tam wcześniej tabliczkę oraz kawałek kredy i piszę wiadomość do Sage: UCIEKAMY DZIŚ WIECZOREM, PO TYM, JAK ZAŚNIE.

Sage robi wielkie oczy. Przez chwilę wygląda, jakby chciała coś powiedzieć, ale powstrzymuje się w samą porę, wiedząc, że lepiej będzie, jeśli zachowa milczenie. Właśnie dlatego czekałam do samego końca. Gdybym wyjawiała jej swój plan wcześniej, zdradziłaby się, albo zachowywała dziwacznie przez cały dzień, a nieznanomy w mig by się połapał.

Nie mogłam ryzykować. Nie wtedy, gdy zależy od tego nasze życie.

Ścieram dłonią pierwszą wiadomość i zapisuję kolejną.

UBIERZ SIĘ NA CEBULKĘ, TAK ŻEBY NIE BYŁO WIDAĆ.

Zmazuję wiadomość i dodaję nową.

COKOLWIEK ZROBISZ, NIE HAŁASUJ, NIE ZADAWAJ ZBĘDNYCH PYTAŃ I RÓB, CO CI KAŻĘ.

Przejeżdżam po tabliczce mokrą szmatką, by usunąć wszelkie ślady, i chowam ją za zlewem, wracając do mycia naczyń, jak gdyby nigdy nic. W międzyczasie nieznanomy przestał kołysać się na fotelu i zaczął ziewać.

Wstrzymując oddech, obserwuję go kątem oka, jak zagina róg strony i zamyka książkę. Sekundę później wstaje, przeciąga się z rękami nad

głową, po czym wychodzi na zewnątrz, aby sobie ulżyć.

Zawsze kiedy musi się wysikać, idzie na tył domu, jakby uważał szybką wizytę w wychodku za zbyt ryzykowną. Gdy wraca do chaty, przesuwa łóżko mamy z powrotem pod drzwi i zdejmuję flanelową koszulę.

– Jutro wyruszamy – oznajmia ospałym, leniwym tonem. – Z samego rana. Radzę wam, żebyście porządnie się wyspały. Mamy wiele kilometrów do pokonania.

Podchodząc do szafy, Sage napotyka moje spojrzenie i kiwa nieznacznie głową, otwierając drzwiczki, by się za nimi schować. Ściąga sukienkę i zaczyna ubierać się na cebulkę, tak jak ją poinstruowałam – najpierw koszulka na ramiączkach, potem wełniany sweter i zrobione na drutach skarpety. Na koniec, by ukryć swój strój, zakłada przez głowę białą koszulę nocną.

Ja robię dokładnie to samo.

Chwilę później nieznajomy zaczyna pochrapywać przez sen.

Jego torba wisi na jednym ze słupków łóżka mamy. Czuję ściskanie w gardle na myśl o tym, że może się obudzić, gdy będę próbowała ją zabrać, ale muszę spróbować. Nie mam innego wyjścia.

– Teraz buty i płaszcz – mówię bezgłośnie do Sage, pokazując je palcem.

Przechodzę na palcach przez pokój i wyciągam rękę w stronę czarnego, skózanego paska, próbując podnieść torbę powolnym, ostrożnym ruchem. Okazuje się jednak, że jest cięższa, niż mi się wydawało. Wydychając po cichu powietrze, próbuję jeszcze raz. Miarowe pochrapywanie intruza jest moim jedynym zapewnieniem, że to bezpieczne.

Sage macha rękami, jakby chciała mnie ponaglić. Zbieram się w sobie i podnoszę torbę jeszcze raz – tak powoli, że aż mięśnie mi drżą – i wypuszczam powietrze, gdy udaje mi się ściągnąć ją ze słupka. Zarzuciwszy ją na ramię, jestem prawie pewna, że waży tyle samo, co Evie, ale nie mam czasu, aby się nad tym zastanawiać.

Wskazując na posmarowane masłem okno, zdejmuję narzutę z łóżka i zakrywam nią krzesło, by stłumić ewentualny hałas, w razie gdyby się przewróciło i uderzyło o ścianę w trakcie naszej ucieczki. Gdy wszystko jest na swoim miejscu, otwieram okno i pomagam Sage wyjść jako pierwszej. Podaję jej torbę, która wyslizguje się jej z rąk i upada na ziemię z głuchym

łupnięciem. Serce wali mi jak młot. Odwracam się w stronę nieznanego i czekam, upewniając się, że nadal jest pogrążony we śnie, po czym wspinam się na krzesło i podciągam, wyslizgując się przez okno.

Zimno kąsa odsłonięte części naszych ciał. Drogę oświetla nam półksiężyc.

– Muszę cię podnieść – szepczę. – Musimy zamknąć okno. Cicho i powoli, rozumiesz?

We wnętrzu chaty musi być ciepło. Jeden podmuch lodowatego powietrza może wyrwać intruza ze snu. Gdy tylko poderwie się z łóżka, by zamknąć okno, odkryje, że zniknęliśmy.

Sage przygryza dolną wargę i kiwa głową. Obejmuję ją ramionami za biodra i podnoszę tak wysoko, jak się da. Mięśnie drżą mi z wysiłku. Ledwo utrzymuję ciężar Sage. Po paru sekundach jej smukłe palce dotykają brudnej szyby i bezgłośnie przesuwają ją w dół. Stawiam siostrę na ziemi i odzyskuję równowagę. Zarzucam torbę na ramiona i biorę Sage za rękę.

– Gotowa? – pytam najcichszym możliwym szeptem.

Kiwa głową.

Zrywamy się do ucieczki.

Nicolette

Wjeżdżając rankiem na swój podjazd, Davis nie używa kierunkowskazu. Choć w zasadzie wcale go nie potrzebuje. Nikt tu nie mieszka w promieniu wielu kilometrów. Kolejiny wyłobione w żwirowej nawierzchni wiejskiej drogi, prowadzące do jego odludzia, należą wyłącznie do jego auta.

Zegarek na mojej tablicy rozdzielczej wskazuje za kwadrans dziewiątą, co potwierdza, że Davis nadal pracuje na nocną zmianę w fabryce w sąsiednim mieście. Od trzech i pół roku może się pochwalić stałym zatrudnieniem – to jego rekord.

Wyłączam silnik w momencie, w którym Davis wychodzi ze swojej furgonetki i zatrzaskuje drzwi. Dopiero gdy odwraca głowę w moją stronę, wyraźnie zaskoczony, orientuję się, że nie miał pojęcia, iż jechałam za nim przez kilka ostatnich kilometrów.

Zbliża się do mojego samochodu, masując się po piersi pokrytą przebarwieniami słonecznymi dłońią. Opuszczam szybę. Nie zawracam sobie głowy wysiadaniem. Nie zamierzam tu przebywać dłużej niż to konieczne. Davis od zawsze był odludkiem i nie przepadał za towarzystwem innych ludzi. Tylko raz wpadłam do niego z niezapowiedzianą wizytą – miało to miejsce na wczesnym etapie mojego związku z Brantem. Przyniosłam Davisowi trochę jedzenia z nadzieją, że zapunktuję u jedyne go członka rodziny, na któremu w tamtym czasie zależało mojemu chłopakowi. Nigdy nie zapomnę sposobu, w jaki Davis zablokował drzwi, patrząc na mnie z góry, jakbym była złą macochą Kopciuszka, która przyniosła mu zatrute jabłko. Gdy później

opowiedziałam o wszystkim Brantowi, stwierdził on, żebym nie brała tego do siebie i że jego brat nie lubi niezapowiedzianych gości – jak większość ludzi zresztą.

Dzisiejsza wizyta też jest niezapowiedziana, jednak czek na tysiąc dolarów spoczywający na fotelu pasażera powinien zaradzić wszelkim niedogodnościom, których może przysporzyć drogiemu Davisowi moja obecność.

– Nicolette. – Ściąga z łysiejącej głowy przybrudzoną czapkę z daszkiem i ociera czoło o przedramię.

– Masz chwilę?

Prycha z irytacją.

– A mam jakiś wybór?

Podaję mu czek przez uchyloną szybę. Wyrywa go z moich palców, nawet go nie obejrzawszy.

– Co to ma być, do cholery? – pyta, chichocząc. – Brant wie, że tu jesteś?

– Nie. – Prostuję się na fotelu i chrząkam dyskretnie. – I chcę, żeby tak zostało.

Davis zerka pobieżnie na czek, po czym przygląda mi się szarymi oczami, prychnąwszy przez zaciśnięte usta. Składa czek na pół i chowa do lewej kieszonki niebieskiej flanelowej koszuli.

– Poczekaj, nic nie mów... czyżby kłopoty w rajku? – pyta, choć w tonie jego głosu słychać wyłącznie rozbawienie i ani cienia zmartwienia.

Przechodzę od razu do sedna.

– Muszę wiedzieć, co wiesz.

Rozciąga usta w uśmiechu, odsłaniając pozółkłe od tytoniu zęby.

– Masz niezły tupet, Nicolette. Przyjeżdżasz tu swoim wypasionym autem, myśląc, że wystarczy pomachać mi przed nosem czekiem, a wypaplam wszystko jak na spowiedzi.

Czuję ściskanie w piersi, na sekundę wbijając spojrzenie w kierownicę, po czym przenosząc je na Davisa. Nie dam się zastraszyć, nawet jeśli z przykrością muszę przyznać, że ma rację.

– Ostatnio dziwnie się zachowuje. Pomyślałam, że może coś wiesz. Cokolwiek. Wiem, że proszę o zbyt wiele, ale musisz zrozumieć. Twój brat... jest *dla mnie* wszystkim.

– Rozkoszne. – Davis parska nosowym śmiechem, po czym drapie jego koniec palcem wskazującym. Ma brudny paznokiec. – Słuchaj, nie pojmuję, dlaczego myślisz, że mam jakiegokolwiek pojęcie o *sprawach* Branta. Nie rozmawiał ze mną od miesiący. Od czasu, gdy wykopał mnie z waszego *skromnego* domu po zaproszeniu na wspólną kolację.

Najwyraźniej Davis wciąż żywi do nas urazę z powodu tamtego niefortunnego wieczoru. I jak widać, nie czuje się ani trochę odpowiedzialny za swoje zachowanie. Typowe.

– Jeśli myślisz, że wiem, czy chce cię zostawić, to jesteś w błędzie – mówi, a mimo to wcale nie odczuwam ulgi, na którą liczyłam. – Jeśli pytasz, czy kiedykolwiek by się do tego posunął... nie mam pojęcia, Nick. Jakoś wątpię, by małżeństwo z tobą było proste, łatwe i przyjemne.

Zaciskam dłonie na kierownicy.

– Co to niby ma znaczyć?

Mam ochotę na niego nawrzeszczyć, powiedzieć, że nie ma pojęcia o tym, jak wygląda nasze małżeństwo, ale gryzę się w język. Davis nie ma zielonego pojęcia o miłości, przywiązaniu ani o ludzkiej przyzwoitości.

– Po prostu mam wrażenie, że Brant wiecznie ci nadskakuje. Stale dba o to, żebyś wszystko miała. Żebyś nie doświadczyła kolejnego ze swoich ataków.

Podnosi rękę, zaznaczając w powietrzu cudzysłów wokół słowa „atak”.

Wystarczająco dużo się nasłuchałam.

Davis albo kłamie i kryje brata, albo faktycznie nie ma o niczym pojęcia. Tak czy inaczej, okazał się wyjątkowo kiepskim źródłem informacji.

– Pieprz się, Davis. – Odpalam samochód i sprawdzam wsteczne lustro, choć to drugie jest zupełnie niepotrzebne. Davisa nikt nie odwiedza. Nie ma przyjaciół. Jest jak samotna wyspa, choć bardziej przypomina wyspę śmieci dryfującą po Oceanie Atlantyckim. Nikt go nie chce. Nikt nie wie, co z nim zrobić.

– Zdeponuję czek.

Poklepuje się po kieszeni, a ja wrzucam wsteczny.

Nie ma sprawy.

Tak się kończy zawieranie paktów z diabłem.

Wyjeżdżając z powrotem na zakurzoną drogę, wrzucam kolejny bieg

i wracam do domu. Moje konto bankowe jest nieco lżejsze, ale myśli są coraz czarniejsze.

*

– Hej, Nicki – rzuca do telefonu moja najlepsza przyjaciółka. – Sprawdzam, co u ciebie słyhać.

Przewracam oczami. Cate chce dobrze, ale nikt nie musi sprawdzać, jak się czuję. Nie jestem dzieckiem zostawionym w domu przez rodziców, którzy polecieli w jakieś egzotyczne miejsce.

– Nic mi nie jest.

– Dziwnie, że cię tu nie ma. Zaplanowałam dla nas mnóstwo rzeczy na sylwestra.

– Wiem. Przepraszam. Żałuję, że mnie tam nie ma, naprawdę.

– A dlaczego cię tu nie ma? – Pyta na poważnie, ale zanosi się nosowym śmiechem. – Nie rozumiem, dlaczego nagle masz ochotę spędzić zimę w tej mroźnej, przypominającej tundrę dziurze. Bez obrazy. Po prostu wiem, jak bardzo nienawidzisz spędzać tam zim.

– Widzę, że rozmawiałaś z Brantem.

Cate milknie na chwilę.

– Raczej to *on* rozmawiał ze *mną*.

– Dzwonił do ciebie?

Szelest dokumentów i odgłos zamykania szuflad biurka podpowiada mi, że Cate pracuje.

– Owszem, ale tylko dlatego, że się o ciebie martwił.

Przeczesałam rękami włosy, po czym przykładam dłonie do czoła i opieram łokcie o kolana.

Ostatnio nigdzie nie mogę znaleźć sobie miejsca.

Nie potrafię usiedzieć w bezruchu.

Nie umiem... być sobą.

– Brant robi z igły widły. Nic mi nie będzie. Obiecuję. – Nie chcę, żeby obchodzono się ze mną jak z jajkiem ani traktowano jak jakąś wariatkę tylko dlatego, że mam sezonową depresję. Przed nadejściem wiosny zwykle ograniczam antydepresanty do jednej dawki dziennie i zaczynam na nowo

cieszyć się życiem. – Rozumiem, że się o mnie martwicie, ale oboje mocno przesadzacie.

Ukrywam swoje rozczarowanie postawą Cate, bo wiem, że bierze się ona z dobroci serca, a moja przyjaciółka nie ma pojęcia, jaki powód kryje się za moją decyzją o pozostaniu w domu, choć zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny – może nawet lepiej niż mój własny mąż. Przyjaźnimy się niemal przez całe życie, a nasze rodziny spędzały wspólnie lato w Nan-tucket od czasów, gdy chodziłyśmy razem do liceum. Powinna znać mnie na tyle dobrze, by mi ufać i potrafić odpuścić.

– Może wpadnę do ciebie w odwiedziny? – pyta. – Na tydzień albo dwa. Albo trzy. Chyba jestem masochistką.

– Przecież *nienawidzisz* tego miejsca.

– Racja, ale lubię spędzać czas ze swoją najlepszą przyjaciółką, więc te dwie rzeczy wzajemnie się wykluczają.

– W porządku – mówię. – Niech ci będzie.

– Zaklepuję największy pokój gościnny. Ten z wanną.

– Muszę się upewnić, że jest dostępny, ale raczej nie powinno być problemów.

Cate parska śmiechem.

– Miło, że nie straciłaś do reszty swojego poczucia humoru.

– Dlaczego miałabym je stracić?

Cate waha się przez moment.

– Nie wiem... ostatnio wydajesz się... przygnębiona. Apatyczna. Nie wiem, jak to opisać. Kiedy rozmawiam z tobą przez telefon, sprawiaasz wrażenie nieobecnej. Jakbyś nie była sobą. Brant też to widzi. Pomyślał, że znowu wpadasz w tę swoją...

– Cate – mówię, wzdychając przeciągle. Właśnie zrobiłyśmy dziesięć kroków w tył. – Przestań się o mnie martwić, zabukuj ten cholerny lot i przylatuj, żebym mogła zobaczyć, jak wyglądasz bez tej wiecznej opalenizny.

Udaje mi się skłonić ją do lekkiego chichotu.

– Już chyba zapomniałam, jaki jest mój naturalny kolor skóry.

– Więc przyjedź i się tego dowiedz.

– W porządku – mówi z radością w głosie. – Sprawdzę bilety, jak tylko się

rozłączę.

– Dziękuję – odpowiadam z arogancją kogoś, kto właśnie wygrał sprzeczkę.

Cate milczy przez chwilę. Ja też się nie odzywam.

– Nick?

– Tak?

– Powiedziałaabyś mi, gdyby coś się z tobą działo? – pyta, najwyraźniej mając ochotę kopać leżącego.

– Ja... porozmawiamy po twoim przyjeździe.

Zaciskam mocno powieki.

– *Wiedziałam!* Dobry Boże, co się stało?

– Nie wiem, Cate. Nie mam pojęcia.

Nabiera powietrza przez usta i wydycha je prosto do słuchawki.

– Przerażasz mnie.

– Muszę coś sprawdzić – wyznaję, ale nie chcę zdradzać więcej szczegółów, dopóki nie będę mogła powiedzieć ich podczas rozmowy w cztery oczy. – Nie chcę nic mówić, dopóki nie dowiem się czegoś więcej, ale to główny powód, dla którego zostałam w domu.

Cate milczy, co jest do niej zupełnie niepodobne. Oczami wyobraźni widzę, jak chodzi w kółko po wykładanej płytkami podłodze, obgryzając pomalowany na jaskrawy róż paznokiec.

– Nick... – Głos jej się załamuje. – Powiedz przynajmniej, czy to ma coś wspólnego z Brantem. Jeśli waszej dwójce się nie uda, to dla reszty z nas nie ma żadnej nadziei.

– Możemy porozmawiać o tym kiedy indziej? Na przykład po twoim przyjeździe?

– Jasne, nie ma sprawy – odpowiada powoli, jakby nadal próbowała przetrwać moje rewelacje. – Wieczorem kupię bilet na samolot. Obiecuję. Wyślę ci szczegóły.

– Świetnie.

Cate znowu cichnie, po czym wzdycha do słuchawki.

– Co znowu? – pytam.

– To mi nie da spokoju. Ze zmartwienia nie będę mogła zmrużyć oka.

– Proszę cię, nie mów tak. – Wystarczy, że ja martwię się za nas obie. –

Kup bilet. Obgadamy wszystko po twoim przyjeździe.

Zamiast „porozmawiamy”, celowo użyłam słowa „obgadamy”, żeby stłumić jej niepokój. Przyjacielskie pogaduszki są przyjemne i niezobowiązujące. „Rozmawiać” trzeba wyłącznie wtedy, gdy robi się nieprzyjemnie.

Rozłączam się ze swoją najlepszą przyjaciółką i sięgam po kieliszek pinot noir stojący obok opróżnionej do połowy butelki wina. Po lewej leży nasz album ślubny. Odkrycie, że nasze małżeństwo znajduje się w niepewnym punkcie, sprawia, że nachodzi mnie przemożna ochota na przesledzenie całego naszego związku, przyjrzenie się uważnie wszystkim drobiazgom i wspomnieniom, by zyskać pewność, że byliśmy szczęśliwi od samego początku i że niczego nie wymyśliłam.

Do dziś pamiętam chwilę, w której wszedł do Berkshire Gallery. Podszedł do recepcji, podał nazwisko i powiedział, że ma spotkanie z panem Berkshirem. W naszej krótkiej wymianie zdań nie było nic szczególnego, nie licząc sposobu, w jaki na mnie patrzył – z czystym, nieukrywanym zachwytem. Pamiętam, że głos uwiązł mi w gardle. Nie potrafiłam oderwać wzroku od tych przenikliwych oczu w soczystym odcieniu zieleni wpadającej w turkus, błyszczących jak szkło. I te włosy w odcieniu piaskowego blondu, z opadającymi na czoło kędziorami.

Ten mężczyzna sam mógł uchodzić za żywe dzieło sztuki. Był o niebo piękniejszy i bardziej zdumiewający niż jakikolwiek obraz zdobiący surowe ściany naszej galerii. Po paru sekundach zdołałam sobie wmówić, że pewnie patrzył w ten sposób na *wszystkie* kobiety. Mężczyźni tacy jak on – o zapierającej dech w piersiach aparycji – występowali równie powszechnie, co gigantyczne szczury zamieszkujące tunele metra albo mierzące po metr osiemdziesiąt piękności z Europy Wschodniej, które przyjeżdżały do tego miasta z nadzieją na podpisanie kontraktu z agencją modelek Wilhelmina albo IMG. Wtapiały się w resztę krajobrazu, w tutejszą kulturę. Zauważało się je tylko wtedy, gdy się ich szukało, a Bóg jeden wie najlepiej, że wcale nie szukałam takiego mężczyzny.

Sekundę później pojawił się pan Berkshire i czar prysł. Gdy tylko obaj zniknęli na piętrze, Marin powiedziała mi, że Brant Gideon to największe ciacho w mieście – a ona w tym temacie zawsze miała rację. Znała scenę

artystyczną Nowego Jorku od podszewki, a ja byłam naiwną dwudziestodwulatką ze świeżutkim dyplomem z historii sztuki, na którym ledwo zdążył wyschnąć tusz.

Gdy Brant opuścił spotkanie, nie tracił ani chwili. Poprosił o mój numer i umówił się ze mną na randkę w przytulnej, małej knajpce w East Village. Pamiętam, że chciałam mu odmówić, sprawiać wrażenie niedostępnej i niezainteresowanej, ale serce waliło mi tak mocno, że nie mogłam myśleć, więc Marin odpowiedziała za mnie.

Wtedy nie wiedziałam, że to nastąpi, ale oświadczył mi się w tamtej knajpce w East Village dokładnie rok później. A po upływie kolejnego roku poślubił mnie w posiadłości moich rodziców w Nantucket, przysięgając dozgonną miłość na oczach 624 gości i przez całą uroczystość nie spuszczać oczu ze swojej świeżo poślubionej żony. Kiedy wieczór dobiegał końca, zdjął szpilki z moich zmęczonych stóp i zaniósł mnie do czekającego na nas samochodu, którym pojechaliśmy do pokoju hotelowego na nabrzeżu, gdzie jakimś cudem wykrzesaliśmy z siebie wystarczająco dużo energii, by kochać się nie raz, a dwa razy. A potem jeszcze raz nad ranem, przed wylotem na pierwszą część naszego europejskiego miesiąca miodowego.

Byliśmy szczęśliwi. Nie przyjmuję do wiadomości, że było inaczej.

Przeglądając wspólne zdjęcia, zatrzymuję się przy każdym na tyle długo, by poczuć, jak ogarnia mnie nostalgia w połączeniu z błogą tęsknotą i niezaprzeczalnym smutkiem, po czym przechodzę do następnego. Uśmiechaliśmy się od ucha do ucha, a nasze roziskrzony oczy były pełne życia. Drzemaliśmy pod wieżą Eiffla w Paryżu. Spaliśmy w irlandzkim zamku. Skakaliśmy z klifu w Finlandii. Nasz miesiąc miodowy, z całą swoją magiczną otoczką, jest tutaj, dokładnie udokumentowany. Gdy docieram do końca albumu, znajduję kopie przysięg, które dla siebie napisaliśmy.

Wyjmuję kopię Branta z koszulki ochronnej i ponownie odczytuję jej treść. Kartkę z papieru płótnowanego wypełnia jego staranne, zwarte pismo z zamaszystymi pętelkami.

Nicolette,

nigdy nie wierzyłem w miłość od pierwszego wejrzenia i nigdy nie sądziłem, że nadaję się do żeniaczki... ale potem poznałem ciebie i wszystko, co o sobie wiedziałem, uległo zmianie. Tak po prostu. Przyznaję bez wstydu i poczucia skruchy, że początkowo to twoja uroda przykuła moją uwagę. Jednak pod koniec naszej pierwszej randki wiedziałem, że za twoimi szafirowymi oczami, zaraźliwym śmiechem, wdziękiem i inteligencją, kryje się znacznie więcej.

Ciągle było mi ciebie mało. Nie wiem, czy wieczność spędzona u twego boku będzie wystarczająco długa, ale istnieje tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać...

Miesiącami nosiłem w kieszeni twój pierścionek zaręczynowy, zanim zebrałem się na odwagę, by poprosić cię o rękę. Byłem pewien, że powiesz „tak”, bo do tego czasu byliśmy w sobie po uszy zakochani, ale jakaś część mnie w skrytości bała się, że odmówisz, a ja będę zmuszony żyć bez ciebie – co w tamtym czasie wydało mi się równoznaczne z wyrokiem śmierci.

Któregoś wieczoru mijaliśmy witrynę Cartiera, a ty, myśląc, że nie patrzę, zatrzymałaś się na ułamek sekundy przy pierścionkach zaręczynowych. Wtedy zyskałem pewność.

Wiedziałem, że powiesz „tak”.

W następnym miesiącu poprosiłem cię o rękę. A ty się zgodziłaś. I tak oto jesteśmy.

Ponieważ sprawiłaś, że moje marzenie się spełniło, Nick, jedyne, co mogę zrobić, to obiecać, że zrobię dokładnie to samo.

Od dzisiaj jestem twój. Masz moją miłość. Moje wsparcie. Szczerłość. Zaufanie. Wszystko, czego kiedykolwiek mogłabyś ode mnie chcieć, i jeszcze więcej. Jedyne, co musisz zrobić, to powiedzieć „tak”, a to wszystko będzie twoje.

Twoje szczęście jest moim szczęściem, teraz i na zawsze.

I właśnie to ci przysięgam, kochanie.

Wkładam kartkę na swoje miejsce i zamykam album. Upiwszy kolejny łyk wina, wpatruję się w trzaskający na kominku ogień, myśląc o tym, jak Brant nazywał mnie swoim „kochaniem”, i zastanawiając się, kiedy właściwie przestał to robić.

Nie potrafię sobie przypomnieć.
O czym jeszcze zapomniałam?

21

Wren

Moje stopy płoną z bólu przy każdym kroku. Nogi mam tak słabe, że jeszcze trochę, a skręcę kostkę w trakcie przedzierania się przez ścianę wysokich sosen. Kolana mam zdarte do krwi, bo potknęłam się o leżące na ziemi połamane gałęzie. Ale przystanęliśmy tylko na moment, żebym złapała oddech. Wąska smużka księżycowego światła przesączająca się przez korony drzew ledwie oświetla nam drogę. Równie dobrze możemy kręcić się w kółko, ale kilka godzin temu narysowałam wyimaginowaną linię między księżycem a mną i właśnie w tamtym kierunku nas prowadzę.

– Wren! – woła Sage zdyszczanym głosem. – Wren, muszę się zatrzymać.

Zwalniając kroku, odwracam się i zaciskam palce wokół jej kościstego nadgarstka.

– Nie możemy.

Jeśli się zatrzymamy, to zginiemy.

Nie mam pojęcia, kiedy nieznajomy się obudzi, ale gdy już to zrobi, na pewno od razu rzuci się w pościg, a ślady naszych kroków pokierują go we właściwą stronę. Zostawiłyśmy go na pewną śmierć. Jeśli mówił prawdę o tym, że nie zamierza nas zabijać... nasza ucieczka na pewno skłoni go do zmiany zdania.

– Wren, proszę...

Błagalną prośbę mojej siostry poprzedza cichy jęk, gdy wyrywa dłoń z uścisku. Nie mając innego wyboru, odwracam się w jej stronę, patrząc, jak siada na zimnej, twardej ziemi.

– Jestem taka zmęczona – mówi. Jej usta drżą z zimna. Opadłe liście

kruszą się i szeleszczą pod jej ciężarem. – Zimno mi. Jestem głodna. I przerażona.

Kucam, kładąc dłonie na jej delikatnych ramionach. Czuję dokładnie to samo, co ona, ale nie mogę pozwolić, by się o tym dowiedziała. Jedna z nas musi być silniejsza.

– Tęsknię za mamą.

Chowa twarz w dłoniach i wyciera łzy.

Obejmuję ją ramionami i przytulam, czując szaleńcze bicie jej wystraszonego serca i dreszcze, które wstrząsają nią przy każdym urywanym oddechu. Odejście z domu było przerażającym doświadczeniem, ale nie powinniśmy temu ulegać, jeśli chcemy przeżyć... jeśli chcemy trzymać się z dala od tamtego mężczyzny... i znaleźć mamę.

To jedyny sposób.

– Sage, wiem, że się boisz – szepczę. – Ale musimy iść dalej.

Wyciera oczy po raz ostatni i wbija we mnie swoje ciemne spojrzenie.

– Jak długo jeszcze?

Wypuszczam powoli powietrze z płuc i kręcę głową.

– Nie wiem.

Podnosi się z ziemi i otrzepuje swój płaszcz. Robię to samo, czując bolesny ucisk w stawach. Pięty palą mnie żywym ogniem. Nie wiedziałam, jak bardzo bolą mnie stopy, dopóki się nie zatrzymałyśmy.

– Chcesz napić się wody? – pytam, szperając w torbie nieznanego. Zrobiliśmy tylko jeden krótki postój na jedzenie i picie, gdy Sage musiała się załatwić. Wtedy znalazłam ukryte głęboko w torbie paczuszki z orzechami, nasionami, suszonymi jagodami, rodzynkami. Wyciągam jedną z wielu manierek, które nieznanomy spakował w ciągu kilku ostatnich dni, zdejmuję korek i podaję ją Sage. – Masz. Tylko szybko.

Niebo pojaśniało od chwili, w której się zatrzymałyśmy. Niedługo wszędzie słońce. Myśl o utracie osłony w postaci ciemności sprawia, że robi mi się niedobrze, ale odpędzam od siebie to uczucie. Sage z wahaniem przysuwa manierkę do ust.

– Pośpiesz się – nakazuję, przyglądając się, jak ciemność ustępuje miejsca błękitowi.

– Wren – mówi Sage schrypniętym szeptem, ściskając mnie szczupłymi

palcami za ramię. – Spójrz.

Podnosi rękę, celując w coś palcem, a ja podążam za jej spojrzeniem w kierunku znacznego przerzedzenia w lesie, w którym znajduje się olbrzymi budynek z werandą od naszej strony. Jasne światła, przypominające trochę małe lampy naftowe, tyle że o wiele większej mocy, otaczają lśniące, szklane okna. Widocznie przeoczyliśmy go w ciemnościach, kiedy jeszcze nie było słońca.

– Chodź.

Zarzucam bezwładną rękę Sage na swoje ramiona i podtrzymuję jej zmęczone ciało. Razem brniemy przez połamane gałązki, gnijące liście i opadłe z drzew szyszki. Im jesteśmy bliżej, tym budowla wydaje się większa. Mama zawsze powtarzała, że domostwa różniły się od siebie, niektóre były skromniejsze, ale do tej pory mogłam sobie jedynie wyobrażać inne wersje naszej chaty.

Ale to... to nie jest chata.

Ze swoimi prostymi liniami, wytworną fasadą i niezliczoną liczbą okien jest czymś, czego nie potrafię nazwać.

Prowadząc siostrę na skraj posesji, wyłaniam się z mrocznych objęć Stillwater Forest. Zbliżamy się do chodnika z kamiennych płyt, kończącego się pod drzwiami obcego domostwa. Teraz mogę się jedynie modlić, by ci, którzy tu mieszkają, okazali się dobrymi ludźmi robiącymi dobre rzeczy i niekrzywdzącymi innych.

Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby okazało się, że wyprowadziłam nas z jaskini lwa tylko po to, byśmy trafiły prosto w jego paszczę.

Nicolette

Stojąc przez łazienkową umywalką, wpatruję się w oblicze nieznamomej kobiety. Przesuwam palcem po ciemnych kręgach umiejscowionych pod jej przekrwionymi oczami. Gdybym jej nie znała, współczułabym jej, ale tak naprawdę nigdy nie byłam fanką uzalania się nad sobą.

Wyczerpanie sprawia, że moja cera nabiera ziemistego, nietwarzowego odcienia, ale nie jest to coś, z czym nie poradziłby sobie zimny okład i odrobina korektora.

Zasiedziałam się wczoraj, ślęcząc nad zdjęciami i przywołując w pamięci szczęśliwsze chwile. Z uporem maniaka usiłowałam się dowiedzieć, czy mogłam się tej sytuacji spodziewać, a jeśli tak, to dlaczego postanowiłam to zignorować.

Zanim udało mi się podjąć decyzję, zmorzył mnie sen.

Choć najwyraźniej Brant wie, kim jest dziewczynka i postanowił ukryć przede mną jej zdjęcie, moja mama zawsze powtarzała, że snucie przypuszczeń jest niebezpieczne. Ale te oczy... te turkusowe oczy, identyczne z oczami Branta... nie mogę przestać o nich myśleć.

Obmywam twarz zimną wodą i wycieram ją ręcznikiem, po czym schodzę na dół na kawę. W trakcie naszego małżeństwa wielokrotnie zostawałam w domu na czas zagranicznych wyjazdów Branta, ale tym razem jest inaczej. Echo odbijające się w pokojach jest wyraźniejsze. Odgłos moich kroków o wiele głośniejszy. Wycie wiatru bardziej zauważalne. To wszystko przypomina mi o tym, że jestem tu sama jak palec, dwa kroki od gęstego lasu, pod szarym niebem, przy drodze, na której praktycznie nie widzimy

zadnych aut, poza naszym.

Wyjmuję z szafki ceramiczny kubek i szurając nogami, podchodzę do ekspresu w zabudowie w kredensie. Nie mając ochoty na nic słodkiego, nalewam zwykłej, czarnej kawy.

– Halo?

Głos jest tak cichy, że jestem pewna, że to wytwór mojej wyobraźni. Prawie upuszczam kubek. Odstawiam go na bok i nasłuchuję dźwięków z sąsiedniego pokoju. Wstrzymuję oddech i opieram się o steatytowy blat. Czasami wiatr w tutejszej okolicy wyje tak głośno, że może się wydawać, iż ktoś stoi pod drzwiami, ale to tylko złudzenie.

Nikt tu nie przychodzi. Chyba że musi.

Wcale się nie dziwię. Znalezienie nas graniczy z cudem. Od naszego domu do miasta i jakichkolwiek atrakcji jedzie się godzinami. Gdy pogoda nie rozpieszcza, jest tu nieznośnie zimno. Gdy jest ciepło, otaczają nas komary i cykady, które cykają tak głośno, że potrzeba stoperów w uszach, by móc zasnąć.

Regularnie odwiedzają nas moi rodzice, głównie w urodziny i wakacje. Brat mojego męża wpadał do nas co jakiś czas na kolację – do czasu kłótni sprzed kilku miesięcy.

Wstrzymując oddech, wsłuchuję się w wypełniającą mój dom ciszę, próbując ustalić, czy usłyszane przed chwilą „halo” było tylko wytworem mojej wyobraźni. Kręcę głową i sięgam po kubek z kawą. Nie mam pojęcia, dlaczego ubzdurałam sobie, że ktoś mógłby zjawić się na progu mojego domu o siódmej rano, i to bez zapowiedzi.

Wracam do kuchni, siadam przy stole i patrzę przez sięgające od podłogi do sufitu okno na nieliczne drzewa otaczające nasz dom. Wiosną lasy w pobliżu Stillwater Hills są pełne życia i stanowią wspaniałą wizytówkę Matki Natury. To dom dla najwspanialszych okazów fauny i flory: pierwiosnków i danaidów wędrownych pojawiających się wiosną, złocistych pieprzników jadalnych w lecie oraz jesiennych śliwek i persymon.

Jednak zimą las ten jest niczym innym niż gnijącym, ledwie zatrzymującym gwałtowne podmuchy wiatru szkaradztwem.

Brant konsekwentnie powtarzał, że wszystko musi umrzeć, by móc się ponownie odrodzić, ale ja mam na ten temat odmienne zdanie. Na świecie

jest mnóstwo wiecznie zielonych miejsc, gdzie nic nie umiera, bo zawsze świeci tam słońce.

Podnoszę kubek do ust i upijam łyk.

– Halo?

Odrobina kawy przelewa się przez krawędź mojego kubka, gdy odstawiam go na bok.

Chwilę później rozlega się pukanie do drzwi.

Po którym daje się słyszeć kolejne „halo”.

Uspokoiwszy oddech, podchodzę na palcach do panelu systemu alarmowego w korytarzu. Wpisuję kod i przywołuję obraz z kamer, by sprawdzić, co dzieje się przed domem. Kamera od strony garażu rejestruje pusty podjazd. Kamera wycelowana w ogród na tyłach i werandę okalającą dom pokazuje dokładnie to samo, czyli nic. Wciskając guzik sterujący kamerą dającą obraz z werandy od frontu, mrużę oczy, przyglądając się uważnie dwóm ciemnym plamom stojącym pod moimi drzwiami, aż w końcu ich kontury nabierają ostrości.

Wstrzymuję gwałtownie oddech i przykładam do piersi spoconą dłoń.

Przybliżam obraz twarzy dwóch postaci.

To dziewczynki.

Obraz dwóch dziewcząt z zapadniętymi oczami, wymizerowanymi twarzami, długimi, skołtunionymi włosami opadającymi na ramiona – jednymi blond, drugimi w odcieniu brązu – jest równie niepokojący, co realny. Blondynka jest wyższa, ale tylko odrobinę. Obejmuje niższą dziewczynę za ramiona.

W tym świetle obraz z kamery nie jest najlepszy, nieco ziarnisty i opóźniony o dwie sekundy, ale od razu widać, że obie trzęsą się z zimna.

Trzy puknięcia odbijają się echem od ścian domu, przyprawiając mnie o jeszcze szybsze bicie serca. To może być pułapka. Słyszałam o podejrzanych osobnikach udających rannych albo podszywających się pod kierowców, którzy zgubili drogę. Robili to wszystko, by kogoś okraść. Wokół domu mogą kryć się pozostali, będący poza zasięgiem kamer. Pewnie doskonale wiedzą, że muszę dezaktywować system alarmowy, aby otworzyć drzwi, i właśnie ten moment wybiorą, by zaatakować.

Próbuję uspokoić się zapewnieniami o tym, że w razie gdyby coś się stało,

gdyby te dziewczyny były przynętą, a do domu próbował wedrzeć się ktoś inny, jedyne, co muszę zrobić, to wcisnąć guzik na klawiaturze, a wtedy włączy się alarm i policja przyjedzie na miejsce w niecałe dziesięć minut.

Brant trzyma pistolet w sejfie wbudowanym w szafę. To zwykły rewolwer, wystarczająco mały, by ukryć go w dłoni. Nigdy wcześniej go nie używałam, ale jeśli zajdzie taka potrzeba, przyda się jako środek odstraszający.

– Potrzebujemy pomocy – odzywa się głos za moimi drzwiami. – Proszę...

Temperatura na ekranie monitora pokazuje pięć stopni poniżej zera.

Wpatruję się w nagranie jak sparaliżowana. Chwilę później niższa z dwójki dziewcząt kładzie głowę na ramieniu swojej towarzyszki, a na jej twarzy pojawia się grymas bólu.

Jasnowłosa dziewczyna puka ponownie, tym razem mocniej.

Biorąc głęboki wdech, przechodzę do kuchni, łapię telefon i wybieram 911.

– Komisariat policji, w czym mogę pomóc? – Dyspozytorka odbiera po pierwszym dzwonku.

– Witam, mówi Nicolette Gideon – przedstawiam się, przelewając w ton głosu cały spokój, jaki jestem w stanie z siebie wykrzesać. – 479 Orchard Drive. Na progu mojego domu stoją dwie młode dziewczyny i proszą o pomoc. Wyglądają, jakby... *nie czuły się zbyt dobrze*. Czy możecie tu kogoś przysłać?

– Tak, pani Gideon – mówi dyspozytorka. W tle słychać cichy odgłos stukania w klawiaturę. – Czy są ranne?

– Ja... nie wiem. Nie otworzyłam drzwi. – Mam świadomość, że mówiąc coś takiego, demonstruję swoje tchórzostwo. – Niedawno się obudziłam i usłyszałam, że proszą o pomoc. Stoją na zewnątrz. Mieszkam za miastem, daleko od najbliższego sąsiedztwa. Jest jeszcze wcześniej, a cała sytuacja zdaje się dość niecodzienna. Chciałam mieć pewność...

Usprawiedliwianie mojego tchórzostwa to wyjątkowo słabe posunięcie.

– Nic się nie stało, proszę pani. Zaraz przyślemy policjanta wraz z personelem medycznym. Proszę zachować spokój i pozostać na miejscu. Proszę dać mi znać, jeśli dziewczęta odejdą, dobrze?

– Dobrze. – Podchodzę do drzwi i wyglądam przez wizjer. Nadal tam

stoją.

– Zostanę na linii do momentu przyjazdu funkcjonariuszy.

Przyciskam telefon do piersi. Dłonie trzęsą mi się tak bardzo, że prawie upuszczam go na podłogę foyer.

Dziewczyny nie ruszyły się z miejsca.

Nie odpuszczają. Nie zamierzają odejść.

Desperacja rodzi determinację. To samo można powiedzieć o złych zamiarach.

Z tego miejsca mam lepszy widok na ich ubrania. Spod spodów ich długich, brązowych płaszczy wystają postrzępione, wyblakłe rąbki sukienek. Na stopach mają ubłocone trzewiki. Nie znam ani jednej nastolatki, która dałaby się przyłapać na noszeniu takich ciuchów.

Zaciskam dłoń na klamce. Usiłuję pozbyć się strachu i im pomóc. Gdyby Brant tu był, już dawno otworzyłby drzwi. Jest nieustraszony, a do tego chce przypodobać się innym. Chce, by wszyscy go lubili. Chce być bohaterem. Nie ma lepszego sposobu na udowodnienie swojej wartości niż niesienie pomocy potrzebującym.

Ale to i tak nie ma znaczenia.

– Nikogo nie ma – mówi niższa dziewczyna. – Chodźmy stąd.

Zerkam na ekran telefonu. Minęły dopiero dwie minuty. Potrzeba jeszcze co najmniej ośmiu, aby na miejscu zjawiała się policja.

Wsuwając telefon do lewej kieszonki na piersi mojej góry od pizamy, otwieram zamki w drzwiach i uchylam je delikatnie, by nie wystraszyć dziewczyn.

Ledwie udaje mi się stłumić okrzyk na widok ich budzących niepokój twarzy – wystraszonych oczu, wychudłych buzi o wystających kościach policzkowych i włosów w strąkach wystających spod robionych na drutach czapek. Obie wyglądają jak nie z tego świata, a już na pewno nie jak mieszkanki tej okolicy.

Blondynka ściska mocno ciemnowłosą dziewczynę. Trzęsą się, choć nie wiem, czy z zimna, czy ze strachu.

– W... witam – mówi blondynka. Jej niebieskie oczy są okrągłe jak spodki. – Ja... p-przepraszam, że panią nachodzimy, ale...

Przyglądam im się z bliska i jeszcze bardziej rzuca mi się w oczy ich

osobliwy wygląd. Drobniejsza z dziewczyn patrzy na mnie, nie spuszczać ze mnie wzroku, a ja zerkam na jej porwany płaszcz, zacerowany w kilku miejscach kawałkami kwiecistego materiału. W podeszwie jej lewego trzewika jest dziura, przez którą wystaje czubek wełnianej skarpetki. Jej włosy, przyklapnięte i przetłuszczone, opadają na ramiona. Ich nierówne końcówki sięgają obojczyków.

– M... my... potrzebujemy pomocy – mówi blondynka.

Nawet gdybym chciała, nie umiałabym określić jej wieku. Z całą pewnością jest zbyt drobna i bezkształtna, by być dorosłą osobą, ale na pewno nie jest już dzieckiem. To samo tyczy się drugiej dziewczyny, choć ma ona w sobie dziwną ciekawość, jakby była właśnie dzieckiem – wychowywanym pod kloszem i widzącym wszystko po raz pierwszy.

Odsuwam się na bok, zapraszając je do środka. Trzymając się za ręce, przekraczają próg frontowych drzwi i rozglądają się dokoła szeroko otwartymi oczami, stojąc na środku naszego dwukondygnacyjnego foyer.

– Co wam się stało? – pytam najłagodniej, jak się da. – Jesteście ranne? Wicie, gdzie są wasi rodzice? Szukają was?

Wyglądają tak młodo ze swoimi okrągłymi, niewinnymi oczami. Nawet na chwilę nie przestały dygotać, mimo że termostat jest ustawiony na dwadzieścia dwa stopnie. Przypominają mi dwa porzucone króliczki... smutne i urocze, które albo przeżyją, albo zginą pod wpływem szoku.

– Policja już tu jedzie. Wejdźcie. Rozgośćcie się. Jesteście głodne? Chcecie coś do picia?

Zamykam drzwi i idę do kuchni, machając do nich, by poszły za mną. Dziewczyny stoją w miejscu, ale chwilę później są już w drzwiach, trzymając się za ręce. Nalewam dwie szklanki wody.

– Usiądźcie tutaj. – Wskazuję na krzesła przy stole. – Jesteście głodne?

Nie odzywają się, ale ich wychudłe twarze mówią mi wszystko, co muszę wiedzieć. Biorę za spizarki bochenek chleba i słoik masła orzechowego. Z lodówki wydaję dżem truskawkowy i miseczkę umytych winogron bez pestek.

– Przyślą też karetkę – dodaję, przygotowując kanapki i obrywając winogrona z gałązki. – Na wypadek, gdybyście potrzebowały pomocy lekarskiej.

Od momentu, gdy weszły do środka, nie odezwały się ani słowem. Wpatrują się we mnie z ostrożnością, ściskając się za kościste dłonie. Szurając cicho, podchodzą do stołu, by usiąść.

– Nic wam nie jest? – pytam, kładąc przed nimi talerze.

Przyglądają się jedzeniu zapadniętymi oczami, ale nie dotykają go, a przynajmniej nie z początku.

– W porządku – szepcze starsza do młodszej. – Jedz. Wydaje się miła.

Nic w ich wyglądzie nie skłania mnie do myślenia, że są spokrewnione. Niższa ma ciemne włosy i ostre rysy twarzy, a wyższa włosy w odcieniu złocistego blondu, krystalicznie niebieskie oczy, okrągłą twarz i piegi na nosie.

Czuję ściskanie w gardle na myśl, że być może siedzę naprzeciwko dwóch ofiar handlu dziećmi. Może udało im się uciec? Być może nigdy nie zaznały dobroci ze strony innego człowieka i dlatego są wobec mnie takie podejrzliwe.

Wycie policyjnych syren z sekundy na sekundę staje się coraz głośniejsze. Niższa dziewczyna sięga po jedzenie i zastyga w bezruchu, po czym odwraca się w stronę tej starszej.

– Wszystko w porządku – uspokajam je, unosząc dłonie. – To tylko policja. Oni chcą wam pomóc.

Ich obojętne wyrazy twarzy każą mi sądzić, że moje słowa do nich nie docierają. Malujące się na ich buziach zmęczenie podpowiada mi, że od dawna nie spały. Może zostały odurzone? Może uciekały od wielu dni, aż w końcu natknęły się na mój dom?

Cokolwiek się stało, jestem pewna, że policja się tego dowie.

Przez okna wlewają się rozbłyśki czerwonego i niebieskiego światła. Po chwili rozlega się intensywne pukanie do drzwi.

Unoszę palec i uśmiecham się do nich.

– Zaraz wracam, dobrze?

Otwieram drzwi i stoję twarzą w twarz z zastępczynią szeryfa ubraną w uniform koloru khaki. Włosy ma zaczesane w niski kok na karku. Choć jej poprzetykane cienkimi pasmami siwizny włosy wskazują na to, że jest w średnim wieku, to na jej twarzy nie ma śladu zmarszczek mimicznych. Zdejmuje kapelusz i otwiera usta, by coś powiedzieć, ale nie dopuszczam jej

do głosu.

– Są tutaj.

Przed zamknięciem drzwi za policjantką patrzę w stronę podjazdu i dostrzegam zatrzymującą się pod domem karetkę.

– Tędy. – Prowadzę funkcjonariuszkę do kuchni, gdzie dziewczyny dojadają resztki kanapek z masłem orzechowym i dżemem. Szklanki z wodą, które przed chwilą były napełnione, są puste. Zostały jedynie nietknięte winogrona. – Dziewczęta, to zastępczyni szeryfa... zerkam na jej plakietkę – ...May. Jest tu, by wam pomóc.

Starsza dziewczyna zastyga w bezruchu, ale w jej oczach czai się podejrzliwość. Młodsza wbija wzrok we własne kolana.

Przeczuwam, że to, co je spotkało, nie jest historią dla osób o słabych nerwach.

– Witajcie – mówi May słodkim jak miód głosem. – Pani Gideon zadzwoniła do nas, bo chciała mieć pewność, że nic wam nie jest.

Dziewczyny skierowują na nią swoje pełne nieufności spojrzenia, ale trzymają języki za zębami, jakby nie miały zamiaru nic mówić.

– Powieście mi, co się stało? Jak tu trafiłyście? – pyta przyjaznym głosem.

Obie milczą jak zakłęte.

– Czy któraś z was jest ranna?

Tłumię chęć skłonienia ich, by powiedziały cokolwiek. Nie jestem ich matką. Jestem tylko kobietą, która otworzyła przed nimi drzwi, dała im trochę jedzenia i wodę. Nie mają powodu, by robić, co im każę. Ciemnowłosa dziewczyna sięga po winogrono, obracając je w palcach.

– Spokojnie, możesz je zjeść. Wyhodowałyśmy takie któregoś roku, pamiętasz? Nasze były fioletowe.

Zastępczyni szeryfa i ja wymieniamy się spojrzeniami.

Mniejsza wrzuca winogrono do ust i żuje w skupieniu, po czym sięga po następne.

– Rozumiem, że się boicie – mówi May, opierając dłonie na pasku od munduru. – Ale my naprawdę chcemy wam pomóc, a nie zrobimy tego, jeśli nie powiecie nam, co się stało.

– Jak macie na imię? – pytam, rozpaczliwie próbując przełamać pierwsze lody. Przykładając dłonie do piersi, przedstawiam się: – Ja jestem

Nicolette.

Napotykam spojrzenie starszej z dziewczyn. Jestem prawie pewna, że mi nie odpowie, więc nie naciskam.

– Jeśli chcecie, możecie mówić do mnie Nick – dodaję z ciepłym uśmiechem.

Cisza między nami przedłuża się, a do moich uszu dochodzi powolne westchnięcie zastępczyni szeryfa, May.

– Wren – odpowiada blondynka. – Mam na imię Wren. A moja siostra to Sage.

A więc jednak są siostrami...

May siada na krześle naprzeciwko nich.

– W jaki sposób tu dotarliście?

– Na piechotę – mówi Wren. – Mogę zdjąć płaszcz?

– Oczywiście.

Strząsa z ramion wytarty płaszcz, odsłaniając jasną koszulę nocną przesiąkniętą potem, przyklejoną do jej szczupłego ciała. Biorę od niej okrycie i wieszam je na oparciu krzesła. W powietrzu rozchodzi się intensywna woń stęchlizny.

– Skąd jesteście? – pyta policjantka. – Jaki jest wasz adres?

Wren marszczy brwi i mruga niepewnie, jakby nie rozumiała pytania.

– Gdzie są wasi rodzice? – May przechyla głowę w bok. – Szukają was?

Sage zerka na Wren, ale Wren ani drgnie.

– Nie.

– Czy wy... macie rodziców? – pyta May, unosząc brwi.

– Miałyśmy – odpowiada Wren, patrząc na talerz.

Przez moment mam wrażenie, że śnię, bo nic z tego nie wydaje się realne i nie ma najmniejszego sensu. Mimo to siadam obok zastępczyni szeryfa i wierzę, że ta kobieta wie, co robi. Że umie zadawać pytania w taki sposób, by uzyskać odpowiedzi.

– Wren, muszę skorzystać z wychodka – szepcze drobniejsza dziewczyna.

Wychodka?

May wypuszcza powietrze przez nos, gdy wymieniamy się spojrzeniami.

– Nie posiadam wychodka – mówię łagodnym, przepraszającym tonem – ale mam łazienkę. Przypomina wychodek, ale jest w niej bieżąca woda i są

światła. – Wstając od stołu, dodaję: – Zaprowadzę cię. Łazienka jest na końcu korytarza.

Sage patrzy na Wren, która mówi jej, że wszystko w porządku. Sekundę później idę do łazienki w korytarzu z małą, brązową nieznajomą.

Zapalam światła i odsuwam się, ale Sage nie kwapi się, by wejść do środka. Stoi z szeroko otwartymi oczami, przyciskając dłonie do futryny.

– Korzystałaś kiedyś z takiej łazienki?

Przygryza dolną wargę i kręci głową, przenosząc spojrzenie z sedesu na kran, z kranu na lustro, a potem na mnie. Wchodzę do łazienki i podnoszę klapę sedesu.

– To tutaj... się załatwiasz. – Wskazując na chromowany drążek z tyłu zbiornika na wodę, tłumaczę: – Kiedy skończysz, naciskasz to.

Nie chcę jej wystraszyć, więc przystępuję do demonstracji, spuszczaając wodę w pustym sedesie i odsuwając się, by mogła zobaczyć, jak ciecz wiruje dokoła muszli i znika.

– Po wszystkim myjesz ręce. – Dotykam pokręteł przy kranie, odkręcając je i zakręcając, po czym wskazuję na biały dozownik i wiszący po lewej szary ręcznik. – Tutaj masz mydło. Po umyciu rąk wycierasz ręce w ręcznik.

– D-dziękuję – mówi, obejmując ramionami wążutką talię.

Zostawiam ją samą i wracam do kuchni, gdzie zastępczyni szeryfa wstaje od stołu, przyciskając guzik krótkofalówki, i mówi coś do głośnika. Wren wpatruje się w przestrzeń z obojętnym wyrazem twarzy. May gestem ręki przywołuje mnie do pustego korytarza.

– Zabieramy je do szpitala – informuje mnie, gdy znikamy Wren z oczu. – Zrobią im wszystkie niezbędne badania, a potem psycholog dokona oceny ich stanu psychicznego. Pracownicy opieki społecznej są już w drodze.

Nie wiem, czego się spodziewałam, ale to wszystko dzieje się zbyt szybko. W jednej chwili pukają do moich drzwi, prosząc o pomoc, i trzęsą się jak osiki na wietrze, a w następnej pozerają jedzenie, jakby od lat nie miały niczego w ustach. Fakt, że musiałam pokazać Sage, jak korzystać z nowoczesnej łazienki, rzuca na całą sytuację dodatkowe światło.

– Mogę pojechać razem z nimi?

May unosi pytająco lewą brew.

– Tak, wiem, nie znam tych dziewczyn, ale są całkiem same. I przerażone. Powinny mieć przy sobie kogoś... kto nie nosi munduru... kto może z nimi zostać, odpowiedzieć na ich pytania i zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

– Pani Gideon, doceniam pani troskę, ale...

– Proszę – przerywam jej. – Nie będę się w nic wtrącać ani wchodzić wam w drogę. Ja tylko... Wydaje mi się, że potrzebują kogoś, kto nie jest na służbie... bez obrazy. A w tej chwili jestem jedyną osobą, do której mogą się zwrócić.

May uśmiecha się przez zaciśnięte usta, jakby chciała mnie udobruchać.

– W porządku. Jeśli dziewczyny będą nalegać na pani obecność, zezwolimy na to. Nie będzie jednak miała pani dostępu do ich danych medycznych ani żadnych niedopuszczonych do wiadomości publicznej informacji związanych z naszym śledztwem.

– To całkowicie zrozumiałe. – Przykładam prawą rękę do serca.

Naszą rozmowę przerywa pukanie do drzwi, po którym dają się słyszeć kroki. Zerkam ponad ramieniem May na dwóch posterunkowych biegnących przez foyer. Ich dudniącym krokom towarzyszy skrzek krótkofalówek.

– Tutaj – woła May, opierając dłonie na biodrach.

W korytarzu przy łazience rozlega się ogłuszający wrzask. Biegnę w kierunku źródła tego okropnego dźwięku, znajdując leżącą pod ścianą Sage. Dziewczyna drze się wniebogłosy, zasłaniając uszy rękami i zaciskając mocno powieki.

Posterunkowi stoją nad nią, a po chwili przenoszą spojrzenie na May.

Siostra Sage przeciska się między nimi, a May daje mężczyznom znaki, by odsunęli się i znaleźli poza zasięgiem wzroku. Wren obejmuje Sage chudymi ramionami i szepcze jej coś na ucho. Chwilę później Sage przestaje płakać, choć jej pierś faluje tak gwałtownie, że boję się, że zaraz się udusi.

– Dziewczyny... *dziewczyny* – mówi May, kucając obok nich. – O co chodzi? To posterunkowi Alvarez i Thomason. Są tu, aby wam pomóc. Nie macie powodu, aby się ich obawiać. Spróbują prześledzić wasze odciski stóp i sprawdzić, skąd przyszłyście.

Mniejsza z dziewczyn chowa twarz w wątych ramionach Wren. Wren przytula ją mocno.

– Myślała... ona myślała, że to... tam był mężczyzna... w naszej chacie...

Jej głos drży i z trudem potrafi sklecić zdanie. May wchodzi jej w słowo.

– Dobrze, już dobrze. Nie wszystko naraz. Nie musicie przebywać wśród mężczyzn, jeśli tego nie chcecie. Gdy dojedziemy do szpitala, poprosimy, by zajęły się wami wyłącznie panie pielęgniarki i lekarki.

May odwraca się w moją stronę, a jej znaczące spojrzenie zdaje się sugerować, że cała ta sytuacja jest o wiele bardziej skomplikowana, niż nam się początkowo wydawało.

– Są tam lekarze? – pyta Wren, unosząc brwi. – W tym... *szpitalu*?

Wycierając rękawem łzy, Sage zerka z ukosa na siostrę.

– Wren, myślisz, że Evie tam jest?

May opiera dłonie na biodrach.

– Kim jest Evie?

Wren odwraca się w jej stronę.

– Naszą siostrą.

May ściska palcami grzbiet nosa.

– Jest was *trójka*?

Wren przytakuje.

– Evie zachorowała. Mama zabrała ją do miasta, by poszukać lekarza, który mógłby jej pomóc. To było dawno temu. Nigdy nie wróciły.

May ponownie opiera dłonie na biodrach, a pionowe zmarszczki między jej brwiami pogłębiają się. Cała nasza czwórka rozkoszuje się chwilą ciszy, do momentu, w którym ktoś wzywa May przez krótkofalówkę. Zastępczyni szeryfa przechodzi do sąsiedniego pokoju, aby porozmawiać. Po chwili wraca.

– Musimy jechać. Czekają na nas w szpitalu.

*

– Jestem z nimi. – Stojąc na izbie przyjęć szpitala Mercy General, wskazuję na dziewczyny i zastępcę szeryfa, May.

May kiwa głową, przywołując mnie do siebie machnięciem ręki.

Podróż do miasta upłynęła w osobiwej ciszy. Ciepły blask późnozimowego poranka opromieniał jałowe krajobrazy – mroczna ilustracja, którą można było zinterpretować na dwadzieścia różnych sposobów.

Wren i Sage pojechały radiowozem z May, a ja podążyłam za nimi swoim SUV-em. Jadąc trzy długości samochodu za nimi, patrzyłam, jak objęły się mocno ramionami, od czasu do czasu zerkając w moją stronę pozbawionymi wyrazu oczami.

Jestem pewna, że są przerażone.

Zza automatycznie otwieranych drzwi wyłania się młoda pielęgniarka w różowym stroju ze związanymi w kucyk blond włosami. Jej spojrzenie zatrzymuje się na dziewczynach.

– Wszystko w porządku. To pani pielęgniarka – tłumaczy May. – Przyszła, żeby zabrać was na badania.

Wren odwraca się w moją stronę.

– Pójdiesz z nami?

Patrzę z ukosa na May.

– Pójdę, jeśli pani May wyrazi zgodę.

May przytakuje. Domyślam się, że protokół postępowania tego nie przewiduje, ale sytuacja jest na tyle wyjątkowa, że funkcjonariuszka jest skłonna nadstawić karku, byleby tylko zapewnić dziewczętom wszystko, czego potrzebują, by poczuć się komfortowo i zacząć współpracować.

– Będę tu na wypadek, gdybyście mnie potrzebowali – informuje pielęgniarkę i sprawdza telefon. – Zaczekam na pracownicę opieki społecznej. Powinna już tu być.

Wstaję z miejsca i idę białym korytarzem za dziewczętami oraz pielęgniarką. Kierujemy się do trzecich drzwi po prawej. Pokój zabiegowy jest dość ciasny, ale jakoś udaje nam się pomieścić.

– Mam na imię Becca. – Pielęgniarka ściąga z szyi srebrny stetoskop i uśmiecha się niepewnie do Wren. – Nie masz nic przeciwko, żeby usiąść na tym stole? Osłucham twoje serce i szybko sprawdzę ciśnienie krwi.

Dziewczęta milczą, nie ruszając się z miejsca.

– To nic groźnego – mówię, wkładając w głos delikatny nacisk. – Nikt nie zrobi wam krzywdy.

Pielęgniarka zerka na mnie, po czym odwraca się w stronę dziewczyn

i posyła im nerwowy uśmiech. Na pewno została pokrótce poinformowana o całym zajściu, ale nic nie mogło jej przygotować na zobaczenie ich na własne oczy.

– Pójdę pierwsza – mówi do siostry Wren, wspinając się na drugi koniec stołu. W gabinecie słychać szelest papierowej nakładki higienicznej, a w powietrzu rozchodzi się stęchły zapach niemytych włosów.

Pielęgniarka przykładła metalową końcówkę stetoskopu do pleców Wren, instruując ją, by wzięła dwa głębokie wdechy, po czym zakłada jej na ramię rękaw do pomiaru ciśnienia, tłumacząc po kolei każdą czynność. Po wszystkim prosi Wren, by weszła na wagę, żeby móc określić jej masę ciała i wzrost. Becca zapisuje pomiary na przypiętej do podkładki kartce, po czym odkłada ją na bok i odwraca się w stronę Sage.

Kątem oka zerkam na wyniki. 43 kilogramy przy niecałych 160 centymetrach wzrostu.

Znaczna niedowaga, która jest zauważalna na pierwszy rzut oka, bez wagi i linijki.

– Gotowa, Sage? – pyta Becca, wymieniając nakładkę higieniczną na stole. Sage waha się przez chwilę, po czym spełnia jej prośbę, i całe badanie zostaje powtórzone.

Rozlega się ciche pukanie do drzwi, które poprzedza pojawienie się siwowłosej pani doktor o ciemnoróżowych ustach, przenikliwych orzechowych oczach i w pobrzękujących, srebrnych kolczykach. Lekarka podchodzi do umywalki i myje dłonie z przesadną dokładnością, po czym z babcinym uśmiechem na twarzy odwraca się w stronę dziewczyn.

– Jestem doktor Halifax, ale możecie do mnie mówić doktor Corinne.

Sekundę później orientuję się, że za jej plecami stoi druga kobieta. Z ciemnymi kręgami pod oczami, orzechowymi oczami i napuszonymi, brązowymi włosami, które wyglądają tak, jakby odpuściła sobie prysznic, żeby przyjechać od razu na miejsce, wygląda jak uosobienie zmęczenia. Z zalamowanej plakietki wiszącej na jej szyi dowiaduję się, że kobieta nazywa się Sharon Gable i jest licencjonowanym, niezależnym pracownikiem opieki społecznej. Najwidoczniej szpital przydzielił dziewczynom opiekuna.

Doktor Corinne bierze do ręki notatki pielęgniarki i siada na obrotowym

taborecie, przysuwając się do dziewczyn. Sharon opiera się o ścianę, trzymając się na uboczu.

– To jest Sharon – mówi doktor Corinne, wskazując na stojącą za jej plecami kobietę. – Jest tu, aby wam pomóc.

Pracownica socjalna występuje naprzód.

– Wszyscy chcemy wam pomóc. Cokolwiek się stało... cokolwiek wam się przytrafiło, chcę, byście wiedziały, że jesteście tutaj bezpieczne. Dopilnujemy, żebyście trafiły w dobre ręce.

– Nasza siostra – mówi Wren. Jej głos załamuje się od zbyt długiego milczenia. – Ma na imię Evie. Czy ona tu jest? – dopytuje.

– Zastępca szeryfa May wspomniała, że szukacie swojej mamy i siostry – odpowiada Sharon. – Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby je znaleźć, ale musimy działać w określonej kolejności. Gdy tylko doktor Corinne skończy was badać, policja zada wam kilka pytań. Pytań, które mogą pomóc w odnalezieniu waszych bliskich. Jeśli w jakimkolwiek momencie poczujecie się przytłoczone albo będziecie potrzebowały przerwy, dajcie nam znać, dobrze?

Dziewczyny przytakują zgodnie, a Sharon wraca na swoje poprzednie miejsce. Jej sweter w kolorze złamanej bieli zlewa się z pomalowanymi na kremowo ścianami.

– Z tego, co rozumiem, przebywałyście w lesie – mówi lekarka, zakładając nogę na nogę i przesuwając dłonią po stetoskopie. Uśmiecha się, przez co w zewnętrznych kącikach jej pięknych oczu uwidaczniają się zmarszczki. – Powiecie mi, co tam robiłyście?

W gabinecie zapada cisza. Wszyscy czekamy na odpowiedź. Na przestrzeni lat opowiadano przeróżne historie o lesie Stillwater i ludziach, którzy prawdopodobnie zamieszkiwali jego ostępy. Większość mieszkańców śmiała się z tych legend, ale niektórzy brali je na tyle poważnie, że nie wychodzili poza szlaki turystyczne i nieco zaniedbany park zabaw dla dzieci położony obok rzadko uczęszczanego pola kempingowego.

Brant twierdzi, że wszystko zaczęło się po tym, jak z parku zostało porwane czyjeś dziecko. Ten incydent zapoczątkował wszystkie plotki. Wren chrząka dyskretnie. Jej ramiona nie są już tak napięte jak wcześniej, co, mam nadzieję, jest dobrym znakiem.

– Byłyśmy zmuszone odejść z domu – mówi, z trudem przełykając ślinę i przeskakując spojrzeniem pomiędzy Sharon a lekarką. – Mama zabrała Evie do miasta, bo nasza siostra była chora. Potem zjawił się mężczyzna. I nie chciał odejść. Chciał nas stamtąd zabrać, więc poczekałyśmy, aż zaśnie, i wtedy uciekłyśmy.

Lekarka stara się, jak może, zachować niewzruszony wyraz twarzy, ale żyły na jej szyi pulsują. Na moment odwraca wzrok.

– Jak długo mieszkaliście w lesie? – pyta doktor Corinne, biorąc się w garść.

– Kiedy będziemy mogły stąd wyjść? – Wren ignoruje pytanie pani doktor. – Musimy odnaleźć naszą rodzinę.

Sharon odsuwa się od ściany, unosząc dłoń.

– Dziewczęta, wielce prawdopodobne, że spędzicie tu noc na obserwacji. Spotka się z wami inny lekarz, a potem zostaną wykonane kolejne badania. Zanim was stąd wypuścimy, musimy mieć pewność, że jesteście zdrowe.

Wren ześlizguje się ze stołu.

– Nie.

Wyciąga dłoń w stronę Sage, która marszczy pytająco ciemne brwi, i łapie ją za rękę.

– Powiedzieliście, że nam pomożecie, ale zmuszacie nas, żebyśmy zostały.

Wren wyrzuca z siebie słowa jedno za drugim, ciągnąc siostrę do drzwi. Doktor Corinne wstaje z taboretu, ale Sharon powstrzymuje ją, ściskając delikatnie za ramię.

Chwilę później dziewczyny wybiegają z zabiegowego i znikają na korytarzu. Aż do teraz łatwo mi było zapomnieć się w ferworze sytuacji i być wyłącznie biernym obserwatorem wydarzeń, próbującym ogarnąć, jak w ogóle do tego doszło.

Nie mogę pozwolić, aby uciekły.

Nie przetrwają na własną rękę w tym świecie.

Potrzebują kogoś. Kogoś takiego jak ja. Kogoś, komu mogą ufać.

Chociaż... skoro przetrwały w dziczy, to chyba nie doceniam ich możliwości.

– Wren, Sage! – wołam za nimi. – Zaczekajcie, proszę!

Dziewczyny przeciskają się pomiędzy pielęgniarkami, wózkami do

reanimacji i przenośnymi komputerami, ale zatrzymują się po dotarciu do drzwi na końcu korytarza, przez które można przejść wyłącznie dzięki plakietce z kodem kreskowym. Odwracają się w moją stronę, zdyszane. Patrząc pełnymi przerażenia oczami, przypominają dziką zwierzynę zapędzoną w kozi róg. Zachowując bezpieczną odległość, unoszę dłonie w pojednawczym geście.

– Już dobrze. Nic się nie stało. *Przysięgam*, że jesteście tu bezpieczne.

Wren wykrzywia twarz w grymasie, jakby wątpiła w moje zapewnienia.

– Powiedziałaś, że będziemy bezpieczne. Nie wspomniałaś słowem o tym, że będą nas tu przetrzymywać wbrew naszej woli.

Biorę głęboki oddech i kiwam głową. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, co teraz czują, ale mogę postarać się to zrozumieć i uszanować.

– Wiem, że to wszystko wydaje się wam niezrozumiałe, ale musicie uwierzyć, że ci ludzie mają na uwadze wasze dobro. Chcą mieć pewność, że jesteście zdrowe i czujecie się na tyle dobrze, by odpowiedzieć na pytania policji, co pomoże w odnalezieniu waszej rodziny. Kiedy to się skończy, znajdą wam miejsce, w którym będziecie mogły się zatrzymać.

– Miejsce? – pyta Sage.

– Nie możemy wrócić do domu. Wtedy on nas znajdzie. I pewnie zabije, po tym, co zrobiliśmy – dodaje Wren.

Serce wali mi jak oszalałe, gdy próbuję złożyć to w jedną całość.

– Jeśli ktoś chce was skrzywdzić, nie robi tego, jeśli zostanieie tutaj. Mają tu ochroniarzy. Lekarzy i pielęgniarki. Zamki w drzwiach. Kamery.

To brzmi, jakbym opisywała więzienie, choć nie jestem pewna, czy one w ogóle mają pojęcie, czym jest więzienie, skoro nigdy nie opuszczały swojego małego domku w głuszy.

Ich milczenie sprawia, że prawie tracę nadzieję, ale wtedy Wren szepcze coś na ucho Sage, po czym odwraca się w moją stronę.

– Tylko na jedną noc? – upewnia się Wren.

– Tak. A potem znajdziemy wam miejsce, w którym będziecie mogły się zatrzymać – mówię, mając nadzieję, że nie naruszam żadnych granic. Nie mam pojęcia, jaki jest w tej sytuacji schemat postępowania.

– Czyli gdzie? – dopytuje Wren.

– Istnieje coś takiego jak domy dziecka... instytucje, które przyjmują

młodych ludzi potrzebujących pomocy. Ile macie lat?

– Ja dziewiętnaście, a Sage osiemnaście.

Otwieram usta, chcąc coś powiedzieć, ale jakimś cudem udaje mi się powstrzymać przed okazaniem niedowierzania z powodu ich wieku. Myślałam, że mają co najwyżej po czternaście, piętnaście lat. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że są dorosłe.

Krzywiąc się, pocieram usta palcami i zastanawiam się, czy coś powiedzieć, czy nie. Poinformowanie ich, że są za duże na umieszczenie w domu dziecka, nie jest moim zadaniem. Nawet jeśli państwo zrobi wyjątek dla Sage, jest bardziej niż pewne, że siostry zostaną rozdzielone, a Wren pozostanie całkiem sama. Bez pomocy i środków do życia, istnieje ryzyko, że prędzej czy później skończy w przytułku dla bezdomnych.

– Wszystko w porządku?

Odwracam się i napotykam wzrokiem stojącą w połowie korytarza Sharon.

– Jesteście gotowe, by wrócić? – pytam je.

Biorą się za ręce i wracają, a ja idę w ślad za nimi. W mojej głowie powoli zaczyna rodzić się szalony plan.

Zabiorę je do siebie.

Wtedy nikt ich nie rozdzieli. Nie będą musiały poznawać kolejnych obcych ludzi ani spać na pryczach w schroniskach dla kobiet i młodzieży. Mając na uwadze traumę, jaką przeżyły, i to, że przed nimi kolejne ciężkie boje do stoczenia, jestem pewna, że zostanie ze mną to dla nich najlepsza opcja. Nie mogłabym spać spokojnie ze świadomością, że odwróciłam się do nich plecami.

Będę szczęśliwa, mogąc zaoferować tym uroczym istotom pobyt w swoim domu, nawet jeśli okoliczności temu nie sprzyjają. Mam na myśli wątpliwy status mojego małżeństwa.

Wróciwszy do gabinetu, notuję w myślach, by poinformować o wszystkim Branta. Nie wyobrażam sobie, by wściekł się na mnie za to, że zrobiłam dobry uczynek.

A nawet jeśli...

W tej chwili to najmniejsze z moich zmartwień.

Wren

– Proszę.

Nicolette staje w drzwiach pokoju, w którym nas umieściła, z naręczem ubrań i dodatkowych koców. Moja siostra prawie nie ruszyła się z krawędzi ogromnego, wystającego ze ściany łóżka sąsiadującego z gigantycznym oknem. Nicolette zaproponowała, że da nam osobne pokoje z łazienkami, ale nalegałam, byśmy mogły trzymać się razem.

Nie mówiłam o tym Sage, ale jestem tak samo przerażona jak ona.

Gdy byłyśmy małe, mama czytała nam do snu pewną książkę. Jej bohaterowie przechodzili przez tylną ściankę szafy i trafiali do zupełnie innej krainy pełnej mitycznych stworzeń i rzeczy, których zwykli ludzie nigdy nie widzieli.

I tak też się czuję, choć to akurat rzeczywistość, tyle że pozbawiona mitycznych stworzeń – za to pełna ludzi, których nigdy wcześniej nie spotkałam, przedstawiających się imionami i nazwiskami, których nigdy nie zapamiętam, i recytujących tytuły, o których nigdy nie słyszałam, jakby to miało uczynić ich bardziej godnymi mojego zaufania.

Nie wiem, komu ufać ani komu wierzyć. Kto jest dobry, a kto zły. Skoro mama nas okłamała, to równie dobrze mogli to zrobić wszyscy inni.

– Dziękuję.

Biorę ubrania od Nicolette i kładę je na komodzie. Wcześniej przyniosła nam rzeczy do szpitala, byśmy mogły się przebrać i wrócić w nich do domu. Są na nas trochę za duże, ale za to miękkie i pięknie pachną. Osoba towarzysząca zastępcy szeryfa May zabrała nasze sukienki oraz płaszcze,

które umieściła w specjalnej, przezroczystej torebce. Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek odzyskamy stare ubrania, ale raczej mi to nie przeszkadza, bo nie spotkałam tu ani jednej osoby, która by się tak ubierała.

– Jutro, jeśli będziecie się czuły na siłach, może wybierzemy się do miasta i kupimy wam trochę nowych ubrań? – pyta Nicolette.

Z trudem przełykam ślinę.

– W porządku.

– Pokazać wam łazienkę? – pyta, zerkając na drzwi pomiędzy naszą sypialnią a przylegającym do niej małym pomieszczeniem. – Jest tam wanna, a w szafce pod umywalką znajdziecie płyn do kąpieli o zapachu mięty i eukaliptusa. Poczujecie się lepiej, jeśli poleżycie trochę w ciepłej wodzie. Na pewno jesteście obolałe.

Nie mam pojęcia, czym jest „płyn do kąpieli”, ale brzmi zachęcająco.

Jej wzrok pada na moje bosa stopy, które nadal mnie bolą i są pokryte czerwonymi otarciami oraz pęcherzami po ucieczce sprzed dwóch dni.

– Chodź. Pokażę ci. – Nicolette wchodzi do łazienki, a ja podążam za nią. – Przekręcasz gałkę w tę stronę, żeby poleciała gorąca woda. Kiedy przekręcasz ją w lewo, woda w kranie robi się cieplejsza, a po przekręceniu w prawo chłodniejsza – trochę jak w szpitalnym prysznicu. – Wyjmuje spod umywalki różową butelkę i zdejmuje korek. – Wlewasz jeden albo dwa korki płynu pod lejącą się wodę, żeby zrobiła się piana. Kiedy już się wykąpiesz, znajdź w szafce szlafrok i ręczniki. Wciśnij ten srebrny guzik na wannie, żeby spuścić wodę.

– Dziękuję. – Stoję w przejściu między sypialnią a łazienką, a Nicolette demonstruje, jak korzystać z wielkiej, owalnej miski przymocowanej do ściany. Kątem oka widzę, że moja siostra nadal nie ruszyła się z miejsca. – Nigdy wcześniej... nie brałam... kąpieli z bąbelkami.

Usta Nicolette wyginają się w lekkim uśmiechu.

– W takim razie czeka cię nie lada gratka.

Nasze kąpiele znacznie różniły się od tej, którą proponuje nam Nicolette. Dwa razy w tygodniu mama przynosiła małą, miedzianą balię, którą napełniała wodą ze studni, a potem podgrzewała ją na ogniu. Myśleliśmy się na zmianę, ale woda była albo zbyt gorąca, albo zbyt zimna. Zanim udało nam się wygodnie rozsiąść, już musiałyśmy wychodzić z balii.

W pozostałych dniach do mycia używałyśmy myjek oraz mydła.

Wezmę kąpiel... ale nie dzisiaj.

Nicolette mówi, że ma tu system zabezpieczeń i że gdyby nawet tamten mężczyzna nas znalazł, nie byłby w stanie do nas wejść.

W tej chwili chcę być przy siostrze. Tylko ona przypomina mi o domu.

– Jeśli będziecie czegoś potrzebowały, jestem tuż obok – mówi. – Wystarczy zapukać.

Uśmiecha się do nas ciepło, po czym wychodzi, a ja nie bardzo wiem, czy mam zamknąć za nią drzwi, czy nie. Wszyscy tutaj są zafiksowani na punkcie wielkich drzwi i prywatności, traktując każde pomieszczenie jak własną przestrzeń osobistą. Nie wiem, czy kiedykolwiek do tego przywyknę.

Wspinając się na łóżko w „podkoszulku” i „legginsach”, które dała mi Nicolette, wślizguję się pod kołdrę.

– Idziesz spać? – pytam Sage, która nie ruszyła się z krawędzi swojego łóżka od chwili, gdy tu trafiłyśmy.

Odwraca się w moją stronę i bierze głęboki, drżący oddech.

– Dlaczego mama nas okłamała?

– Nie wiem. – Głos więźnie mi w gardle. – Jestem za bardzo zmęczona, żeby teraz o tym myśleć.

Okłamuję Sage, ale robię to dla jej własnego dobra. Lepiej, żeby nie знаła nawet połowy myśli, które krążyły mi po głowie przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. W jednej chwili jestem wściekła, a w następnej całkiem pogubiona. Nadal nie mogę w to uwierzyć. Modlę się i mam nadzieję, że wkrótce zobaczymy mamę, a wtedy będzie nam mogła wszystko wyjaśnić.

Mama nas kocha. Mimo to nas okłamała. To jedyne, czego jestem pewna.

– Myślisz, że je znajdziemy? – pyta Sage.

– Nie wiem.

– Myślisz, że tamten mężczyzna znajdzie nas tutaj?

– Nie wiem, Sage – mówię, przykrywając się po samą szyję i patrząc na dziwne, okrągłe światło z pięcioma promieniami na suficie, które wyglądają jak szprychy w kole. Rano będę musiała spytać Nicolette, jak ono działa. – Po prostu... połóż się, dobrze? Porozmawiamy o tym jutro. Odpocznij. Tutaj jesteśmy bezpieczne.

Na razie.

Tak mi się przynajmniej wydaje.

Taką mam nadzieję...

Nicolette

Ściszam telewizor, żeby dziewczyny nie usłyszały, co mówią o nich w wiadomościach. Telewizja to concept, o którego istnieniu aż do niedawna nie zdawały sobie sprawy, do momentu, gdy stanęły twarzą w twarz z odbiornikiem w ich wspólnym, szpitalnym pokoju. Nie wiem nawet, czy rozumiałyby takie pojęcia, jak plotki i wiadomości z ostatniej chwili. Wiem natomiast, że im mniej przypominania im o ich obecnej sytuacji, tym lepiej.

– Nazywają je Zagubionymi Biedactwami ze Stillwater Forest. – Młodo wyglądająca, kruczowłosa prezenterka obdarzona dojrzałym jak na swój wiek głosem wpatruje się w oko kamery, prostując ramiona i marszcząc lekko brwi w wyrazie zaniepokojenia. – Wczoraj, wczesnym rankiem, dwie nastoletnie dziewczyny wyszły z lasu Stillwater w poszukiwaniu członków swojej rodziny, przez których zostały porzucone w chacie w głębi lasu. Lokalne władze w dalszym ciągu próbują rozwiązać tę szokującą sprawę, ale podają, że działają, opierając się na bardzo skąpych informacjach. Żadnych zdjęć, aktów urodzenia, adresów, a nawet nazwisk. Za chwilę przeniesiemy się do biura szeryfa Stillwater, gdzie odbędzie się konferencja prasowa, a na razie apelujemy do osób posiadających jakiegokolwiek informacje związane z tą sprawą, by zadzwoniły na podany poniżej numer telefonu.

Ekran staje się niebieski, a na środku pojawia się numer telefonu wypisany białą, pogrubioną czcionką. Chwilę później kamera robi najazd na pustą mównicę. Szelest papieru, pstryk aparatów fotograficznych i cichy

szum głosów w tle milkną, gdy na mównicę wchodzi szeryf o białych włosach i poprawia mikrofon.

– Z tego, co zapewne słyszeliście, wczoraj około siódmej rano dwie młode kobiety... – Kontynuuje swoje oświadczenie, przekazując prasie oficjalny raport, w którym nie ma nic, czego bym już nie wiedziała. – Policja zajmuje się poszukiwaniami kobiety o blond włosach i niebieskich oczach, o średnim wzroście i normalnej budowie ciała, w wieku od trzydziestu do czterdziestu kilku lat, oraz dziewczynki o blond włosach, w wieku około dziewięciu lat. Uważamy, że są spokrewnione z dziewczętami. Jeśli ktoś znajduje się w posiadaniu pomocnych informacji, proszę natychmiast skontaktować się z biurem szeryfa. Jestem otwarty na wasze pytania.

Wskazuje na dziennikarza stojącego poza zasięgiem kamer. Nie słyszę jego pytania.

– W tej chwili nie mogę tego skomentować – odpowiada szeryf.

Idę do przylegającej do sypialni łazienki, myję twarz i ręce przed snem, pożyczając od Branta jedno z jego naturalnych mydeł. Mam nadzieję, że zapach lawendy i rumianku pomoże mi w łatwiejszym zaśnięciu.

Muszę do niego zadzwonić. Jak na razie moje próby spełzły na niczym.

Fakt, że jest poza zasięgiem, gdy podróżuje, nie jest niczym nowym. Nie każde miejsce, do którego się udaje, ma dobrą stację przekaźnikową obejmującą swoim zasięgiem wystarczająco duży obszar, ale nieodzywanie się przez dzień lub dwa jest do niego całkiem niepodobne.

Kładę się na łóżku, odłączam telefon od ładowarki i próbuję połączyć się z nim jeszcze raz – tym razem wybieram numer bezpośrednio do hotelu – nim położę się spać.

– Halo? – Odbiera po trzecim dzwonku, kompletnie mnie zaskakując.

– Wszystko w porządku? – pytam.

– Tak, oczywiście. Dlaczego miałoby być inaczej? – Śmieje się, słysząc moje pytanie.

– Od wczoraj próbuję się do ciebie dodzwonić.

– Cóż, w Amazonii nie ma zbyt wiele wież przekaźnikowych – odpowiada ze śmiechem.

W słuchawce słychać szelest papierów. Wyobrażam sobie, że rozkłada się w swoim pokoju hotelowym po całym dniu robienia zdjęć, obok na

podstawce stoi szklaneczka bourbona, a w tle słycać przyciszony telewizor, na ekranie którego pojawiają się angielskie napisy.

Kiedy dwa dni temu rozmawialiśmy przez FaceTime, korzystał z hotelowego Wi-Fi. Czy to możliwe, że wczoraj nie było go w hotelu?

– Zdażyłam się tego domyślić – mówię, zastanawiając się, czy wychwyci ostry ton i powściągliwość w moim głosie. – Przyjęłam do siebie dwie młode kobiety.

Cisza.

– Chwileczkę, co takiego?

– Nazywają się Sage i Wren. Mają odpowiednio osiemnaście i dziewiętnaście lat.

Znowu cisza, która jak na ironię, wydaje się coraz donośniejsza, ale to nie milczenie Branta frustruje mnie najbardziej. Taka rewelacja wstrząsnęłaby każdym.

– Myślałem... czy nie powinienem być przypadkiem na miejscu, żeby coś podpisać? – pyta. – Przecież nie skończyliśmy jeszcze wywiadu rodzinnego.

– Nie będziemy ich adoptować. Zostaną z nami, dopóki nie znajdą reszty swojej rodziny.

– Nick... – Po drugiej stronie słuchawki na moment zapada cisza. – To jest... o rany... nie wiem, co powiedzieć.

– Nie musisz nic mówić. To wyjątkowo trudna sytuacja, a ja chcę im pomóc w najlepszy możliwy sposób. Jeśli będziesz miał okazję, zajrzyj na stronę internetową czwartego kanału informacyjnego.

Brant zgodził się na pomysł z adopcją. Według mnie to niczym się od niej nie różni.

– Mam za sobą dwa długie, męczące dni – dodaję. – Jestem wyczerpana.

Nie odezwawszy się ani słowem, Brant bierze głęboki wdech. Mogę jedynie zgadywać, co chciałby mi teraz powiedzieć.

– Przepraszam. Zdaję sobie sprawę, że nie na taką reakcję z mojej strony liczyłaś. Po prostu... to będzie z pożytkiem dla nas wszystkich. Przyzwyczaję się do nowej sytuacji. Damy sobie radę.

– A dlaczego mielibyśmy nie dać rady?

– Wiesz, o co mi chodzi. – Ton jego głosu jest ostry, ostrzejszy niż mój.

Nie mogę odeprzeć od siebie myśli, że to pokrzyżuje mu plany.

Mogę mieć jedynie nadzieję, że faktycznie tak się stanie.

Wren

Myję w łazience dłonie kostką mlecznobiałego mydła, wdychając kojącą woń lawendy, która przypomina mi o domu.

Nie mam pojęcia, jak ktoś może mieszkać z taką liczbą okien w domu.

Nasza chata miała ich cztery. Czasami odnosiłam wrażenie, że to za dużo. Gdy potrzebowałyśmy więcej światła, wychodziłyśmy na zewnątrz. Jedynym czasem, kiedy doceniałyśmy ich rolę, była zima, gdy akurat świeciło słońce, a my chcieliśmy poudawać, że w powietrzu wcale nie czuć przymrozku.

Przed śniadaniem Nicolette oprowadziła nas po swoim domu. Jestem pewna, że każdy pokój w tym budynku ma choćby jedno okno albo „światlik”. Większość okien nie jest niczym osłonięta. Nicolette powiedziała, że lubi naturalne światło, a otaczający dom las zapewnia im prywatność. Urwała wtedy, poprawiając „prywatność” na „iluzję prywatności”.

Razem z Sage siedzimy przy kuchennym stole, a ona krząta się po kuchni w jasnym szlafroku z wzorkiem bzu. Jej gęste, ciemnorude włosy są związane w kok na czubku głowy. Pierwszy raz widzę, by ktoś miał takie gładkie i lśniące włosy.

Sage kładzie łokcie na stół i podpira dłonią brodę, przyglądając się, jak Nicolette używa różnych urządzeń i elektrycznych gadżetów, by przygotować nasz posiłek.

Elektryczność to dziwny wynalazek.

Naciskam włącznik. Pojawia się światło.

Wciskam guzik. Moje jedzenie jest gorące.

Jest nawet urządzenie, które po jednej stronie utrzymuje jedzenie w chłodzie, a po drugiej je zamraża. Nicolette mówi, że dzięki temu żywność jest dłużej zdatna do użycia, bo można w nim kontrolować jego temperaturę – w odróżnieniu od naszej piwnicy.

– Pomóc ci? – proponuje Sage, wstając powoli od stołu.

Nicolette zatrzymuje się w pół ruchu, trzymając w dłoni coś, co wygląda na bochenek krojonego chleba owinięty w przezroczystą, lśniąca płachtę, z wielkim, zielonym napisem „pełnoziarnisty” na boku.

– Tylko jeśli masz na to ochotę, skarbie – mówi Nicolette.

– Sage jest dobra w kuchni – dodaję, choć nie mam pojęcia, jak dobre okażą się jej umiejętności w kuchni takiej jak ta...

Sage ledwie hamuje swój entuzjazm, po czym zeskakuje z krzesła i przechodzi na drugą stronę pomieszczenia.

– Masz może drugi fartuch?

Nicolette zagląda do szuflady po lewej stronie zlewu i wyciąga z niej fartuch w czerwoną kratę, podobny do tego, którego używałyśmy w domu. Moją twarz wykrzywia grymas, bo jestem pewna, że na jego widok Sage opuści całą wesołość, ale moja siostra bierze fartuch do ręki i bez zastanowienia wiąże go w pasie. Powinnam ją bardziej doceniać. Sage zawsze była odporniejsza psychicznie ode mnie.

– Widziałaś kiedyś toster? – pyta Nicolette, przesuwając po białym blacie lśniąca prostokątne pudełko. Sage kręci głową, a Nicolette przystępuje do objaśniania, w jaki sposób otrzymać ciepły, chrupiący chleb.

Już po kilku minutach śniadanie jest gotowe, a smakowite zapachy rozchodzące się po kuchni sprawiają, że burczy mi w brzuchu. Nicolette przekłada jedzenie na czyste, białe talerze i przybiera je z boku natką pietruszki. Powiedziała, żeby jej nie jeść – że służy wyłącznie do dekoracji, ale nie rozumiem, po co ktoś miałby marnować całkiem dobre ziele. Najwyżej użyję jej później do odświeżenia oddechu.

– Co powiecie na wyprawę do miasta? – pyta Nicolette, odsuwając talerz i sięgając po kawę. – Mogłybyśmy kupić wam trochę nowych ubrań. Jest tam kilka sklepów, które na pewno by się wam spodobały.

Podnosi kubek, przyglądając się nam z uwagą. Część mnie uważa, że

jesteśmy dla niej równie fascynujące, co ona dla nas. Emanuje dobrocią i słodyczą, a do tego pachnie mydłem i kwiatami. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jesteśmy chwastami w jej pięknym ogrodzie, choć wcale nas tak nie traktuje.

– Mogę odejść od stołu? – pytam po skończonym posiłku.

Nicolette upija łyk kawy, unosząc brew w wyrazie lekkiego zdumienia.

– Oczywiście.

Zanoszę talerz do zlewu, zauważając po drodze butelkę niebieskiej substancji opisaną jako „płyn do naczyń”, stojącą obok żółtej gąbki. Odkręcam kran i opłukuję talerz, parząc się w rękę, gdy woda, która z niego wytryskuje, okazuje się gorąca niczym wrzątek. Szturcham łokciem Nicolette, która nagle staje tuż za moimi plecami. Odsuwam się szybko.

– Nie musisz tego robić – mówi z uśmiechem, po czym wskazuje palcem na srebrną maszynę wbudowaną w rząd kuchennych szafek. Jednym ruchem otwiera drzwiczki. – To jest zmywarka. Wkładamy do niej brudne naczynia, nalewamy trochę żelu do tego małego dozownika, po czym wciskamy zielony guzik i zamykamy drzwi. Po paru godzinach naczynia są czyste. – Wysuwa dolną szufladę i pokazuje, gdzie wkładać talerze. Ręka nadal piecze mnie od kontaktu z gorącą wodą.

Udogodnienia to wspaniała sprawa, ale potrafią być kłopotliwe.

– Idę się przygotować – mówię, wycofując się do wyjścia.

Wchodząc po schodach, mijam wiszące na ścianie zdjęcie Nicolette ubranej w suknię koloru kości słoniowej. Obok niej stoi ubrany w czerń i biel mężczyzna, obejmujący ją w talii i uśmiechający się od ucha do ucha. Nicolette wspomniała, że ma męża, któremu na imię Brant, i że niedługo go poznamy – o ile będziemy gotowe – lecz jak na razie nie pokazała mi ani jednego zdjęcia z jego podobizną.

Jest w nim coś znajomego, coś, czego nie umiem do końca nazwać. Zerkając w stronę kuchni, słyszę, jak Sage i Nicolette rozmawiają o czymś przy akompaniamencie szczęku sztucców, po czym wracam do studiowania twarzy Branta.

Dokonawszy szokującego odkrycia, wciągam gwałtownie powietrze i wstrzymuję oddech tak długo, że czuję, jak palą mnie płuca.

Chodzi o jego oczy...

Są w identycznym odcieniu morskiej zieleni, co oczy Evie.

Nicolette

– Bardzo pani dziękuję – mówię przez telefon do doktor Pettigrew, psychiatry, która dokonała oceny psychologicznej dziewczyn w szpitalu podczas ich pierwszej spędzonej tam nocy. – Czuję się lepiej ze świadomością, że wesprze je pani na wypadek, gdyby coś wyprowadziło je z równowagi. Przydałaby mi się czyjaś pomoc w razie pojawienia się mediów. Póki co, zostawiali nas w spokoju, ale nigdy nic nie wiadomo.

– Żaden problem. Mam teraz dyżur w szpitalu, ale załatwiłam sobie zastępstwo na rano. Nie mogę przestać o nich myśleć. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby im pomóc.

Dziewczyny mają na sobie różne części garderoby, które wyciągnęłam ze swojej szafy. Ubrania wiszą na nich jak na wieszakach. Doszłam do wniosku, że sama kupię im nowe ciuchy, ale nie mam zielonego pojęcia, jakie noszą rozmiary. Ubrania, w których się pojawiły, zostały ręcznie uszyte, więc nie miały metek. Krótka i bezpieczna wyprawa na zakupy wydała mi się najlepszym pomysłem. Poza tym, wyjście na zewnątrz i interakcja z ludźmi, którzy nie są lekarzami ani funkcjonariuszami policji, może im wyjść na dobre. Posmakują odrobiny prawdziwej wolności. Nie będę ich zmuszać do ukrywania się w moim domu po tym, jak uciekły przed podobnym losem.

– Dotrzemy do butików za jakąś godzinę – mówię. Przechodząc do drugiego pokoju, mijam schody i unoszę wzrok. Miały przygotować się do wyjścia, ale w domu panuje taka cisza, że trudno powiedzieć, czy w ogóle w nim są.

Myślałam, że nastolatki są o wiele głośniejsze.

Jednak one ani trochę nie zachowują się jak dwie zwykłe nastolatki. Tkwią w innej, własnej rzeczywistości.

– Do usłyszenia – mówi doktor Pettigrew i się rozłącza.

Jeśli będę miała dzisiaj okazję, to porozmawiam z nią o najlepszym sposobie na przedstawienie dziewcząt Brantowi. Boją się mężczyzn, a z tego, co wywnioskowałam, nigdy żadnego nie spotkały, do czasu, gdy tamten nieznajomy wdarł się do ich domu i trzymał je w niewoli.

Dlaczego ktoś miałby przypadkiem natknąć się na ich dom – o którego istnieniu nikt nie miał pojęcia – i więzić je przez kilka dni, rzucając pod ich adresem groźby?

Nie zrobił im krzywdy. Nie napastował seksualnie ani w żaden inny sposób. Chciał je tylko dokądś zabrać...

Nawet miejscowi policjanci drapią się ze zdziwieniem po głowach, co nie zdarza się często. Jeszcze nigdy w całej stu pięćdziesięcioletniej historii tutejszego departamentu policji nie zgłoszono przypadku takiego jak ten.

Znacznej postury mężczyzna o ciemnych włosach i bliznach na twarzy wyróżniałby się na tle dwutysięcznej populacji, a mimo to nikt w okolicy nie widział nikogo ani nie słyszał o kimś, kto choć w małym stopniu odpowiadałby temu rysopisowi.

Wczoraj zastępczyni szeryfa May wspomniała o ponownym przejrzeniu kilku starych, nierozwiązanych spraw związanych z zaginięciami dzieci, mówiąc, że próbują dopasować profile i wiek. Dodała, że może to być długi i żmudny proces. Poza tym Wren nie pasuje do żadnego z profili ofiar. A choć Sage utrzymuje, że jest nastolatką, wyglądem przypomina raczej dwunastoletnie dziecko.

Wchodzę na górę, by sprawdzić, co robią, i pukam w otwarte drzwi pokoju gościnnego.

– Dziewczyny? – wołam, gdy nikt mi nie odpowiada.

– Tutaj – mówi Wren od strony łazienki.

– Musimy się zbierać. Doktor Pettigrew chce się z nami spotkać. – Patrzę na zegarek.

Kątem oka przyglądam się Sage, która szciotkuje zęby przed lustrem. Moje ubrania wiszą na jej drobnym ciele, a wilgotne kosmyki jej ciemnych włosów zostawiają mokre ślady na kołnierzyku koszuli. Na zewnątrz jest

minus jeden. Nie wypuszczę jej na dwór z takimi włosami.

– Sage, nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli zaplotę ci włosy? Wyglądałyby naprawdę świetnie w warkoczu dobieranym... Wtedy mokre włosy nie będą ci opadać na ramiona. Na dworze jest dość zimno... Nie chciałabym, żebyś się rozchorowała.

Sage wkłada szczoteczkę do uchwytu, po czym napotyka moje spojrzenie w lustrze i kiwa głową, wyrażając zgodę.

– Wren, jeśli chcesz, tobie też mogę zapleść włosy – proponuję.

Nie czekam na odpowiedź, tylko przechodzę do swojego pokoju, a po chwili wracam z garścią gumek do włosów i lakierem. Kwadrans później obie mają zaplecione warkocze. Prowadzę je do szafki z butami, wyciągając z niej tenisówki, które są o dwa rozmiary za duże na każdą z nich, ale to jedyne buty, które się nadają – ze względu na sznurówki. Możemy zawiązać je na tyle ciasno, by buty nie spadały im ze stóp.

Biorąc klucze z półki przy drzwiach, podzwaniem nimi w dłoniach. Dziewczyny nie są tak podenerwowane, jak wydawało mi się, że będą. To dopiero drugi raz w ich życiu, kiedy pojedą do miasta. Nigdy wcześniej nie przekroczyły progu jakiegokolwiek sklepu.

Stanowią dość osobliwy widok – w workowatych ubraniach, z mokrymi warkoczami i pustymi wyrazami malującymi się na twarzach. Ich cera nabrała nieco koloru i prezentuje się znacznie lepiej niż jeszcze dwa dni temu, ale nadal przypominają mi małe porzucone króliczki. Zawsze trzymające się razem, z nieodłącznym błyskiem ostrożności kryjącym się w lśniących oczach.

– Idziemy? – pytam, pokazując na wejście do garażu. Idą za mną, szurając zbyt luźnymi butami o drewnianą podłogę. Przytrzymuję im drzwi, gdy wsiadają do auta. – Nie zapomnijcie o pasach.

Obserwuję, jak przypinają pasy, czekając na kliknięcie informujące mnie o tym, że są bezpiecznie przypięte. Siadam na fotelu kierowcy, włączam silnik i patrzę we wsteczne lusterko na Wren. Przygląda się zaparkowanej za nami tesli Branta.

– Niedługo poznacie mojego męża – mówię, przypominając sobie, że wraca on za dwa dni. – Ale dopiero wtedy, gdy będziecie gotowe.

W samochodowych głośnikach rozlega się dźwięk dzwonka. Na ekranie

miga imię Branta. O wilku mowa. Weiskam guzik na desce rozdzielczej, by przekierować połączenie z Bluetooth na mój telefon, żeby nie prowadzić rozmowy na głośnomówiącym, i wkładam do ucha słuchawkę od zestawu.

– Hej – mówię, wyjeżdżając z podjazdu.

– Nick – wita mnie schrypniętym głosem, jakby dopiero co się obudził. – Jak się mają... eee... wszystko dobrze?

– Świetnie. A nawet lepiej, niż oczekiwałam.

– Słuchaj, przepraszam za wczoraj – dodaje, wzdychając.

Wcale mnie to nie dziwi. Brant nie cierpi konfliktów – a przynajmniej Brant, którego znam.

– Byłem trochę zaskoczony. Delikatnie mówiąc.

Jakie to uczucie, Brant?

– To całkiem zrozumiałe. – Wyjeżdżam na drogę, nie przesadzając z prędkością. Wczoraj, w drodze ze szpitala, zauważyłam, że dziewczyny sztywniały jak kołki i chwytaly się za ręce za każdym razem, gdy jechałam powyżej pięćdziesięciu kilometrów na godzinę albo wjeżdżałam w dziurę na jezdni.

– Czytałem artykuły. O dziewczynkach.

– Tak?

– Tak, i myślę, że wspaniale postąpiłaś, przyjmując je do naszego domu. Nie znam zbyt wielu osób, które by się na to zdecydowały.

Gryzę się w język, w ostatniej chwili powstrzymując się przed wygarnięciem mu, że to nie dzikuski. Z tego, co wiadomo, to po prostu dwie młode kobiety, które żyły w całkowitym odcięciu od współczesnego świata. Dorastanie w dziczy nie czyni z nich odmieńców, tak samo jak stanie w garażu nie robi ze mnie samochodu.

– Tak czy inaczej, postanowiłem, że wrócę do domu o dzień wcześniej. Żeby ci pomóc.

Nie mówiłam mu jeszcze, że dziewczyny są nieufne w stosunku do mężczyzn. Miałam nadzieję, że będę miała nieco więcej czasu, aby je odpowiednio przygotować na to spotkanie – opowiedzieć im o nim, pokazać zdjęcia i filmiki.

– Nie musisz...

– Nick, to już postanowione. Wylatuję z samego rana. Powinienem być

w domu jutro przed kolacją.

W oddali dostrzegam krawędziowe oznakowanie akustyczne i znak „stop”. Muszę uprzedzić o nich dziewczyny.

– Zadzwoń później, dobrze?

– Nie ma sprawy.

Rozłączam się i wskazuję na drogę widoczną ponad deską rozdzielczą.

– Za kilka sekund samochód zacznie wibrować. Nie ma się czego bać, okej?

Wciskam pedał hamulca. Auto zwalnia i zatrzymuje się, wibrując lekko, gdy opony najeżdżają na oznakowanie na jezdni. Zerkam we wsteczne lusterko, ale dziewczyny nie sprawiają wrażenia zdezorientowanych. Wzdychając, włączam prawy kierunkowskaz i karcę się w duchu za to, że nie wierzę w ich możliwości. Nie poznałam ich jeszcze zbyt dobrze i nie wiem, przez co dokładnie przeszły, ale wiem, że są niezłomnymi wojowniczkami w pełnym znaczeniu tego słowa.

Chwilę później wjeżdżam na parking przed Jade Boutique przy Hancock Drive. Doktor Pettigrew siedzi na ławce przed przerobionym na sklep domem w stylu wiktoriańskim i uśmiecha się na nasz widok.

– Wren, Sage, pamiętacie doktor Pettigrew? – pytam, gdy wysiadamy z samochodu.

– Miło znów was widzieć – wita się pani doktor, obciągając na wąskie biodra zapinany na perłowe guziczki kardigan. – Rozmawiałam z jedną z ekspedientek. Przygotowała dla nas przymierzalnię i przyniosła już kilka propozycji.

Skompletowanie garderoby dla dwóch nastolatek w prywatnym butiku nie będzie tanie, ale nie wydaje mi się, by Wren i Sage były gotowe na pójście do galerii handlowej. Dwadzieścia cztery kilometry stąd, w Pearson Township, znajduje się Walmart, ale nawet to doświadczenie mogłoby je przytłoczyć mnogością fluorescencyjnych świateł i niekończącym się labiryntem sklepowych alejek.

Wchodząc po schodach w stronę drzwi, zauważam kartkę z napisem ZAMKNIĘTE NA CZAS PRYWATNYCH ZAKUPÓW, zgodnie z moją prośbą.

Jade Boutique jest przygotowany na nasze przyjście. Z głośników w suficie sączy się relaksująca muzyka, a na konsoli z marmurowym

blatem, która stoi obok granatowej, wyściełanej aksamitem kanapy, pali się świeczka o zapachu gardenii. Lewą ścianę zajmują trzy przymierzalnie z białymi satynowymi zasłonami służącymi za drzwi. Po prawej stronie kasy stoi szklana witryna z biżuterią.

Nie ma tu zbyt dużego wyboru. Sądząc po mnogości kwiatowych wzorów, wątpię, by nastolatki stanowiły grupę docelową butiku. Z pewnością znajdziemy dla nich trochę ubrań na co dzień, a resztę rzeczy kupimy przez internet po powrocie do domu.

– Witam, jak się macie? – Do dziewczyn podchodzi młoda kobieta o gładkich, czarnych włosach splecionych w opadający na plecy warkocz, złocistej skórze i ustach w soczystym kolorze fuksji, wyciągając na przywitanie prawą rękę. – Jestem Monica i będę wam dzisiaj służyć pomocą.

Kilkakrotnie zdarzało mi się robić tu zakupy, głównie z nudów, bo oferowane w tym butiku ubrania niekoniecznie były w moim stylu, i ani razu się nie zdarzyło, by Monica powitała mnie uściskiem dłoni. Martwiłam się, że mieszkańcy odtrąca dziewczyny tak samo jak kiedyś mnie, ale najwyraźniej coś sobie ubzdurałam. Może powitają je z szeroko otwartymi ramionami?

Dziewczyny wpatrują się w jej wyciągniętą rękę o jedną, krępującą sekundę za długo, po której Monica niezwłocznie zabiera dłoń. Jestem pewna, że doktor Pettigrew udzieliła jej odpowiednich informacji przed naszym przyjazdem. Jako rodowita mieszkanka Stillwater na pewno zna wszystkie dotychczasowe szczegóły śledztwa, ale nie ma pojęcia, które pojęcia, słowa i zachowania są dla dziewczyn obce, a które znajome.

– Chodźcie za mną, proszę – mówi, odwracając się na obcasach swoich beżowych czółenek Chanel. Jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewna, że to podróbki. Żaden mieszkaniec Stillwater nie wydałby tysiąca dolarów na buty, bez względu na to, jak bardzo chciałby się pochwalić wyczuciem stylu. – Przygotowałam dla was kilka rzeczy i powiesiłam je w przymierzalniach. Jeśli jesteście gotowe, zaczniemy od ustalenia waszych rozmiarów.

Mówi wysokim, piskliwym głosem, splatając starannie wypielegnowane dłonie. Nie wiem, czy to kwestia tego, że wypięła rano za dużo kawy, czy

bycia przesadnie uprzejmą dla dziewczyn, których obecność na pewno jest dla niej stresująca. Tak czy inaczej one wydają się kompletnie niewzruszone. Wchodzą do przymierzalni i zaczynają oglądać wiszące na wieszakach oraz haczykach ubrania. Wren przesuwając dłoń po sukience w niebieską kratę, po czym przystępuje do oglądania szwów.

– Wszystko w porządku? – pyta doktor Pettigrew. – Jeśli nie podoba ci się ten fason, to znajdziemy coś innego.

Różowe usta Wren rozciągają się w uśmiechu.

– Jest piękna.

Wszystkie wypuszczamy wstrzymywane od dłuższego czasu oddechy, a Monica zasuwa kotary w przymierzalni.

– Śmiało – zachęca. – Przymierzcie.

Siadamy na sofie przy drzwiach, czekając w nieskończoność, aż w końcu Wren wyłania się zza kotary. Niebieska sukienka w kratę pasuje idealnie do jej szczupłej sylwetki, w niektórych miejscach dając złudzenie pełniejszych, dziewczęcych kształtów.

– No i jak? – Wstaję z miejsca. – Podoba ci się?

Z oczami szklącymi się od łez, Wren przygryza dolną wargę.

– Jest cudowna – szepcze.

Sage wyłania się z przymierzalni obok. Dzinsy rurki wiszą na niej, a zapinany na guziki top, który ma na sobie, prezentowałby się lepiej na kimś dwukrotnie lub trzykrotnie starszym. Ciągnąc za materiał spodni, Sage marszczy nos.

– Nie podobają mi się. Dziwnie się w nich chodzi.

Wren parska śmiechem. Po chwili dołącza do niej Sage. Wdzięczny śmiech wypełnia niewielkie wnętrze sklepu i sprawia, że prawie zapominam o tym, iż las otaczający nasze urocze małe miasteczko jest pełen policji, psów tropiących i ochotników, którzy przeczesują leśną gęstwinę oraz trudno dostępne tereny w poszukiwaniu ludzi, żywych lub martwych.

Nigdy nie widziałam, by ktoś tak bardzo się cieszył, i ta świadomość sprawia, że czuję ściskanie w sercu. W tej chwili naprawdę ufam, że wszystko będzie dobrze.

Monica zachęca dziewczyny do przymierzenia kolejnych zestawów ubrań,

więc obie ponownie znikają za zasłonami. Wyjmuję telefon z torebki i wysyłam do swojej fryzjerki krótką wiadomość z zapytaniem, czy możemy umówić się dzisiaj na wizytę. Chrząkam dyskretnie, przysuwając się bliżej do doktor Pettigrew.

– Mój mąż wraca jutro z pracy... wyjechał służbowo za granicę. Dziewczyny nie miały jeszcze okazji go poznać.

Pani doktor przygląda mi się z uwagą.

– Gdy rano zobaczyły tamtych policjantów, przeraziły się – dodaje. – Później chciały mieć pewność, że w szpitalu będą się nimi zajmowali lekarze i pielęgniarki płci wyłącznie żeńskiej.

– Zrobiły to ze względów bezpieczeństwa – mówi doktor Pettigrew. – Nie boją się mężczyzn jako takich, a jedynie mężczyzn, który przetrzymywał je w ich domu. Nic im nie będzie. To wspaniałomyślne z pani strony, że je do siebie przyjęła. Pani mąż z pewnością jest równie dobrym człowiekiem.

Przykładając dłoń do szybko bijącego serca, posyłam jej wymuszony uśmiech. Słowa tej kobiety podnoszą mnie na duchu i jednocześnie zasmucają.

Dawno, dawno temu Brant należał do osób, które bez wahania pomogłyby zagubionemu kierowcy albo opiekowały pisklakami, które wypadły z gniazda, aż do chwili ich całkowitego wyzdrowienia. Raz nie spał przez całą noc po tym, jak miejscowa cukiernia schrzaniła jego zamówienie, a nazajutrz do miasta mieli przyjechać goście, bo piekł dla mnie trzywarstwowy tort czekoladowy z przepisu, który udało mu się wyblagać od właściciela mojej ulubionej nowojorskiej cukierni.

Kiedyś miał w zwyczaju robić mi kawę po prysznicu, który brałam po porannym joggingu, i kupował mi świeże kwiaty za każdym razem, gdy jechał do miasta coś załatwić. Zawsze wybierał białe róże. Raz do roku zaskakiwał mnie romantycznym wyjazdem w nieznane. Wiedziałam, że to zrobi, ale nigdy nie mówił, kiedy ani dokąd jedziemy. Któregoś ranka budził mnie i zwyczajnie kazał mi spakować walizkę.

Wspominanie wszystkich czułych gestów, którymi zasypywał mnie Brant, ukazuje mi brutalną prawdę: mój mąż nie jest już mężczyzną, którego poślubiłam.

Gdy tylko wróci do domu, muszę odkryć, kim tak naprawdę się stał.

Kilka ostatnich dni zapewniło mi tymczasowe i mile widziane wytchnienie od chaosu, jaki rozpętał się w moim życiu osobistym, ale rzeczywistość, podobnie jak wzgardzony kochanek, nie pozwoli się ignorować.

Wren

– Proszę je ściąć – mówię do ślicznej pani, która owija mnie dokoła czarną peleryną i wiąże ją z tyłu. Panuje tu całkiem spory gwar. I jest bardzo jasno. W dodatku pachnie setką olejków eterycznych, które mama miała ustawione w rzędzie na swojej komodzie. Butelka za butelką, wszystkie z papierowymi etykietami i odręcznym pismem mamy. Tuberoza. Gardenia. Różowy pieprz. Eukaliptus. Trawa cytrynowa. Kwiat pomarańczy. – Wszystko.

Nasze spojrzenia spotykają się w lustrze. Kobieta przeczesuje palcami fale powstałe z warkocza, który rankiem zaplotła na moich włosach Nicolette.

– Jesteś pewna? – dopytuje, przygryzając dolną wargę i zerkając na Nicolette, która stoi z boku z moją siostrą. – Masz takie piękne...

– Jestem. – Prostuję się na fotelu, wysuwając podbródek w kierunku swojego odbicia.

Mama pozwalała nam obcinać włosy raz do roku, ale nawet wtedy nigdy nie zezwalała, by sięgały nam powyżej łopatek. „W dłuższych włosach wyglądacie lepiej”, mówiła, obcinając rozdwojone końcówki i co jakiś czas układając nasze głowy we właściwą stronę. „Podkreślają wasze naturalne piękno”.

Im więcej czasu spędzam w towarzystwie Nicolette, tym bardziej przekonuję się o tym, jak bardzo apodyktyczna była mama przez te wszystkie lata. Nigdy nie miałyśmy nic do powiedzenia w kwestii tego, co nosiłyśmy, co jadłyśmy, o której godzinie szłyśmy spać czy też sposobu,

w jaki miałyśmy układać włosy.

Nicolette pozwala nam decydować samodzielnie o wszystkim.

W sposobie, w jaki żyje, jest dużo wolności i swobody. Nikt i nic jej nie ogranicza. Nie ma żadnych głupich zasad. Żadnego braku logiki. Nie ma potrzeby niczego kwestionować. Jeśli ma na coś ochotę – robi to. Koniec kropka.

Gdyby mama tu była, spytałabym ją, dlaczego nie chciała nam obcinać włosów. Jakoś trudno mi uwierzyć, by miało to cokolwiek wspólnego z chronieniem nas przed złem tego świata – miejscem, które jak na razie potraktowało nas wyłącznie z dobrocią i troską.

– Może zetniemy je dotąd? – Kobieta trzyma w ręce grzebień, a drugą dłoń opiera na moim ramieniu. – Wtedy nadal będziesz mogła wiązać je do góry.

– W porządku.

Prowadzi mnie z powrotem do fotela z przymocowaną do niego umywalką i mówi, że zaraz umyje mi włosy „szamponem”. Chwilę później czuję spływający po mojej głowie strumień ciepłej wody, po którym w powietrzu rozchodzi się subtelny zapach kwiatów. Czubkami palców zaczyna masować skórę mojej głowy.

Jest prawie tak samo jak z mamą, z tą różnicą, że mama nigdy nie robiła tego tak delikatnie, a kiedy przychodziła moja kolej, woda zawsze była już zimna. Zużywała ciepłą na moje młodsze siostry, twierdząc, że potrzebują jej bardziej niż ja.

Kobieta owija moją głowę ręcznikiem i każe mi przejść na drugi fotel, gdzie bez pośpiechu rozczesuje mi włosy, zanim zetnie pierwszy kosmyk. Z początku zaciskam powieki z całych sił, choć nie bardzo wiem dlaczego, a kiedy znów je otwieram, czuję lekkość, jakiej dotąd nie znałam.

Sage ani razu nie podniosła wzroku znad katalogu, który dała jej Nicolette, starannie wybierając swoją nową fryzurę. Gdy miła pani fryzjerka wciera w moje włosy różne kosmetyki, które pachną zupełnie inaczej niż kokosowy balsam, którego używała mama, myślami jestem przy Evie. Gdzie ona jest? Co teraz robi? Czy mama kładzie jej do głowy te same kłamstwa, co nam?

Bo właśnie tym były jej słowa.

Kłamstwami.

Całe nasze *życie* było kłamstwem. Jeśli nie, to wszystko jest bez sensu.

Opowieści mamy zupełnie nie pokrywają się z rzeczywistością.

Po drodze widziałam ludzi wyprowadzających psy. Nie przeszkadzał im chłód. Machali do siebie urękawicznionymi rękami, na szyjach mieli zawiązane kolorowe szale, a na głowach czapki. Sprawiali wrażenie szczęśliwych, że są na zewnątrz, zadowoleni, że mogą się widywać. Uśmiechali się i pozdrawiali. Widziałam też całe rzędy domów, sklepów i samochodów zaparkowanych na chodnikach. Gdy mama opowiadała o swoim dzieciństwie, wspominała o tych rzeczach, ale w taki sposób, jakby one już nie istniały. Utrzymywała, że świat był chorym i niebezpiecznym miejscem, że zostały z niego wyłącznie ruiny, których nie udało się odbudować.

Fryzjerka bierze do ręki małe, czarne urządzenie i wciska widoczny z boku guzik. Po chwili czuję na twarzy podmuch gorącego powietrza. Po paru minutach moje powieki robią się coraz cięższe i cięższe. Mogłabym zasnąć na miejscu. Jest mi tak dobrze, choć nie mam pojęcia dlaczego.

– Co o tym myślisz, Wren?

Sage klepie mnie w ramię, podsuwając mi katalog pod nos i wskazując palcem zdjęcie dziewczyny z włosami do ramion i kończącą się tuż nad brwiami grzywką.

– Będiesz świetnie wyglądać – mówi kobieta, przekrzykując głośny szum urządzenia. – Doskonały wybór.

Wieczorem wezmę kąpiel z bąbelkami, o której wczoraj opowiadała nam Nicolette. Może nawet pożyczę jakąś książkę z jej biblioteki. Zanim pojechałyśmy do sklepu z ubraniami, wybrałam kilka powieści. Nie mogłam się powstrzymać przed podziwianiem ich bajecznie kolorowych okładek i wdychaniem charakterystycznego zapachu kartek. Nie cuchnęły stęchlizną, a ich grzbiety nie były popękane tak bardzo, że ledwie dawało się odczytać tytuły. Wyglądały jak małe dzieła sztuki. Były ich całe *setki*, wszystkie ustawione schludnie w rzędach biblioteczki zajmującej całą szerokość ściany, od sufitu do podłogi.

Mam zamiar przeczytać je wszystkie.

Kobieta wyłącza urządzenie, a otaczający mnie podmuch ciepła szybko

zostaje zastąpiony przez chłodniejsze powietrze. Fryzjerka sięga po kolejny sprzęt, tym razem długi i wąski, po czym przesuwając nim po całej długości moich włosów, pasmo po paśmie, pozwalając im opaść łagodnie na moje ramiona.

Wyciągam dłoń spod zakrywającej ramiona peleryny i przejeżdżam ręką po moich jedwabście miękkich włosach. Dzięki bijącemu z nich blaskowi są teraz bardziej złociste niż kiedykolwiek. Nie mogę oderwać wzroku od swojego odbicia w lustrze.

Często przyglądam się sobie... bo lustra są dosłownie wszędzie, dokądkolwiek pójdę.

To kolejna dziwna rzecz – ludzie uwielbiają przeglądać się w swoich lustrach. Mają je w łazienkach i w sypialniach. Na korytarzach i w samochodach. Niektóre kobiety noszą je nawet w swoich torebkach. My miałyśmy tylko jedno lustro, które powiesiłyśmy nad umywalką. Mama korzystała z niego, gdy upinała włosy, ale przez większą część czasu nie miałyśmy z niego żadnego pożytku.

Zawsze wiedziałam, jak wyglądam, ale nie zwracałam sobie tym głowy ani nie zamartwiałam się z tego powodu. Jednak kilka ostatnich dni sprawiło, że za każdym razem, gdy przechodzę obok lustra, zatrzymuję się bezwiednie i wpatruję w swoje odbicie. Studiuję uważnie rysy swojej twarzy i bez przerwy się dziwię, że w ogóle nie jestem podobna do mamy.

Wyobrażam sobie swoje złociste włosy obok jej pofalowanych kędziorów w odcieniu ciemnego blondu. Swoje głęboko osadzone oczy obok jej przenikliwych, szaroniebieskich oczu. Mama miała mocną szczękę, „kwadratową”, jak zwykła ją określać. Wszystko w jej twarzy, począwszy od łuków brwiowych, a skończywszy na podbródku, było mocno zarysowane, niemal kanciaste. Dla porównania, moja twarz ma bardziej owalny kształt, a jej rysy są łagodne i subtelne.

Nigdy jej o tym nie mówiłam, ale co jakiś czas w moich „fałszywych wspomnieniach” pojawiała się kobieta. Kobieta, która nie była moją mamą, ale patrzyła na mnie tak, jakby nią była. Miała złociste włosy, identyczne z moimi, choć jej były kręcone, a kiedy się uśmiechała, między jej przednimi zębami widać było przerwę.

Widziałam ją w swoich snach tyle razy, że prawdopodobnie umiałabym

narysować ją z pamięci.

– Nicolette? – pytam.

– Tak, skarbie?

– Myślisz, że mogłybyśmy zamówić kredki i trochę papieru do szkicowania od twojego pana od dostaw?

Kąciki jej ust unoszą się w uśmiechu.

– Oczywiście. Tak się składa, że na końcu ulicy znajduje się sklep, w którym można kupić takie rzeczy. Zajrzemy tam, jak tylko stąd wyjdziemy.

Dziś wieczorem spróbuję to zrobić.

Nicolette

– Jak się poznaliście? – pyta Sage, przeglądając album ze zdjęciami i zatrzymując się na fotografii przedstawiającej mojego męża.

Brant powinien być w domu lada chwila. Co chwilę zerkam na zegarek. Popołudnie spędziłam na rozmowie telefonicznej z doktor Pettigrew, omawiając najróżniejsze scenariusze i sposoby na ich rozegranie, choć zapewniła mnie, że proces adaptowania się dziewczyn przebiega sprawnie – lepiej, niż oczekiwano – więc nie przewidywała żadnych problemów. Wspomniała jednak o paru oznakach, na które należało zwrócić uwagę. Oznakach tego, że dziewczyny czują się niekomfortowo, ale niekoniecznie o tym mówią. Zapisałam je na kartce, którą wsadziłam do kieszeni, choć nie bardzo wiem po co. Przeczytałam je tyle razy, że wryły mi się w pamięć.

– Pracowałam w galerii sztuki – mówię, siadając na podłodze obok ławy.
– Brant był wtedy wschodzącą gwiazdą fotografii i przyszedł zapytać mojego szefa, czy nie wystawiłby jego prac... Dość śmiałe posunięcie, szczególnie w Nowym Jorku. Był dobry i męczyło go czekanie, aż w końcu zostanie przez kogoś odkryty. Za bardzo zbaczam z tematu. Przyszedł do galerii, spotkał się z moim szefem, a kiedy wyszedł ze spotkania, poprosił mnie o numer telefonu. Pod koniec tygodnia umówiliśmy się na drinka.

Przez cały czas niepokoiłam się, jak zareagują na niego dziewczyny, gdy tak naprawdę powinnam była martwić się tym, jak się poczują, gdy go polubią – jak wszyscy zresztą – a ja wyrzucę go z domu. Nie chcę, by zaufały pozornie dobremu człowiekowi tylko po to, by odkryć, że jest kłamcą i oszustem. Nie wiem, jaki to będzie miało na nie wpływ,

szczególne że ich pierwsze spotkanie dorosłego mężczyzny poszło mniej niż dobrze.

Bez przerwy powtarzam sobie w myślach, by robić wszystko w odpowiednim tempie.

– Na drinka? Co to właściwie znaczy? – pyta Wren, rozcinając ciężkimi nożycami krawieckimi jedną ze starych, garniturowych koszul Branta. Dziś rano przy śniadaniu powiedziała, że chce uszyć Sage nową lalkę w miejsce tej, którą zostawiły w chacie. Drugą chce uszyć dla Evie i dać jej przy następnym spotkaniu.

– Dwoje dorosłych ludzi idzie do baru i pije drinki dla dorosłych, tak zwany alkohol, by móc się lepiej poznać – tłumaczę, przypatrując się z uwagą, jak Wren liże koniec nitki i przeciąga ją przez ucho igły.

Ma zamiar uszyć tę lalkę własnoręcznie, aż do ostatniego szwu.

– Czym jest alkohol?

– Napojem, po którym człowiek inaczej się czuje – mówię, przyciągając kolana do piersi i przygotowując się na babskie pogaduchy. – Jest zrelaksowany. Jednak pod wpływem alkoholu człowiek robi rzeczy, których normalnie nigdy by nie zrobił, więc trzeba zachować szczególną ostrożność i rozwagę.

Sage przechodzi do kolejnej strony w albumie, sunąc palcami po błyszczącym papierze i twarzy Branta.

– Jest ładny – mówi.

– Mówi się „przystojny” – poprawiam ją z wyrozumiałym uśmiechem. – Owszem, jest.

Wren wbija igłę w dwa kawałki koszuli Branta i podnosi wzrok.

– Od jak dawna z nim jesteś?

– Od bardzo dawna. Od wielu lat. Dziesięć po ślubie. Razem trzynaście, czy coś koło tego.

– Dlaczego nie macie dzieci?

Odpowiedź więźnie mi w gardle. Dotychczas nikt mnie o to nie pytał, bo wszyscy w moim małym kręgu znajomych i członków rodziny wiedzieli o mojej histerektomii.

– Chcieliśmy mieć dzieci – mówię powoli. – Ale jakieś dziesięć lat temu przesłam pewien zabieg medyczny, po którym nie mogłam ich mieć.

Wypowiedzenie tego na głos po tylu latach boli równie mocno, co dekadę temu.

– Tak czy inaczej – dodaję, klepiąc się rękami po udach i uśmiechając pomimo ukłucia łez pod powiekami – jak to mówią, nic nie dzieje się bez przyczyny.

– Kto tak mówi? – pyta Sage.

– To takie wyrażenie.

Sage odwraca kolejną stronę, wpatrując się ciemnymi oczami w selfie przedstawiające Branta i mnie stojących przed piramidą w Gizie, zrobione jesienią kilka lat temu. Przesuwa drobnymi palcami po jego twarzy.

– Wygląda na porządnego człowieka, Nicolette.

Wren patrzy na mnie, po czym napotyka spojrzenie Sage. Na jej twarzy maluje się nieodgadniony wyraz. Choć darzę ją wielkim szacunkiem i podziwem za jej odwagę w obliczu tego, co przeszła, trudno mi nawiązać z nią wystarczająco głęboką więź. Jeśli nie musi, prawie wcale się nie odzywa, mimo że zawsze sprawia wrażenie, jakby miała wiele do powiedzenia. Mam nadzieję, że wraz z upływem czasu będzie w stanie się przede mną otworzyć.

Wstaję z podłogi i idę do kuchni, by nalać sobie wody do szklanki. Staję jak wryta na widok dwóch zapalonych reflektorów samochodowych, widocznych we frontowym oknie. Chwilę później rozlega się metaliczny szcęk zatrzaskiwanego bagażnika.

Brant wrócił do domu.

Wren

Nicolette wykręca nerwowo dłonie, patrząc w stronę drzwi frontowych. Wyglądając przez okna, w ciemności zauważam idącą postać, która coś za sobą ciągnie. Słońce zaszło kilka godzin temu, więc trudno dostrzec jakiegokolwiek szczegóły, ale na ułamek sekundy całe moje ciało sztywnieje, bo jestem przekonana, że to nieznajomy wrócił, żeby nas zabrać.

– Brant przyjechał – mówi Nicolette, ale nie daję się nabrać na ekscytację w jej głosie, bo skóra wokół jej oczu marszczy się, jakby w grymasie bólu, a do tego stoi nieruchomo jak słup soli.

Sekundę później otwierają się drzwi, a moim oczom ukazuje się mężczyzna. Wygląda identycznie jak na zdjęciach, może nawet lepiej. Ma lekko kręcone włosy w kolorze piaskowego blondu, kwadratową szczękę, pełne usta i przenikliwe oczy w kolorze morskiej zieleni, takie same jak Evie.

Jest wysoki, ale nie tak bardzo jak intruz, który włamał się do naszej chaty. Choć ma na sobie czarny, wełniany płaszcz, widzę, że jest silny, lecz nie w sposób, który budzi grozę. Nie ma w nim nic, co mogłabym uznać za zagrażające naszemu bezpieczeństwu. Uśmiech malujący się na jego twarzy zdecydowanie przechyla szalę na jego korzyść.

Mimo to trzymam się na dystans. Nie znam Branta, ale zamierzam go polubić, bo chcę tu zostać. Podoba mi się to miejsce. Wszystko tutaj jest ciepłe, miękkie, ładne, miłe... i bezpieczne.

– Ty jesteś Wren? – pyta Brant, puszczając rączkę walizki. Ściąga płaszcz i wiesz go na przedramieniu. Nie podchodzi do mnie, nie wyciąga ręki na

przywitanie, tak jak ekspedientki w sklepie z ubraniami. Zachowuje rezerwę. – Jestem Brant. Miło cię poznać.

Sage staje obok Nicolette, obserwując przystojnego męża łaskawej kobiety, która nas przygarnęła.

– A ty musisz być Sage – mówi. Ma dołeczki w policzkach. Zupełnie jak Evie.

– Jak minęła ci podróż? – pyta Nicolette, gdy Brant do niej podchodzi. Kładzie dłoń na jej ramieniu i schyla się, by pocałować ją w policzek. Nicolette spina się pod wpływem jego dotyku.

– Dobrze, ale niemiłosiernie się ciągnęła. Marzyłem tylko o tym, by wrócić do domu. Tęskniłem za tobą.

Brant odsuwa się, napotyka spojrzenie Nicolette. Wpatrują się w siebie tak, jakby odbywali rozmowę, tyle że bez słów.

– Napijcie się herbaty? – pyta Nicolette, zwracając się do nas. – Moglibyśmy chwilę porozmawiać, zanim pójdziecie spać.

Sage ziewa, a po chwili ja robię to samo.

Nicolette odwraca się w stronę męża.

– Dla nich jest już trochę za późno... może rano spróbujecie poznać się lepiej?

– Oczywiście – zgadza się Brant, patrząc z uśmiechem na mnie, a potem na moją siostrę. – W takim razie uzgodnione.

Biorąc Sage za rękę, prowadzę ją na górę do naszego pokoju i starannie zamykam drzwi. Sage zdejmuje ubranie i przebiera się w prążkowaną piżamę, którą Nicolette kupiła dla niej wczoraj w butik, po czym kładzie się po swojej stronie łóżka.

Nie jestem zmęczona, ale nie mam ochoty siedzieć na dole razem z nimi i dusić się w pełnej napięcia atmosferze.

– Wydaje się całkiem w porządku – mówi Sage, odwracając się plecami, gdy się przebieram.

– Owszem.

– Piękna z nich para. Jak księżę i księżniczka.

Ściągam bluzkę przez głowę, składam ją w schludną kostkę i kładę na komodzie, po czym zdejmuję spódniczkę.

– To prawda.

Chwilę później oddech mojej siostry wyrównuje się i uspokaja. Biorę książkę leżącą na stoliku nocnym, podchodzę do siedziska pod oknem i odciążam zasłonę na tyle, by wpuścić do środka wystarczająco dużo blasku księżyca i móc odczytać słowa.

Dziesięć rozdziałów później czytam notę biograficzną autora. Choć moje ciało jest zmęczone i ociężałe, to myśli w mojej głowie wirują jak szalone. Nie mogłabym się ich pozbyć, nawet gdybym chciała. Biorąc głęboki wdech, odkładam przeczytaną książkę na bok i przechodzę na palcach przez pokój. Cichutko naciskam klamkę i schodzę na dół po szkicownik, który zostawiłam wcześniej na stole w kuchni.

Próbowałam narysować las tak, jak go widzą Gideonowie. Porośnięte igłami sosny wymieszane z nagimi gałęziami innych drzew. Bażanty. Migające od czasu do czasu w oddali sarny. To jak patrzenie na własny dom, tyle że z cudzej perspektywy. Niby wszystko jest takie samo, a jednak zupełnie inne.

Schodzę na dół. Mój ołówek kreślarski i szkicownik leżą tam, gdzie je zostawiłam. W drodze powrotnej do pokoju przystaję na moment na szczycie schodów, a do moich uszu dobiegają stłumione, nerwowe głosy Nicolette i jej męża.

– Dlaczego się tak zachowujesz? – pyta ona.

– Martwię się, że to wszystko wpłynie na ciebie – mówi on. – Negatywnie.

Czuję się nieswojo, podsłuchując, więc wracam bezszelestnie do pokoju i zamykam za sobą drzwi. Serce wali mi jak młot, a z ust wydobywa się płytki, zdyszany oddech.

Wiedziałam, że coś jest między nimi nie tak. Zobaczyłam to w jej oczach. W jego również.

Czuję bolesne ściskanie w żołądku. Brant nas tu nie chce. Nie mam bladego pojęcia, co dalej robić. Co się z nami stanie bez wsparcia Nicolette?

Może jeśli będę dla niego miłsza, zmieni zdanie. Dzięki temu zyskamy więcej czasu na odszukanie mamy i Evie.

Dając sobie chwilę na uspokojenie się, wracam na siedzisko pod oknem i podciągam kolana, opierając szkicownik o uda. Chwilę później rysuję pierwszą kreskę na kremowym papierze. Rysowanie od zawsze mnie uspokajało, zresztą podobnie jak czytanie.

Zamykając oczy, wyobrażam sobie kobietę o kręconych blond włosach i z przerwą między jedynkami. Nigdy wcześniej jej nie rysowałam, bo nie chciałam denerwować mamy, ale dziś zamierzam to zrobić. Ożywię ją na tej kartce.

Oświetlona blaskiem księżycy, najpierw szkicuję owal jej twarzy – okrągłej jak u mnie – a potem nos, mały i zadarty. Dorysowuję szeroki uśmiech i gęste loki okalające jej twarz. Za każdym razem, gdy zamykam oczy, by przywołać w pamięci kolejny szczegół, czuję ciężar w piersi i rozchodzące się po całym ciele mrowienie.

Nie wiem, co one oznaczają, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że znam tę kobietę.

Nicolette

– O co tak naprawdę chodzi, Nick? – pyta Brant, ściągając przez głowę granatowy, kaszmirowy sweter.

Zdejmuję z palca obrączkę i wkładam ją do pudełka w kształcie serca stojącego na moim stoliku nocnym.

– Przygarnięcie tych dziewczyn... pozostanie na zimę w Nowym Jorku... – ciągnie. – Coś jest na rzeczy.

– Przyznaj po prostu, że ich tu nie chcesz – mówię, zniżając głos. Nie chcę, żeby usłyszały choć strzęp tej rozmowy, bo bez względu na to, co zostanie powiedziane, i tak niczego to nie zmieni. Prędzej wykopię na bruk własnego męża, niż zostawię te biedne istoty same, bez żadnej pomocy. – Nie próbuj mi wmawiać, że chodzi o mnie, gdy w rzeczywistości chodzi o coś zupełnie innego.

Brant prychnął pod nosem.

– Coś innego? Nie, Nick. Tu chodzi wyłącznie o *ciebie*.

– O mnie? – pytam, parskając śmiechem.

I kto tu teraz próbuje odwrócić kota ogonem?

W zeszłym tygodniu przeczytałam w internecie artykuł o zdradzających partnerach. Żeby nie dać się złapać, każdy z nich robi dokładnie to samo: zmienia temat, rozprasza i wszystkiego się wypiera.

– Chcesz wiedzieć, co o tym myślę? Że to ponad twoje siły. Za dużo na siebie wzięłaś – mówi, odpinając pasek i ściągając dzinsy ze swoich umięśnionych nóg. Zerkam ukradkiem na wyrzeźbione mięśnie jego brzucha, na którym przez trzynaście lat naszego związku nie pojawił się

nawet jeden zbędny kilogram, czym większość mężów nie może się pochwalić. Zabawne, że im więcej czasu ze sobą spędzamy, tym bardziej przestajemy doceniać te drobne szczegóły. Jakbyśmy napatrzyli się na nie już tyle razy, że kompletnie przestaliśmy zwracać na nie uwagę.

Wiem, że każda inna kobieta uznałaby Branta za boskiego łamacza damskich serc.

– Dobrze wiesz, w jakim stanie bywasz o tej porze roku, a kiedy dochodzi do tego coś takiego, martwię się, że odciśnie to na tobie swoje piętno.

– Jesteś w błędzie.

– Czy aby na pewno? – pyta, unosząc brew.

Wsuwam się pod kołdrę po swojej stronie naszego obszernego łóżka i odwracam się, by strzepnąć poduszkę. Nie zamierzam zaszczycić go odpowiedzią na zadane pytanie, ponieważ cała ta rozmowa nie ma sensu i nie jest warta nawet odrobiny mojej energii.

Wzdychając, Brant siada obok mnie na skraju łóżka, ubrany wyłącznie w niebieskie bokserki. Jego oczy lśnią w bladym świetle księżyca. Moje płuca wypełnia łagodny, naturalny zapach jego cieplej skóry.

Gdybyśmy żyli jak dawniej, leżałabym już w jego ramionach, czując na skórze palący dotyk jego ust. Rozbierałby mnie do naga, pieszcząc palcami te części mojego ciała, które od zawsze należały tylko do niego.

To już przeszłość. Nawet gdyby jakimś cudem udało nam się do tego wrócić... już nic nie byłoby takie samo.

Już nic *nigdy* nie będzie takie samo.

Brant bierze mnie za rękę, delikatnie przesuwając kciukiem po jej wnętrzu. Pozwalam mu. Nie ma pojęcia, że o wszystkim wiem, i muszę się postarać, aby tak zostało.

Kiedy mnie dotyka, niczego nie czuję. Żadnych motylków w brzuchu, żadnego rozkosznego drżenia w piersi. Równie dobrze moglibyśmy być dwiema samotnymi wyspami oddzielonymi oceanem.

– Po prostu... wolałbym, żebyś spytała mnie najpierw o zdanie.

– Odmówiłbyś.

– Nie. Zgodziłem się na adopcję. To wcale się od niej nie różni... Ale musimy działać razem. Musimy podejmować takie decyzje wspólnie. Grać w tym samym zespole.

W ciemnościach napotykam jego spojrzenie. Nie wiem, czemu ma służyć ta gadka, ale z tego, co się orientuję, kiedy gracie razem w jednym zespole, nie uciekacie z niego, żeby mieć dziecko z kimś z przeciwnej drużyny.

Brak mi sił, by ciągnąć dalej tę absurdalną rozmowę, więc zabieram dłoń z jego uścisku i kładę się na poduszce, zapadając w materac.

– Późno już. Jestem zmęczona.

– Wiem. – Brant wzdycha. – Jutro zaczniemy od nowa.

Przechodzi na swoją połowę łóżka i kładzie się obok mnie. Po chwili obejmuje mnie w pasie ramieniem i przyciąga do siebie, wtulając twarz w moją szyję i wdychając mój zapach tak, jak robił to kiedyś, w czasach, gdy kochał mnie i tylko mnie.

Zaciskając mocno powieki, zmuszam się do zapadnięcia w sen, błagając umysł, by wyciszył się na tyle, bym mogła bez problemu odpłynąć. Słyszę jedynie ciche pochrapywanie Branta i czuję na skórze ciepło jego ciała. Śpi jak dziecko, a ja leżę na wpeł przygnieciona jego ciężarem. Nie mogę oddychać, więc zrzucam z siebie jego ramię i ześlizguję się z łóżka. Brant przetacza się na bok, wiercąc się przez kilka sekund, ale nie budząc się nawet na moment. Po chwili znów słychać jego chrapliwy, spokojny oddech.

Przeczesałam rękami włosy i przerzucam je przez jedno ramię. Przyglądam się śpiącemu mężowi, zazdroszcząc mu umiejętności odcięcia się od reszty świata, podczas gdy moja rzeczywistość wrzeszczy mi do ucha za każdym razem, gdy się z nią konfrontuję.

Postanawiam zejść na dół. Zamykam za sobą drzwi sypialni i schodzę cicho po schodach, podczas gdy reszta domu jest pogrążona w śnie. Po chwili rozsiadam się wygodnie w wielkim skórzanym fotelu w salonie, owinięta zrobionym na drutach kocem, i patrzę przez okno widokowe na oświetlony blaskiem księżyca las za naszym domem.

Widoczny w oddali jasny punkcik przypomina mi o tym, że policja wciąż poszukuje matki i siostry dziewcząt. Akcja nadal trwa, a przeczesywanie terenu może potrwać tygodniami. Trzeba sprawdzić ogromny obszar. Policja zapowiedziała, że nie spocznie, dopóki nie przeszuka każdego metra kwadratowego lasu.

Opierając podbródek o dłoń, wpatruję się w żółty punkcik w oddali, próbując pojąć, jaką trzeba być matką, by ukrywać swoje dzieci przed

resztą świata.

Może była egoistycznym potworem?

A może po prostu robiła, co w jej mocy, by zapewnić dzieciom bezpieczeństwo?

Nie chcę jej oceniać. Nie znam całej historii. Nikt nie zna. Może uciekały przed agresywnym ojcem, który chciał zrobić im krzywdę... albo przed czymś znacznie gorszym?

Cokolwiek to było, jestem pewna, że nie zrobiła tego bezpodstawnie.

Nikt nie zrobiłby tego, co ona, nie mając wystarczająco dobrego powodu.

Żółte światło zbliża się, na przemian kołysząc się na boki i kierując w dół. Wstaję z fotela z kocem zarzuconym na ramiona i podchodzę do okna, by lepiej się temu przyjrzeć. Tyle że światło gaśnie, zanim udaje mi się to zrobić.

Widzę jedynie ciemność i zarys wysokich, smukłych drzew stapiających się w oddali z czernią.

To nie mógł być członek ekipy poszukiwawczej...

Żaden z nich nie włóczyłby się po lesie sam o północy.

A już na pewno nie wyłączyłby latarki.

W tej samej chwili zapalają się latarnie przy drodze. Miasto podpięło je pod jakiś energooszczędny system zasilania, którego nadal nie rozpracowałam pomimo spędzenia niemal dziesięciu lat życia w tej głuszy. Podchodzę do okien przy drzwiach frontowych. Na skraju naszego długiego podjazdu zauważam zarys czyjejś nieruchomej sylwetki.

W prawej dłoni trzyma jakiś przedmiot, chyba latarkę. Coś zwisa mu z ramienia, prawdopodobnie plecak.

Włącza latarkę i nakierowuje snop światła na nasz garaż.

Gorąco oblewa mój kark, docierając aż do uszu. Czuję, jak drętwieje mi twarz.

Postać zbliża się w stronę domu, ale nie czekam na to, co zrobi. Wbiegam pędem na górę, jednym szarpnięciem otwieram drzwi sypialni i zaczynam potrząsać Branta za ramiona.

– Ktoś tu jest – szepczę, gdy rozchyła powieki.

Po wyrwaniu z głębokiego snu Brant wyciąga rękę, by zapalić lampkę, ale powstrzymuję go przed tym.

– Na zewnątrz stoi jakiś mężczyzna – mówię. – Na podjeździe.

Brant siada na łóżku, coraz bardziej rozbudzony. Sięgam po telefon.

– Dzwonię na policję – dodaję, drżącymi palcami wybierając numer 911. – Postaraj się nie obudzić dziewczyn.

Brant zrzuca z siebie pościel i wyjmuję z szuflady kraciaste spodnie od piżamy. Wkłada je i zawiązuje tasiemki w pasie, po czym narzuca na siebie czysty, biały T-shirt. Znika w swojej garderobie i wyłania się z niej po sekundzie z bronią w ręku, po czym wychodzi na korytarz.

– Czy może pani dopilnować, by policja nie włączyła syren? – pytam dyspozytorkę po tym, jak wyjaśniłam jej całe zajście. – Są z nami dwie dziewczyny... Nie chcę ich budzić.

– Jeśli nie ma takiej potrzeby, zwykle o tej porze nocy nie używamy syren, ale mimo wszystko przekażę policjantowi tę informację.

Rozłączam się. Nadal trzęsą mi się ręce. W drzwiach sypialni stoi Brant.

– Poszedł sobie – mówi. – Sprawdziłem kamery. Nikogo tam nie ma.

Przyciskając dłoń do piersi, osuwam się bezwładnie na skraj łóżka.

– Myślałam, że... nie wiem, czy to był ten mężczyzna... ten, o którym dziewczyny mówią, że może ich szukać.

– Dobrze zrobiłaś – mówi Brant, przeczesując dłonią gęste włosy. – Zejdę na dół i zaczekam na policję. Wracaj do łóżka, Nick.

Brant stoi w drzwiach, przyglądając mi się uważnie. W jego zmęczonym głosie słyszę protekcyjny ton.

– Nie wierzy mi.

Chwilę później drzwi się zamykają, a ja zostaję sama w naszym pokoju, odprawiona do łóżka jak małe dziecko.

Wiem, co widziałam.

Wiem, że ktoś tam był.

Wren

Szyja pulsuje mi z bólu, wybudzając mnie ze snu. Gdy się przeciągam, w dolnej części kręgosłupa daje się słyszeć głośne chrupnięcie. Zasnęłam wczoraj na siedzisku pod oknem. Koc zaplątał się wokół moich nóg, a szkicownik leży na podłodze. Łóżko jest pościelone, poduszki są strzepnięte, a kołdra i narzuta równo naciągnięte.

Najwyraźniej Sage zeszła już na dół.

Idę do łazienki i obmywam się przed śniadaniem, po czym zbiegam po schodach na parter. Przypomina mi się wczorajsza nerwowa wymiana zdań między Nicolette i Brantem, gdy zastaję ich siedzących naprzeciwko siebie przy stole. Ona ściska w szczupłej dłoni biały kubek z kawą. On śmieje się z czegoś, co powiedziała Sage, a jego umięśnione ramiona wyzierają spod białej koszulki. Przyjrząwszy się im bliżej, zauważam, że Brant pokazuje jej jakieś czarne urządzenie, które trzyma w dłoniach. Nicolette wspomniała, że jej mąż jest fotografem, więc to musi być jego aparat.

Ani trochę nie sprawia wrażenia osoby, która wcale nas tu nie chce.

Widocznie dobry z niego kłamca. Zupełnie jak mama. Potrafi mówić o czymś z tak wielkim przekonaniem, że każdy miałby problem z odróżnieniem kłamstwa od prawdy.

Mimo to obiecałam sobie, że się postaram... dla dobra Sage. I dla swojego.

– Dzień dobry – mówię z wymuszonym uśmiechem.

– Dzień dobry, Wren. – Twarz Nicolette momentalnie się ożywia. Odsuwa się od stołu. – Głodna?

– Nick robi najlepsze naleśniki z jagodami na świecie – mówi Brant. –

Konieczniesz musisz ich spróbować.

Podchodzę do kuchenki, gdzie Nicolette nakłada na mój talerz naleśniki, jajecznicę ze szczypiorkiem i grube plastry chrupiącego bekonu. Dziękuję jej, po czym nalewam sobie szklankę soku pomarańczowego i zajmuję miejsce przy stole.

– Wren też jest artystką – mówi Sage. Patrzą na mnie oboje, a Brant unosi brwi.

– Naprawdę? Jaka jest twoja dziedzina?

– Moje co?

– W jaki sposób tworzysz swoją sztukę? – precyzuje.

– Aa... Rysuję. Ołówkiem na papierze.

– Jest naprawdę dobra – dodaje Sage, skubiąc kawałek chrupiącego chleba.

– Masz jakieś prace, które mógłbym obejrzeć?

Myślę o pozostawionym na piętrze rysunku kobiety o żółtych włosach, ale nie mam ochoty tłumaczyć, dlaczego powstał. Nie wiem, co mogłabym powiedzieć, żeby nie wyjść na wariatkę.

– Pracuję nad czymś – mówię. – Ale jeszcze nie jest gotowe.

– Czy Nick pokazywała ci już moje studio?

Kręcę głową. Przechodziłyśmy obok niego w trakcie oprowadzania, ale Nicolette ostrzegła nas, że to jedyne pomieszczenie w całym domu, do którego nie mamy wstępu, ponieważ to tam Brant „edytuje” swoje zdjęcia i lubi, kiedy wszystko jest na swoim miejscu.

– Powinnaś tam zajrzeć po śniadaniu. Mam tam mnóstwo naturalnego światła i dużo miejsca na biurku. Mógłbym ci przygotować własny kącik, żebyś mogła rysować, kiedy tylko przyjdzie ci ochota.

Nicolette przenosi spojrzenie na męża.

– Dziękuję, byłoby wspaniale – odpowiadam. Mówię szczerze. Doceniam fakt, że chce udostępnić mi swoje wyjątkowe miejsce, bo to oznacza, że się stara... i że być może zaczyna otwierać się na pomysł, byśmy tu zostały.

Brant otwiera usta, by coś powiedzieć, ale przerywa mu trzykrotne łomotanie do drzwi wejściowych. Jego uśmiech znika, a Nicolette upuszcza na podłogę zieloną ścierkę. Wymieniają się spojrzeniami i bez słowa kierują się w stronę holu.

Wyglądając przez okno nad zlewem, zauważam zaparkowany na podjeździe radiowóz, taki sam jak ten, którym zastępczyni szeryfa May zawiozła nas do szpitala.

– Zostańcie tutaj – mówi Brant, znikając w pokoju obok.

Sage wbija we mnie spojrzenie ciemnych oczu, a ja nie potrafię znaleźć żadnych słów pocieszenia, którymi mogłabym podnieść na duchu siebie, a co dopiero ją.

Siadam obok niej na krześle, na którym nadal czuć ciepło ciała Branta, i nakrywam dłonią jej dłoń.

Cokolwiek się stanie, zawsze będziemy mogli na siebie liczyć.

Nicolette

Zarzucam na ramiona zimowy płaszcz i wychodzę na werandę, by spotkać się z May. Chwilę później dołącza do mnie Brant. Szarawe niebo zdążyło się rozjaśnić, oślepiając moje zmęczone oczy, ale udaje mi się zmrużyć powieki na tyle, by skupić wzrok na twarzy policjantki.

Nie ma na niej nawet cienia uśmiechu.

– Gdzie one są?

– W środku. – Wskazuję palcem na dom. – Dlaczego pani pyta? Stało się coś?

– Znaleźliśmy w lesie ciało kobiety – mówi May, a między jej brwiami pojawia się głęboka zmarszczka. – Odpowiada rysopisowi, który podały dziewczyny... na tyle, na ile byliśmy w stanie to określić. Zwłoki leżały w lesie od dłuższego czasu.

– O mój Boże. – Wciągam do płuc haust lodowatego powietrza. Stopy mam dosłownie wrośnięte w betonowe schodki.

– Identyfikacja zwłok może być dla dziewczyn traumatycznym doświadczeniem, więc mamy nadzieję, że uda nam się porównać próbki DNA matki z próbkami, które pobraliśmy od nich w szpitalu. Laboratorium zajmie się tym najszybciej, jak się da, ale analiza potrwa co najmniej siedemdziesiąt dwie godziny. Albo i dłużej.

– W takim razie powstrzymajmy się od mówienia im o czymkolwiek – wtrąca Brant, opierając dłonie na wąskich biodrach.

– Dobry pomysł – zgadza się z nim May. – Ale chciałam poinformować przynajmniej waszą dwójkę, żebyście za kilka dni sami nie byli niemile

zaskoczeni.

Pomimo braku jednoznacznych dowodów odnośnie do tożsamości kobiety, z całego serca współczuję Wren i Sage. Jeśli to faktycznie ona, oznacza to, że ich matka nie żyje. Jeśli nie, to znaczy, że ich matka nadal jest zaginiona, a my nie zbliżyliśmy się nawet o krok do znalezienia jej.

– A co z ich najmłodszą siostrą?

May kręci głową, poprawiając kapelusz.

– Nadal szukamy. Departament policji z sąsiedniego miasta oddał nam do dyspozycji śmigłowiec, dzięki czemu byliśmy w stanie ustalić położenie chaty, w której mieszkały dziewczyny. Zabraliśmy stamtąd kilka rzeczy, z których pobierzemy próbki DNA i wyślemy do analizy. Nigdy nie wiadomo, czy kogoś nie ma już w systemie. Wielokrotnie się zdarza, że właśnie dlatego takie osoby się ukrywają.

May sięga do prawej kieszonki na piersi, wyciąga długopis i mały notatnik. Zapisuje jakiś numer i podaje mi kartkę.

– Nie daję tego nikomu, ale jeśli będziecie czegoś potrzebować, dzwońcie do mnie o każdej porze dnia i nocy.

– Dziękuję – mówię, składając kartkę.

– Pierwsza zmiana poinformowała mnie, że wczoraj w nocy dostali wezwanie do waszego domu. Zgłosiliście bezprawne wtargnięcie na posesję – dodaje May, przenosząc spojrzenie pomiędzy mną a Brantem.

– Nick wydawało się, że zobaczyła kogoś na końcu naszego podjazdu – mówi Brant, wzdychając.

– Ja *naprawdę* kogoś widziałam. Miał latarkę. I plecak. Wyszedł prosto z lasu.

– Byłaś też zmęczona, a na zewnątrz panowały egipskie ciemności. To równie dobrze mógł być jeleni czy coś w tym stylu – mówi Brant, kładąc dłoń na moim ramieniu i ściskając je delikatnie. Nie daje mi szansy wspomnieć o palącej się latarni przy drodze. – Tak czy inaczej, dziękujemy, że pani przyjechała. Doceniamy, że zjawiła się pani osobiście, by przekazać nam wieści.

May opiera dłonie o służbowy pasek, skierowując na mnie swą uwagę.

– Jak one sobie radzą?

– Wspaniale. Są odważne, wytrwale i ciekawe świata. Nikt by nie zgadł,

jak wielką przeżyły tragedię.

– Niesamowite, prawda? To, jak odporne potrafią być dzieci.

– Owszem.

– A co z panią? Jak pani sobie radzi z tą całą sytuacją?

Przekrzywiam głowę na bok, z trudem próbując wymyślić odpowiedź. Nie wiem, dlaczego poczuła potrzebę zapytania o to ani dlaczego w ogóle się tym przejmuje. – Muszę wracać do domu. Dziękuję za wszystko. Zadzwoń do pani, jeśli dowiemy się czegoś nowego.

Ściskając w dłoni złożony świstek papieru, uśmiecham się do May. Razem z Brantem patrzymy, jak wraca do swojego radiowozu.

– Co im powiemy, kiedy zapytają, dlaczego tu była? – pytam męża.

Wbijając wzrok w ziemię, Brant przesuwając dłoń po zarośniętej szczęce.

– Powiemy im, że przyjechała, by poinformować nas o kontynuowaniu poszukiwań, i że policja namierzyła ich chatę.

– Tamta kobieta w lesie... myślisz, że to ich matka?

Brant patrzy mi prosto w oczy, a moją twarz owiewa zimny podmuch wiatru.

– Nie mam pojęcia, Nick. Wiem tylko, że niebezpiecznie jest kierować się przypuszczeniami, szczególnie wtedy, gdy okazują się błędne.

Wren

Wpatrując się w widok za szkłem, czuję na skórze ciepło promieni naturalnego światła wlewającego się do studia Branta. Wcześniej był to tylko niedostępny dla nikogo pokój z zamkniętymi na klucz drzwiami, więc nie zaprzętałam sobie głowy tym, co mogło się za nimi kryć. Teraz Brant udzielił mi osobistego pozwolenia, aby je przekroczyć.

Trzy ściany tego pomieszczenia składają się wyłącznie z okien, zapewniając panoramiczny widok na pagórkowatą część lasu. Okna wychodzą na wschód, dzięki czemu wewnątrz nagrzewają promienie porannego słońca. Dawniej nie obchodziły mnie tak bardzo, ale ten piękny widok sprawia, że zapominam o niebezpieczeństwach czyhających za gęstą ścianą drzew.

W rogu na podstawce, tuż przy skórzanym fotelu, stoją trzy gitary. Miejsce obok zajmuje coś, co Brant nazywa swoim „zestawem muzycznym”. Nigdy wcześniej nie widziałam, jak ktoś gra na instrumencie. Powiedział, że zagra dla mnie w wolnej chwili.

Zanim skończył oprowadzać mnie wczoraj po studio, dał mi jedną ze swoich starych „komórek” i nauczył, jak słuchać na niej piosenek – wszystkich, jakie tylko są. Gdy spytał o mojego ulubionego wykonawcę, wzruszyłam jedynie ramionami, więc wyjął urządzenie z mojej ręki i powiedział, że nagra mi playlistę.

Jedyna ściana w całym pokoju, która nie ma okna, jest pokryta najpiękniejszymi zdjęciami, jakie kiedykolwiek widziałam. Brant zapewnił mnie, że nie ma nic złego w chwaleniu się swoimi pracami. Powiedział

również, że któregoś dnia opowie mi o swoich „skromnych początkach”.

Wtedy też po raz pierwszy zaczęłam myśleć o Brancie i Nicolette i o tym, jacy byli wcześniej. Skąd pochodzili. Jakie mieli rodziny. Brant twierdzi, że każdy ma jakąś przeszłość. *Każdy*.

Rano pojechał do miasta na dwie godziny, a po powrocie wręczył mi paczuszkę z kredkami akwarelowymi i trzema małymi pędzelkami z rączkami w różnych kolorach, żółtym, czerwonym i niebieskim.

Trudno go nie lubić.

Zgniatam kartkę w dłoniach i wrzucam ją do drucianego kosza na śmieci. Odtwarzacz muzyczny obok mnie gra *Pink Moon*. Gdy tego słucham, myślę o ciepłych, letnich wieczorach. Gdy tylko melodia się kończy, wciskam lewy guzik ze strzałką, by odtworzyć ją ponownie, tak jak pokazał mi Brant.

Któregoś razu na Boże Narodzenie mama sprawiła nam ukulele, ale Sage zerwała strunę, zanim ktokolwiek nauczył się na nim dobrze grać. Nie przejęłyśmy się tym jednak zbyt i już nigdy nie podjęłyśmy próby naprawy instrumentu. Muzyka w naszym domu ograniczała się do wspólnego śpiewania, mojego i mamy, oraz piskliwego fałszowania Sage, przez które Evie zakrywała sobie uszy.

Ale to... do tego chętnie bym się przyzwyczaiła.

Wybieram nową kartkę w szkicowniku i przystępuję do pracy. Tym razem rysuję Evie – częściowo dlatego, że za nią tęsknię, a częściowo dlatego, że chcę, by Nicolette przekazała rysunek w ręce zastępczyni szeryfa May. Może dzięki temu łatwiej będzie im ją znaleźć.

Pół godziny później odkładam kredki na bok i rozmasowuję bolącą dłoń, po czym rozciągam ramiona nad głową. Prostuję plecy, czując ulgę wraz z każdym trzaśnięciem w krzyżu. Wciskam guzik z kwadratem na telefonie i wyciszam muzykę. Odsłuchałam *Pink Moon* jakieś dziesięć razy z rzędu.

Trzymając w dłoniach rysunek Evie, mruganiem odpędzam gorące łzy. Wypełniłam kolorem jej mleczną skórę, różane policzki i zielone oczy, ale teraz muszę zejść na dół po szklanek wody, żeby wygładzić pędzelkiem kreski i połączyć odcienie.

Wstaję ze stołka i odwracam się do wyjścia, prawie wpadając na Branta. Łapie mnie za ramię, chroniąc przed upadkiem, po czym parska krótkim śmiechem.

– Wybacz. Nie chciałem cię przestraszyć.

Jego wzrok wędruje ponad moje ramię i zatrzymuje się na szkicowniku z portretem Evie.

Jego uśmiech znika. Z trudem przełyka ślinę.

– Kto to jest, Wren?

– Evie, moja najmłodsza siostra.

Na ułamek sekundy jego twarz robi się biała jak płótno, by po chwili odzyskać swój normalny kolor.

Chrzękając, Brant mamrocze coś niewyraźnie pod nosem, twierdząc, że musi znaleźć jakiś obiekt do aparatu, po czym wychodzi bez słowa.

Nicolette

– Możesz wybrać, jakie tylko chcesz. Uprzedzam tylko, że nudno wyglądające pudełka zawierają zdrowszy produkt, a te kolorowe mają dodane mnóstwo cukru.

Dziewczyny milczą, gapiąc się na regał z płatkami śniadaniowymi w sklepie spożywczym. Jesteśmy tu już od ponad godziny. Nasza wyprawa nieco się przeciągnęła, ponieważ Wren i Sage przyswajają nowe informacje, biorą próbki, zadają pytania i czytają etykiety, by dowiedzieć się, co jest w środku.

Powiedziałam im, że mogą wziąć, na co tylko mają ochotę. Przez całe życie były pozbawione wielu rzeczy, więc uznałam, że chociaż tyle mogę zrobić. Jak na razie jedynymi rzeczami, które włożyły do sklepowego wózka, są warzywa, płatki owsiane oraz podstawowe produkty, takie jak melasa i brązowy cukier.

– Czy te są dobre? – pyta Sage, trzymając pudełko cynamonowych kwadracików. W rogu opakowania napisano, że każda porcja płatków zawiera dwadzieścia osiem gramów pełnego ziarna oraz dziewiętnaście niezbędnych witamin i minerałów.

Raz się żyje...

– Owszem – odpowiadam z uśmiechem. – Wren, znalazłaś jakieś dla siebie?

Sięga po niebieskie pudełko z pomarańczowym tygrysem z przodu, przyciska do piersi i zanosi do wózka. Spoglądam na zegarek.

– Powinniśmy już iść do kasy.

Dziewczyny idą za mną, trzymając się blisko. Wybieramy stanowisko, przy którym nie ma co prawda kolejki, ale jest za to strategicznie ulokowana witryna z wszelkimi możliwymi słodyczami świata.

– Śmiało – zachęcam, wskazując na nią palcem.

Wren kręci głową.

– Nie, dziękuję.

Sage bierze pudełeczko cukierków Nerds o smaku winogronowym, potrząsa nim, po czym dorzuca do niej paczkę kwaskowych Skittelsów i batonik czekoladowy Mars.

– Nicolette? – pyta Wren, gdy już prawie kończymy robić zakupy.

– Słucham? – pytam, szukając w portfelu karty kredytowej.

– Zrobiłam kilka rysunków mamy i Evie... myślisz, że policja chciałaby je obejrzyć?

Co prawda dziewczyny podały rysopis matki i siostry już pierwszego dnia, ale wątpię, by policja zdążyła skontaktować się z rysownikiem portretów pamięciowych.

– Oczywiście. Każda pomoc jest mile widziana.

Wren wypuszcza wstrzymywane powietrze, a na jej buzi pojawia się uśmiech. Serce mi pęka, gdy uświadamiam sobie, że czuła się zmuszona do zapytania o moją zgodę. Bez przerwy zastanawia mnie, jak długo żyła pod czyjeś dyktando... i zaczynam podejrzewać, że odpowiedź brzmi: przez całe dotychczasowe życie.

– Podoba ci się studio fotograficzne Branta?

To cud, że Brant udostępnił jej to pomieszczenie. Rzadko pozwala mi przekroczyć jego próg, ale dla Wren zrobił niesamowity wyjątek.

Zabawne, bo spodziewałam się, że Wren będzie nieufna w stosunku do niego, a stało się wręcz odwrotnie. Obudził w niej ciepło i serdeczność, których wcześniej nie było. Widzę to w jej oczach, w chęci brania udziału w codziennych rozmowach, zamiast trzymania się na dystans i skupianiu na roli cichego obserwatora.

– Uwielbiam to miejsce – mówi, choć radosny wyraz jej twarzy blednie nieco, gdy pochyła się w moją stronę. – Uhm, Nicolette?

– Tak?

– Słyszałam, jak się wczoraj kłóciliście.

Patrzy mi prosto w oczy, a moje policzki zaczynają płonąć żywym ogniem.

– Och... yyy... przepraszam... wiesz... małżeństwo bywa skomplikowane, a my nie zawsze się ze sobą zgadzamy. Przepraszam, że musiałaś tego słuchać.

– On nas tu nie chce, prawda? – pyta Wren.

– Mój Boże, nie! Skąd ci to przyszło do głowy? – mówię, żałując, że nie jesteśmy gdzieś, gdzie mogłabym ją objąć i tulić do siebie tak długo, aż wyczuje szczerłość w moim głosie. – Nie chcę, żebyś kiedykolwiek zaprzętała sobie tym głowę.

Usta Wren wyginają się w półuśmiechu. Przytakuje.

– W porządku.

– Dwieście osiem dolarów i dziewięćdziesiąt cztery centy – mówi kasjerka. Wsuwam kartę do czytnika i wpisuję PIN, czując na sobie jej ciekawski wzrok. – Hej, czy to nie wy jesteście tymi Zagubionymi Biedactwami ze Stillwater? Znaleźli już waszą rodzinę? Słyszałam, że policja natknęła się w lesie na zwłoki.

Cmoka z dezaprobatą, pochylając się nad taśmą i obrzucając dziewczyny spojrzeniem pełnym współczucia. Jestem pewna, że chce dobrze, ale nie ma zielonego pojęcia, co przed chwilą zrobiła.

– Ten las od zawsze przyprawiał mnie o ciarki – dodaje, wzdragając się, jakby próbowała pozbyć się przechodzących po krzyżu dreszczy. – Słyszałam o szaleńcach, którzy go zamieszkują. O porywaczach dzieci.

Szuflada kasy otwiera się i zamyka, a kobieta odrywa paragon i podaje mi go do ręki.

– Kto by nie kochał tych małomiasteczkowych legend, prawda? – Uśmiecham się uprzejmie.

Kasjerka patrzy na mnie z góry, jakby poczuła się urażona, że lekceważę wygadywane przez nią bzdury.

– Dziękuję – mówię, nie mając ochoty udzielać odpowiedzi na jej pytania ani wdawać się w plotkarskie dyskusje. – Chodźcie, dziewczyny.

Pakujemy zakupy w rekordowo krótkim czasie – w końcu mam dwie pary rąk więcej. Dziewczyny wsiadają na tylne siedzenie, Sage po lewej, a Wren po prawej.

– Nicolette? – pyta Sage po wyjechaniu na autostradę.

– Słucham. – Napotykam jej spojrzenie we wstecznym lusterku.

– Dlaczego tamta pani nazwała nas Zagubionymi Biedactwami ze Stillwater?

– To przydomek, który wymyśliła dla was miejscowa stacja telewizyjna – wyjaśniam. – W interesie agencji prasowych leży sprzedaż przestrzeni reklamowej, więc poszukują sensacyjnych historii i nagłówków. Ale wiecie co? W tym przypadku to dobrze, bo im więcej ludzi o was usłyszy, tym większe prawdopodobieństwo, że ktoś, kto posiada istotne dla śledztwa informacje, zgłosi się z nimi na policję.

Dziewczyny milczą przez chwilę, a ja mocniej zaciskam palce na kierownicy w oczekiwaniu na kolejne, nieuniknione pytanie.

– Dlaczego ta pani powiedziała, że w lesie znaleziono ciało? – dopytuje Sage niskim, ledwie słyszalnym głosem.

Chrząkam i biorę głęboki wdech. Nie tak miało to wyglądać – zamierzałam poczekać, aż wrócimy do domu, ale wygląda na to, że klamka zapadła.

– Policja faktycznie znalazła ciało, ale tożsamość ofiary nie została jeszcze potwierdzona. Poinformują nas, gdy tylko się czegoś dowiedzą.

Pokonujemy blisko pięć kilometrów, nim ktokolwiek się odzywa.

– Jak myślisz, kiedy będą wiedzieli, że to mama albo Evie? – pyta Wren. W jej głosie słychać napięcie.

– Skarbie, powiem wam, jak tylko się czegoś dowiem, dobrze? – obiecuję.

Zbliżając się do zakrętu, zwalnim i zerkam przez ramię. Widzę ich kościste palce splecione w uścisku. Wren wygląda przez szybę. Droga do domu upływa nam w ciszy, nie licząc grającego rockowe przeboje radia satelitarnego w tle.

Po przyjeździe wprowadzam auto do garażu i otwieram bagażnik. Najwyraźniej Bant pojechał gdzieś swoim samochodem, bo miejsce obok jest puste. Dopiero po wniesieniu we trójkę wszystkich toreb z zakupami przypominam sobie o piątkowych telefonach pod numer kierunkowy 212 wykonywanych przez niego między dziewiątą a dziesiątą rano.

– Może pójdziecie na górę trochę odpocząć? – proponuję, mając nadzieję, że nie wyczują zdenerwowania w moim głosie.

Sage siada z klapnięciem przy kuchennym stole. Trzy opakowania

słodczy leżą przed nią niczym cenne skarby. Wren znikła za rogiem. Na schodach dają się słyszeć odgłosy jej kroków, cichnące w miarę oddalania się. Nie mija nawet chwila, a Wren wraca.

– Nicolette! – woła, zdyszana i wyraźnie zaniepokojona.

– Tak? – Kładę na blacie karton odtłuszczonego mleka. – O co chodzi, Wren?

– Moje rysunki. Te, które zostawiłam w gabinecie Branta. Nie ma ich. Ani tych, które trzymałam w pokoju. One... zniknęły.

Wren

Zabrał je.

Jestem tego pewna.

Tylko dlaczego? Na co Brantowi rysunki mojej mamy i Evie?

– Gdzie on może być? – pytam stojącą przy blacie Nicolette.

– Nie wiem, skarbie. Może poszedł pobiegać? – Składa papierową torbę i odsuwa ją na bok.

Bierze karton mleka i wkłada na półkę w lodówce, odwracając się do mnie plecami. Może to dla niej nic takiego, ale dla mnie to bardzo ważne – szczególnie biorąc pod uwagę sposób, w jaki oglądał wcześniej rysunek Evie, po czym wyszedł z pokoju, jak gdyby nigdy nic.

– Kiedy wróci?

Nadal stojąc do mnie plecami, Nicolette zamyka drzwi lodówki, opierając dłoń na uchwycie.

– Zwykle dość szybko. Jestem pewna, że lada chwila wróci.

Jej odpowiedź nie uspokaja mnie tak, jak na to liczyłam.

– Jesteś pewna, że nie położyłaś ich gdzie indziej? – Nicolette sięga po następną torbę, wyciąga z niej produkty i ustawia je na blacie. – Nie twierdzę, że ci nie wierzę, ale nie rozumiem, po co Brant miałby zabrać ci coś tak... osobistego.

Kątem oka przyglądam się Sage, która zatopiła się we własnym świecie, rozrywając kolorowe opakowania i napychając usta słodyczami tak, jakby miały one zniknąć, jeśli nie zje ich wystarczająco szybko. Przypomina mi to sposób, w jaki zajadała się ciągutkami.

– Spytamy go, jak tylko wróci – mówi Nicolette, odwróciwszy się i zobaczywszy, że nie ruszyłam się z miejsca nawet na krok. – Jestem pewna, że ma doskonałe wyjaśnienie.

Coś w głosie Nicolette sprawia, że jej nie wierzę.

Nie sądzę, bym mogła mu zaufać.

Wątpię, by był dobrym człowiekiem.

Nicolette

Przycupnąwszy na skraju łóżka w jednym z gościnnych pokoi, wyglądam przez okno na drugim piętrze wychodzące na podjazd, przyciskając telefon do ucha i czekając na połączenie z operatorem. Muszę widzieć, kiedy Brant będzie wracał.

Łatwo było pozwolić, by sprawa z dziewczynami odwróciła moją uwagę od reszty problemów, ale kiedy Wren przyszła do mnie i powiedziała, że Brant zabrał z jej pokoju część rysunków, udałam, że to nic takiego, że na pewno istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie.

Brant by tak nie postąpił – nie Brant, którego znam.

– Dzień dobry – mówię, gdy pracownik telefonicznej obsługi klienta odbiera w końcu moje połączenie. – Chciałabym sprawdzić ostatnie pięć połączeń wychodzących na jednym z naszych numerów.

Kobieta po drugiej stronie słuchawki z początku milczy, jakby mnie oceniała, ale mam to gdzieś.

– Poproszę o kod dostępu.

– Gideon777.

– Którą linię telefoniczną chciałaby pani sprawdzić?

– Tę, której numer kończy się na 3-5-6-2 – mówię, ściskając mocno telefon.

– W porządku. Ma pani pod ręką kartkę i długopis?

– Tak – odpowiadam, sięgając po oprawiony w skórę terminarz i długopis, które wsadziłam pod pachę w drodze na piętro.

– Ostatni numer, pod który dzwoniono, to 2-1-2... – mówi, podając ten

sam kierunkowy do Nowego Jorku, który wielokrotnie pojawiał się na bilingu z zeszłego miesiąca. Wymienia resztę numerów, pod które dzwoniło ubiegłego wieczora, ale żaden nie jest podejrzany.

– Dziękuję – mówię i rozłączam się w połowie jej pytania o to, czy po zakończeniu rozmowy wezmę udział w ankiecie i odpowiem na pięć pytań.

Zadzwoił do niej.

Zrobił to, kiedy byłam w mieście z dziewczynami.

Rzucam telefon na łóżko, gapiąc się na numer. Przeczesałam włosy rękami i zaczynam chodzić w kółko po pokoju, oddychając łapczywie i próbując wymyślić sposób na to, jak i kiedy poruszyć ten temat, a także przewidzieć, jakie mogą być tego konsekwencje.

Siadam ponownie na łóżku i drżącą ręką sięgam po telefon. Dochodzę do wniosku, że istnieje tylko jedno wyjście z sytuacji.

Muszę do niej zadzwonić.

Najwyraźniej zamrożenie środków na koncie i robienie aluzji odnośnie do tego, że mam pełną świadomość „nieuczciwych” praktyk Branta, ani trochę nie powstrzymało go przed wymykaniem się z domu bez mojej wiedzy.

Wciskam *67, wybieram resztę numeru i wstrzymuję oddech.

Cztery sygnały później w słuchawce rozlega się wiadomość: „Dodzwoniłeś się do Beth. Zostaw wiadomość”.

Beth...

Czy to z nią mój mąż zrobił sobie dziecko?

Przechodzę przez pokój, jednym szarpnięciem otwieram drzwi i wparowuję do naszej sypialni. Otwieram jego szufladę ze skarpetkami, sięgam do samego końca, wsuwam dłoń pod organizer z czarnymi, wysokimi skarpetami od garnituru, które rzadko nosi... i natrafiam na pustkę.

Wyciągam całą zawartość, rozrzucając rzeczy na komodzie, dopóki szuflada nie jest zupełnie pusta – i właśnie taka jest. Pusta.

Zdjęcie dziewczynki zniknęło.

Żołądek wywraca mi się na drugą stronę, a w gardle czuję posmak żółci. Biegnę do łazienki i klękam przy sedesie, wstrząsana odruchem wymiotnym. Żołądek mam zaciśnięty w supeł. Rozpaczliwie próbuję zaczerpnąć tchu.

Muszę natychmiast przestać drążyć, węszyć i opóźniać to, co nieuniknione, w imię znalezienia jakiegoś niepodważalnego dowodu. Ilu dowodów jeszcze potrzebuję? Na co ja właściwie czekam? Na dowód tego, że się mylę? Że to wszystko to tylko jedno wielkie nieporozumienie?

Brant nie bez powodu podprowadzał moje pieniądze z funduszu, ukrywał przede mną tę dziewczynkę i rozmawiał co piątek z kobietą o imieniu Beth, gdy nie było mnie w domu.

Dowiem się prawdy. Bezpośrednio ze źródła.

Dopada mnie fala mdłości, zmuszająca do pozbycia się całej zawartości żołądka. Wraz z nią odchodzą moje godność i duma. Wycieram kąciki ust kawałkiem papieru toaletowego.

A zatem to koniec.

Wygląda na to, że nie będzie nam dane dożyć wspólnej starości i być jak ci pulchni, białowłosi staruszkowie, rozpieszczani corocznymi wakacjami w tropikach. Skończy się na tym, że Brant wróci do Nowego Jorku do swojej nowej rodziny, o którą postarał się za moimi plecami, a ja zacznę wszystko od początku, sama i wyniszczona emocjonalnie.

Pisk alarmu przy drzwiach frontowych mówi mi, że Brant wrócił do domu. Biegnę z powrotem do sypialni i układam jego skarpetki na miejscu, upewniając się, że zawartość szuflady wygląda jak poprzednio.

Oglądam się w lustrze, poprawiam włosy i schodzę na dół, by w końcu stawić czoła prawdzie.

Wren

Leżąc na kanapie w salonie, który Nicolette nazywa „pokojem rodzinnym”, czytam jedną z jej książek w miękkiej oprawie. Historia opowiada o kobiecie, która mści się na swoim mężu za to, że ją zdradził. Bohaterka pozoruje własne „porwanie” oraz śmierć, i próbuje go w nie zrobić.

Palce drżą mi z ekscytacji, gdy pochłaniam stronę za stroną, nie mogąc się nimi nasycić. Nigdy nie czytałam czegoś tak wciągającego i pomysłowego. Nie znałam też pojęcia „porwania”, dopóki nie przeczytałam o nim w tej książce.

To jest dokładnie ten rodzaj książki, który mama spaliłaby w kominku. Dzięki temu, że jestem pochłonięta czytaniem, nie muszę myśleć o zwłokach, które znaleziono w lesie.

Sunąc wzrokiem po tekście na następnej stronie, zaczynam się zastanawiać, czy mama byłaby zdolna do tego, co zrobiła bohaterka o imieniu Amy.

Zdecydowałam dziś, że moje wspomnienia o domu z miękkimi podłogami, które łaskotały moje bose stopy, oraz ścianami z kwiatowym wzorem – te, o których mama mówiła, że są fałszywe – to prawda. Gdy zacisnę mocno powieki i skoncentruję się wystarczająco mocno, prawie słyszę przenikliwy dzwonek żółtego telefonu wiszącego na ścianie w kuchni. Wydawał z siebie ten sam dźwięk, co iPhone Branta, gdy ktoś do niego dzwoni.

Dom w moich wspomnieniach miał osobne pomieszczenia, pokoje z drzwiami – jak u Nicolette, tyle że mniejsze. Nie był jedną wielką izbą jak nasza stara chata. Miałam w nim własny pokój, z różowymi zasłonami

i białym łóżkiem z czymś na wierzchu. Jakąś płachtą materiału. Nie bardzo wiem, co to było, ale dzięki temu czułam się bezpieczna i chroniona.

Jakim cudem byłabym w stanie wyobrazić sobie coś takiego, gdybym wcześniej tego nie widziała? To musiało być prawdziwe. Nie ma innego wytłumaczenia.

Sama myśl o tym przyprawia mnie o ściskanie w piersi i wypełnia poczuciem przynależności – niepodobnym do niczego, co kiedykolwiek czułam.

Nie wiem, co to oznacza. Wiem jedynie, że jest prawdziwe, a mamy tu nie ma, więc nie może mi wmówić, że jest inaczej.

Odwracam następną kartkę, a po chwili słyszę głos Branta.

Wrócił do domu.

Kładę książkę na niewielkim stoliku obok kanapy i wychodzę z salonu, zastając męża Nicolette w korytarzu, gdy wieszka w szafie płaszcz.

– Co zrobiłeś z moimi rysunkami? – wyrzucam z siebie to palące pytanie.

Odwraca się w moją stronę, puszczając oko.

– Miałem nadzieję, że niczego nie zauważysz.

Na twarzy Branta pojawia się szeroki uśmiech, który widać też w jego oczach. Ja się nie uśmiecham.

– Gdzie one są?

– Liczyłem na to, że cię zaskoczę – mówi, podchodząc do mnie z uniesionymi rękami. – Zawiozłem je do miasta, żeby je oprawić. Powinny być gotowe na poniedziałek.

– *Dlaczego?* – Stukam palcami w boki ciała.

– *Dlaczego?* Jeszcze pytasz? Wren, twoje rysunki są niesamowite! Chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak bardzo jesteś utalentowana. Twoje prace zasługują na to, by się nimi chwalić i je wystawiać.

Przekrzywiam głowę w bok i przyglądam mu się spod zmrużonych oczu.

– Skąd wiedziałeś o rysunkach w moim pokoju? – pytam. Z tego, co wiem, ani razu nie przekroczył progu pokoju gościnnego, który dzielę z siostrą.

Brant parska nosowym śmiechem, opierając dłonie na biodrach.

– Przechodziłem obok niego. Drzwi były otwarte. Zobaczyłem, jak leżą na komodzie... Przepraszam. Gdybym wiedział, że tak cię to zdenerwuje, nigdy bym tego nie zrobił.

– Co się dzieje?

Nicolette stoi u stóp schodów i zaciska dłoń na poręczy, przeskakując pomiędzy nami spojrzeniem swych ciemnoniebieskich oczu. Twarz ma bledszą niż zwykle, a jej włosy są lekko rozczochrane.

Brant odwraca się do żony.

– Wziąłem rysunki Wren, żeby oprawić je w sklepie z ramkami. Chciałem zrobić coś wyjątkowego... no wiesz, jak artysta dla artysty.

Nicolette przygląda mu się badawczym wzrokiem. Nie jestem w stanie określić, czy mu wierzy, czy nie.

Brant odwraca się z powrotem w moją stronę.

– Jeśli chcesz, możemy wybrać się razem do miasta i je odebrać.

Wypuszczając powietrze z płuc, pozwalam ramionom opaść bezwładnie po bokach mojego ciała. Jeśli Brant faktycznie próbował zrobić dla mnie coś miłego, to w tym momencie wyszłam na nieuprzejmą. W końcu to on powiedział mi, że bym nie wstydziła się chwalić swoimi pracami. Najwyraźniej po ostatnich rewelacjach, które ujrzały światło dzienne, osądzanie innych przychodzi mi zbyt łatwo.

– Przepraszam – mówię, nie chcąc sprawiać kolejnych kłopotów. – Zareagowałam zbyt przesadnie. Jestem bardzo przywiązana do swoich prac.

– Ja również. Nie przejmuj się – odpowiada Brant, machnąwszy pobłażliwie ręką. – Doskonale cię rozumiem.

Idę do salonu, zostawiając ich samych u stóp schodów przy szafie na płaszcze. Wracam do przerwanej lektury, w której nikt i nic nie jest takie, jakie się wydaje.

Dzięki Bogu to tylko fikcja.

Nicolette

Gdyby sprawy miały się inaczej, nasz weekend upływałby w miłej atmosferze. Uczyłabym dziewczyny, jak zamawiać pizzę przez telefon i grać w kości oraz inne planszowe klasyki, takie jak Monopoly czy Scrabble. Zademonstrowałabym działanie takich cudów techniki, jak pralka i suszarka, a nawet wprowadziła w ostatnie dwie dekady najlepszej muzyki pop. Do tego kilka filmów animowanych Disneya, w międzyczasie malowanie paznokci i przeglądanie magazynów modowych.

Gdyby sprawy miały się inaczej, mogłabym zwrócić im choć część dzieciństwa i wieku dojrzewania. Lada dzień poznamy tożsamość kobiety z lasu, a im przydałaby się choćby odrobina wytchnienia od nieustannie spływających na nie tragicznych wieści.

Zamiast tego stoję twarzą w twarz z moim uganiającym się za spódniczkami mężem.

– Hej – mówi, wpychając telefon do kieszeni.

Taksując wzrokiem jego strój składający się z dzinsów i koszulki polo, pytam:

– Nie biegałeś dziś rano?

Brant wzrusza ramionami.

– Mam dzień odpoczynku.

Krzyżując ramiona na piersi, pytam:

– Jakie masz teraz plany?

Zerka w kierunku schodów.

– Muszę zrobić parę rzeczy.

Mój mąż uśmiecha się, po czym mija mnie i zaczyna wchodzić po schodach. Chwilę później patrzę, jak wyciąga telefon z kieszeni dzinsów, sprawdza go szybko i wsuwa z powrotem na miejsce.

Odkąd tylko pamiętam, Brant zawsze pracował w „trybie samolotowym”. Zero internetu i absolutnie żadnych telefonów.

Bez wyjątku.

– Czekasz na jakiś ważny telefon?

Parska kpiącym śmiechem.

– Co?

– Zabierasz telefon do swojej pracowni.

Gdy odwraca się do mnie twarzą, widzę jego delikatnie rozszerzone nozdrza.

– Owszem, tak się składa, że czekam na ważny telefon.

Mam wrażenie, jakby moja skóra stanęła w ogniu. Pokój zaczyna mi wirować przed oczami, ale wiem, że muszę to zrobić.

– Od Beth z Nowego Jorku? A nie, chwileczkę. Przecież rozmawiasz z nią wyłącznie w piątkowe poranki, między dziewiątą a dziesiątą. Wtedy, kiedy nie ma mnie w domu. No tak...

– Nick...

Nie chcę wszczynać kłótni w zasięgu słuchu dziewczyn, więc wchodzę na schody i przeciskam się obok niego. Jeśli ma w głowie choć odrobinę rozsądku, to za mną pójdzie.

I faktycznie to robi.

Gdy tylko wchodzimy do naszego pokoju, zamykam drzwi i odwracam się w jego stronę.

Na jego twarzy wyraźnie widać ślad paniki – jest na niej wręcz odcisnięty.

Został przyłapany na gorącym uczynku. To koniec. Całe nasze życie... przepadło.

– Kiedy zamierzałeś mi o tym powiedzieć? – pytam, walcząc z cisnącymi się do oczu łzami.

– Kiedy uznałem, że będziesz gotowa usłyszeć prawdę.

– Chyba żartujesz? Kim ty jesteś, żeby decydować o tym, kiedy *ja* będę gotowa?

– Bo za dobrze cię znam, Nick. I wiem, przez co przeszłaś.

– Na litość boską, nie jestem pieprzoną figurką ze szkła. – Przykładam dłonie do skroni, na moment zaciskając mocno powieki. – Od jak dawna to trwa?

Otwiera usta, by odpowiedzieć, ale przerywam mu.

– Dlaczego wysyłałaś jej pieniądze z *mojego* funduszu powierniczego?

– Bo wyczerpałem wszystkie swoje oszczędności – przyznaje, osuwając się na skraj łóżka i chowając głowę w dłoniach. Wygląda na bardziej wyczerpanego niż winnego. Może utrzymywanie w tajemnicy sekretu takiego kalibru daje się fizycznie we znaki, ale w tej chwili mało mnie to obchodzi.

Gdy tylko uzyskam odpowiedzi na swoje pytania i zakończymy nasz związek, nie chcę go więcej oglądać na oczy. Nie chcę nawet wypowiadać na głos jego imienia ani zaprzętać sobie nim głowy.

– Nie rozumiem, dlaczego nie masz w ogóle wyrzutów sumienia – mówię, wybuchając pełnym niedowierzania śmiechem. – To, co zrobiłaś, jest... po prostu nie mam na to słów, Brant. To przekracza wszystko, czego mogłabym się po tobie spodziewać.

Podnosi na mnie wzrok. Przez chwilę jego usta poruszają się bezgłośnie.

– Jak dużo wiesz? Co dokładnie?

– Wiem o pieniądzach, rozmowach telefonicznych, tamtej kobiecie... i o córce.

Brant przejeżdża lewą dłonią po twarzy. Mój wzrok przykuwa błysk nic nieznaczącej obrączki na jego palcu.

– Ile ona ma lat? – pytam.

Odwraca się w moją stronę.

– Dziewięć.

Czuję pod powiekami nieoczekiwane ukłucie łez.

– Dziewięć? – szepczę, robiąc krok w tył. – *Dziewięć?*

Mój oddech przyśpiesza, a ciało staje się ciężkie. Oczy palą mnie od łez, ale jestem zbyt otępiała z szoku, by się rozplakać. Jak mogłam o tym nie wiedzieć?

– Dlaczego ze mną zostałeś?

Brant patrzy na mnie z wysoko uniesionymi brwiami, jakbym właśnie

obrazila go jakimś idiotycznym pytaniem.

– A dlaczego miałbym nie zostać? Jesteś moją żoną. Kocham cię.

Parskam kpiącym śmiechem i odwracam wzrok.

– Naprawdę wzięłaś sobie te obietnice do serca, co?

Brant wstaje z łóżka, podchodząc do mnie ze zmarszczonym czołem.

– Nicolette, o czym ty w ogóle mówisz?

Jego dezorientacja pogłębia moją, ale zanim udaje mi się cokolwiek powiedzieć, słyszę pukanie do drzwi naszej sypialni.

– Nicolette?

To Wren.

Biorąc się w garść, wymieniam się z mężem spojrzeniami, po czym idę otworzyć drzwi.

– Hej, skarbie. Wszystko dobrze?

– Zastępczyni szeryfa May jest na dole. Powiedziała, że musi z nami porozmawiać. Z nami wszystkimi.

Wren

– Napije się pani kawy?

Nicolette chodzi po salonie, a jej palce poruszają się tak szybko, jakby dziergała sweter na drutach. Bierze głębokie wdechy, jeden za drugim, ale ani razu nie usłyszałam, żeby wypuszczała powietrze z płuc.

Zastępczyni May unosi rękę, po czym kładzie ją na pasku owiniętym wokół bioder.

– Nie, dziękuję.

Sage i ja siadamy na środku sofy. May mówi, że pracownica opieki społecznej, którą w ubiegłym tygodniu spotkałyśmy w szpitalu, jest już w drodze. Nie widziałam jej od tamtego czasu i nie pamiętam, jak ma na imię – kojarzę tylko to, że pachniała intensywnie bzem i talkiem.

– Właśnie przyjechała – mówi Brant i idzie otworzyć drzwi. Chwilę później kobieta o puszystych, brązowych włosach i zmęczonych oczach zajmuje miejsce obok May. Nicolette siada obok Sage, a Brant obok mnie.

– Dziewczęta, pamiętacie panią Sharon Gable? – pyta May.

Kiwam głową, wdychając ciężki zapach, który rozchodzi się po pokoju.

Kolano Sage podryguje nerwowo. Kładę dłoń na jej udzie, aby je unieruchomić.

– Kilka dni temu – mówi Sharon, starannie dobierając słowa – funkcjonariusze policji natknęli się w lesie na ciało kobiety. Byli w stanie porównać jej materiał genetyczny z DNA znalezionym w waszej chacie. – Urywa, przelękając ślinę. – Przykro mi to mówić, ale analiza wykazała, że do siebie pasują.

Zerkam na Nicolette.

– Co to właściwie znaczy?

May robi krok naprzód.

– Że waszej matki nie ma już wśród nas.

Sage patrzy na mnie, więc ją obejmuję, pozwalając jej oprzeć głowę na swoim ramieniu, które tłumi jej szloch. Myślę, że moja siostra w głębi duszy, pomimo swojej prostoduszności, tak samo jak ja zdawała sobie sprawę z tego, że nasze życie już nigdy nie będzie takie jak dawniej.

Pomimo wszystkich swoich wad, mama nigdy by nas nie porzuciła.

To dziwne, ale... niczego nie czuję.

Żadnego smutku, żadnej ulgi, rozpacz czy żalu.

Czy takie odrętwienie jest normalne?

– Na pewno jesteście w szoku – mówi May – ale jeśli chcecie, możemy oddać was pod opiekę psychologa... kogoś, z kim będziecie mogły porozmawiać.

– Co z Evie?

May wyraźnie się waha.

– Nadal jej szukamy.

– To nie wszystko – wtrąca Sharon, kładąc dłoń na ramieniu May.

May nie patrzy w naszą stronę.

– To znaczy? – pytam. – O co chodzi?

– Pamiętacie badanie DNA, które zrobiono wam w szpitalu? Wtedy gdy pielęgniarka specjalnym patyczkiem pobrała próbki z wewnętrznej strony waszych policzków?

– Tak – mówię załamującym się głosem. Moje serce zamiera. Moja nadzieja gaśnie. Wyrazu twarzy May, zwykle stanowczego i pełnego determinacji, teraz nie da się odczytać. Cokolwiek ma nam do powiedzenia, to nie są dobre wieści.

– Laboratorium nie było w stanie potwierdzić zgodności materiału genetycznego twojego i twojej mamy – wyjaśnia, a jej twarzy wykrzywia się w grymasie. – Mało tego. Technicy nie byli w stanie potwierdzić zgodności między wami.

– Co to właściwie znaczy? – Dopiero w szpitalu pierwszy raz usłyszałam o czymś takim jak DNA. – Że nie jesteśmy siostrami?

Łzy napływają mi do oczu, ale nie pozwalam im popłynąć, nie przy Sage.

– Wren. – Sage podnosi głowę. Czubek jej spiczastego nosa jest zaczerwieniony, a oczy ma szkliste.

Sharon przytakuje.

– Przykro mi, ale to prawda. Nie jesteście ze sobą spokrewnione.

– Jakim cudem? – pyta Brant.

– Nadal próbujemy to ustalić – mówi May. – Zwykle zaczęlibyśmy od sprawdzenia rejestrów adopcyjnych, ale nie mając nazwisk ani potwierdzonych dat urodzenia, znalezienie ich jest praktycznie niemożliwe.

Nicolette zakrywa dłonią usta i nos. Jeszcze ani razu się nie odezwała.

– Co dalej? – dopytuje Brant.

May nie spuszcza z nas wzroku, odpowiadając na jego pytanie.

– Następnym krokiem będzie przepuszczenie wyników analizy DNA dziewczyn przez bazę danych Narodowego Centrum ds. Zaginionych i Wykorzystywanych Dzieci oraz sprawdzenie, czy uda nam się coś znaleźć. W tej chwili przeprowadzane są testy DNA na kosmykach włosów znalezionych w chacie, które prawdopodobnie należą do najmłodszej dziewczynki. Skontaktowaliśmy się również z rodzinami dzieci, które zaginęły w tej okolicy. Sprawdzamy, czy uda nam się znaleźć jakieś powiązania.

Nicolette odwraca się do nas i poklepuje pocieszająco po dłoniach.

– Bardzo mi przykro. To musi być dla was druzgocąca wiadomość.

– Sage – mówię, szturchając ją łokciem, aż ta w końcu podnosi na mnie wzrok. – Nie obchodzą mnie wyniki jakichś głupich testów. Nadal jesteśmy siostrami.

Sage uśmiecha się nieznacznie, po czym na powrót kładzie głowę na moim ramieniu. Przytulam ją mocno, przekonana, że im mocniej to zrobię, tym bardziej przekonam ją o tym, że nigdzie się stąd nie ruszę. Że nigdy nie pozwolę jej odejść.

– Myśli pani, że... – mówię, ale słowa więzną mi w gardle. – Myśli pani, że mama nas *porwała*?

To słowo brzmi obco w moich ustach. Nie znałam jego znaczenia, dopóki nie zaczęłam czytać tamtej książki.

May wzrusza ramionami, wahając się.

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie, Wren. Przynajmniej na razie.

– Istnieje szansa, że zostaliście legalnie adoptowane – mówi Sharon, przyglądając się nam uważnie, jakby oczekiwała po nas nie wiadomo jakiej reakcji. – Istnieje też ryzyko, że wcale tak nie było... a w tym przypadku mogą was szukać członkowie rodziny. Rodziny, która od dawna próbowała was odnaleźć.

– Dwóch... różnych... rodzin – dodaję miękkiem szeptem, ale powaga tych słów jest namacalna.

– Nie wszystko na raz – mówi Brant.

– Właśnie – kontynuuje Sharon, składając dłonie jak do kłaśnięcia. – A teraz... powiedzcie mi, kiedy będziecie chciały pożegnać się z mamą.

Gdyby to zależało ode mnie, to nigdy.

Mama była oszustką. I wielce prawdopodobne, że była też najgorszym możliwym typem złodzieja.

Jakim cudem mama, kobieta, która płakała całymi dniami, gdy puma uciekła do lasu z jednym z naszych nowo narodzonych koźlątek, mogła ukraść czyjeś dziecko?

Byłam skłonna dać jej kredyt zaufania, ale teraz to niemożliwe. Nie ma jej tutaj, więc nie może się wytłumaczyć, co zrobiła ani dlaczego. Pozostał po niej jeden wielki bałagan składający się wyłącznie z pytań bez odpowiedzi.

Zawsze wydawało mi się nieco dziwne, że któregoś wieczora mama poszła na spotkanie z Panem i wróciła do domu z wózkiem wyładowanym zapasami i płaczącym dzieckiem zawiniętym w kocyk zrobiony z jaskraworóżowego, mięciutkiego materiału, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Miałam wtedy jakieś dziesięć lat i nie wiedziałam nic o sposobie, w jaki rodziły się ludzkie dzieci. Cieszyłam się na myśl o posiadaniu żywej laleczki, którą mogłam ubierać, przewijać i karmić, a kiedy mama oznajmiła, że to nasza nowa siostrzyczka i że zostanie z nami już na zawsze, nie miałam powodu, by kwestionować jej decyzję.

Wiele lat później próbowałam wyszukać informacje na temat „ciąży i porodu” w jednej z ksiązek medycznych mamy, ale poświęcony temu zagadnieniu rozdział zniknął – zupełnie jakby został z niej wyrwany. Cały następny rok zbierałam się na odwagę, by spytać mamę, skąd się biorą

dzieci. Kiedy się odważyłam, obierała kukurydzę obok szopy w ogrodzie. Dłonie miała pokryte żółtymi, kukurydzianymi wąsami, a czoło mokre od potu. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się, mówiąc: „Są darem, Wren – darem od Boga. A dary przychodzą do nas pod różnymi postaciami. To wszystko, co musisz wiedzieć”.

Sage podnosi głowę z mojego ramienia.

– Możemy ją zobaczyć?

– Obawiam się, że nie – mówi May. – Jej ciało było zbyt długo narażone na czynniki zewnętrzne.

– To znaczy? – pytam.

– Co najmniej dwa miesiące, może dłużej. Musiałabym sprawdzić raport koronera.

– Co jej się stało? – Moje pytanie przykuwa spojrzenia wszystkich, łącznie z Sage, ale muszę wiedzieć.

Zastępczyni szeryfa chrząka dyskretnie.

– Uraz głowy spowodowany tępym narzędziem.

– Co... co to właściwie znaczy? – pytam, patrząc na Branta, potem na Nicolette, a potem na May.

Brant otwiera usta, by coś powiedzieć, ale May mu przerywa.

– Mówimy tak, gdy jedna osoba uderza drugą w głowę jakimś przedmiotem.

Sage krzywi się mimowolnie. Próbuję powstrzymać rodzące się w myślach obrazy.

– Wychodzi na to, że ktoś zabił ją krótko po tym, jak nas zostawiła – mamrocę pod nosem, próbując poskładać wszystko w jedną całość. – Ktoś zabił mamę i porwał Evie. – Zrywam się z miejsca. Nagle zaczyna mi brakować powietrza. – Gdy nas opuszczały, Evie była chora. *Strasznie* chora. O mój Boże.

Przyciskam dłoń do czoła i zaciskam powieki, próbując nie myśleć o najgorszym. Evie potrzebowała opieki medycznej, a skoro mamie nigdy nie udało się zabrać jej do lekarza... to kto wie, co się z nią stało?

– Jak już wspominałam – zapewnia mnie May – nie spoczniemy, dopóki jej nie znajdziemy.

Nicolette

Po tym, jak May i Gable odjeżdżają, zostaję sama z dziewczynami. Wyraz twarzy Wren jest nieodgadniony. Wbija nieruchomy wzrok w podłogę. Oddałabym wszystko, by móc wiedzieć, co dzieje się teraz w jej głowie, choćby tylko po to, by jej pomóc. Sage ani na chwilę nie przestała płakać, z twarzą ukrytą w dłoniach. Brant nie odezwał się słowem, ale wyszedł na moment z salonu, żeby przynieść pudełko chusteczek z drugiego pokoju.

Współczuję im bardziej, niż myślałam, że to możliwe. Ledwie się znamy, ale ich cierpienie jest prawdziwe, namacalne i zaraźliwe.

Jedyna matka, jaką znały, nie żyje.

Evie w dalszym ciągu nie udało się odnaleźć.

Ich cały świat został wywrócony do góry nogami.

Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, co przeżywają, więc siadam między nimi i w cichym geście współczucia obejmuję rękami ich szczupłe ramiona.

– Sage, powinnaś odpocząć – mówi Wren, wstając z kanapy. Bierze siostrę za rękę i prowadzi ją na górę, a ja słyszę, jak mówi: – Jeśli chcesz, mogę cię utulić tak, jak to robiła mama.

Gdy obie znikają na piętrze, Brant i ja patrzymy na siebie z drugiego końca pokoju, doskonale wiedząc, że musimy dokończyć zaczętą pół godziny temu rozmowę.

– Przykro mi, że muszę poruszać temat... – zaczyna mój mąż – ... szczególnie po tym, co się przed chwilą stało, ale uważam... uważam, że jesteś w błędzie.

Krzyżując ramiona na piersi, pytam:

– Tak? Niby dlaczego?

– Naprawdę myślałaś... że cię *zdradzam*?

Jego twarz wykrzywia grymas, jakby rozmawianie o tym sprawiało mu ból. Jakby szykował się do odegrania roli ofiary nieszczęśliwego nieporozumienia.

Gównu prawda.

– Inaczej po co byś wysyłał pieniądze kobiecie o imieniu Beth i ukrywał zdjęcie dziewczynki, która wygląda zupełnie jak ty? Masz mnie za idiotkę?

Najwidoczniej tak, bo przez dziewięć cholernych lat skutecznie mydlił mi oczy.

Kącik ust Branta unosi się nieznacznie, ale tylko na sekundę.

– Nick... – Podchodzi do mnie z wyciągniętymi rękami. Chwilę później kładzie dłonie na moich ramionach. – *Wszystko pomieszałaś*.

– No to mnie oświeć.

– Ta dziewczynka... jest *nasza*.

Wyrywam się z jego uścisku. Kłamie. To niemożliwe. Przez moją głowę przelatują tysiące pytań, mieszając się ze sobą i tracąc siłę z powodu narastającego gniewu. Jeszcze nikt mnie tak nie znieważył w całym moim życiu. Jeżeli mu się wydaje, że kiedykolwiek w to uwierzę, to jest najbardziej bezczelnym manipulantem na świecie.

Moje ciało ogarnia niemożliwe do zniesienia napięcie. Chcę spojrzeć Brantowi prosto w oczy, ale nie mogę. Sama myśl o tym sprawia, że mój żołądek zaciska się w tysiąc malutkich supłów. Każdy z nich jest bolesnym przypomnieniem tego, że moje życie – nasze życie – było kłamstwem.

– A Beth z Nowego Jorku jest agentką FBI, która zajmuje się naszą sprawą – tłumaczy, wyraźnie zdeterminowany, by ciągnąć tę szopkę. – Robi to od samego początku. Zna całą historię.

– Chyba kompletnie oszalałaś, jeśli myślisz, że w to uwierzę.

Przyciągnięta rzadko pojawiającą się w głosie Branta desperacją, zmuszam się, by na niego spojrzeć. Unosi na moment dłonie, po czym pozwala im opaść bezwładnie na boki. To mnie powinno odjąć mowę. Nie jemu.

– Przeszłam zabieg usunięcia macicy – przypominam mu na wypadek, gdyby zapomniał. – Nie mogę zająć w ciążę.

– Ale *byłaś* w ciąży. Jeden, jedyny raz – mówi niskim, łagodnym głosem. Podchodzi i przytula mnie do siebie, pomimo moich skrzyżowanych na piersi rąk. – Nie wiedziałaś o tym. Ja też nie wiedziałem. To był jeden z tych... sam nie wiem, jak to nazwać... jeden z tych rzadkich medycznych przypadków, kiedy nadal ma się miesiączki. Myślałaś, że zwyczajnie przytyłaś parę kilo. Przy twoim wzroście i tak nie było nic widać. Tak czy inaczej, zaraz po porodzie dostałaś krwotoku. Lekarze nie mogli go zatamować... To dlatego poddali cię histerektomii.

Wciągam do płuc jego piżmowy zapach. Brant przygląda mi się, jakby czekał na zielone światło, że coś zaświta mi w głowie, na jakiś znak, że coś pamiętam, że mu wierzę. Nie odsłaniam jednak kart, nie chcąc wyjść na naiwniaczkę. Nie chcę trzymać się kurczowo tej naciąganej teorii tylko dlatego, że mąż patrzy na mnie ze szczerością w szklących się od łez oczach.

– Któregoś wieczoru wróciłem do domu po załatwieniu jakichś spraw na mieście. Zostałem cię w łazience, leżącą na podłodze w kałuży własnej krwi i nieprzytomną. To była najstraszniejsza chwila w moim życiu, Nick. Zadzwoiłem pod 911. – Patrzy w bok, żując wewnętrzny kącik ust i na chwilę pogrążając się w myślach. – Po dotarciu do szpitala okazało się, że zaczęłaś rodzić.

– Jak to możliwe, żeby matka nie pamiętała narodzin własnego dziecka?

Pytam nie tylko Branta, lecz także siebie. Zamykam oczy i próbuję przywołać w pamięci jakieś wspomnienie. Cokolwiek. Mam w głowie pustkę. Niczego nie pamiętam.

– Byłaś w szoku. Co chwilę traciłaś i odzyskiwałaś świadomość. Mogłaś umrzeć. *Ona* również. W ułamku sekundy zmieniło się całe nasze dotychczasowe życie. Stwierdzenie, że to było wręcz nierealne, byłoby grubym niedopowiedzeniem. Pod wieloma względami to było jak sen. Czasami nadal odnoszę takie wrażenie.

– Wzięłam ją na rękę? – pytam. Nie to, że mu wierzę, ale na wszelki wypadek wolę zapytać. To może mi pomóc odświeżyć pamięć. – Po tym, jak się urodziła?

Zielone oczy Branta wilgotnieją.

– Tak, Nick. Wzięłaś ją na rękę. – Mina mu rzednie. Chrząka niepewnie.

– Wtedy zaczęłaś krwawić. Lekarze nie mogli zatrzymać krwotoku. Następną rzeczą, jaką pamiętam, były wbiegające do pokoju pielęgniarki, które zawiozły cię do sali operacyjnej na natychmiastowe usunięcie macicy.

– Nie rozumiem, dlaczego nie jestem w stanie sobie *niczego* przypomnieć – mówię – choć staram się ze wszystkich sił.

Robię, co mogę, by przedrzeć się przez spowijającą mój umysł mgłę, z której istnienia nie zdawałam sobie sprawy – do której istnienia nadal nie jestem w pełni przekonana. Przykładam dłoń do brzucha, jakby to miało mi pomóc w odzyskaniu wspomnień. W poczuciu czegoś, co do tej pory było mi obce.

Na próżno.

Brant przygląda mi się, stojąc po drugiej stronie pokoju.

– Wiem, dlaczego tak jest.

– Wydaje mi się, że każda kobieta zapamiętałaby coś takiego jak poród.

– Nic nie rozumiesz. Byłaś w szoku. Pod względem fizycznym i emocjonalnym. Byłaś wyczerpana. Doznałaś poważnego uszczerbku na zdrowiu.

Cofam się o krok i parskam krótkim, pełnym niedowierzania śmiechem.

– Wybacz... ale to wszystko po prostu...

Nie kończę zdania. Nie muszę. Brant wie, że nie wierzę w tę bajeczkę.

– Mogę ci pokazać dokumentację medyczną. Mam w pracowni kopię twoich akt – trzymałem ją na... tę... okoliczność. – Jego oczy mają błagalny wyraz, a przystojna twarz wykrzywia się z bólu. – Zapytaj Cate. Albo porozmawiaj ze swoimi rodzicami. Powiedzą ci, co tylko będziesz chciała wiedzieć.

– Cate o wszystkim wiedziała? Moi rodzice też? – pytam, podnosząc głos i czując ściskanie w gardle. Muszę pamiętać o tym, że na górze są dziewczyny. Nie ma potrzeby, aby wysłuchiwały naszych kłótni. Nie chcę ich niepotrzebnie denerwować. Już wystarczająco dużo wycierpiał.

– Tak, Nick. Oni wiedzą.

– Dlaczego wasza czwórka trzymała to przede mną w tajemnicy?

Przeczesałam dłonią włosy, odwracając się i z trudem łapiąc oddech z powodu ciężaru przygniatającego mi pierś. Brant podchodzi do mnie, powoli i ostrożnie.

– Kiedy zabraliśmy dziecko do domu, czasami zdarzało ci się o niej zapomnieć. Nie potrafiłaś sobie przypomnieć momentu narodzin małej. Musiałem ustawiać ci w telefonie przypomnienia, żebyś nakarmiła ją w trakcie mojej nieobecności. A potem zaczęłaś słyszeć głosy, które mówiły ci, że jesteś okropną matką, która nie zasługuje na własne dziecko.

Zakrywam usta dłonią, próbując wyobrazić sobie młodą i przerażoną kobietę, którą niegdyś byłam. Wydaje mi się kompletnie obca. Próba przywołania tamtych wspomnień jest niemożliwa, podobnie jak próba przeżycia czyichś wspomnień. Mimo to z całego serca jej współczuję.

– Bez przerwy płakałaś. A kiedy nie płakałaś, to spałaś. – Ściskając palcami grzbiet nosa, Brant kontynuuje: – Któregoś dnia, gdy wróciłem do domu po tym, jak pojechałem do miasta kupić więcej mleka modyfikowanego, zastałem cię na końcu podjazdu z wózkiem. Pomyślałem, że pewnie zabrałaś małą na spacer albo wyszłaś się przewietrzyć, ale uznałem, że to dziwne, bo miałaś dochodzić do siebie po operacji. Tamten dzień był wyjątkowo ciepły jak na tę porę roku. Kiedy jednak podszedłem bliżej, miałaś w oczach ten martwy wyraz, a gdy zajrzałem do wózka, okazało się, że jest pusty.

– O Boże.

Nawiedzające mnie latami koszmary wcale nie były koszmarami.

Ani metaforą mojej bezpłodności.

Były *wspomnieniami*.

– Wbiegłem do środka i przetrząsnąłem cały dom w poszukiwaniu Hannah – naszej córeczki – ale nie było po niej śladu.

Głos mu się łamie, a oczy zachodzą łzami. Nigdy wcześniej nie widziałam go takiego zdruzgotanego.

– Miała dopiero kilka dni.

Brant wypuszcza mnie z objęć. Siada na sofie i opiera łokcie o kolana.

Hannah.

Nie spuszczam wzroku z męża. Imię Hannah od zawsze było tym, które w głębi duszy pragnęłam nadać przyszłemu dziecku. Na wczesnym etapie związku, gdy rozmawialiśmy niezobowiązująco o posiadaniu potomstwa, wolałam nie wspominać, że już dawno wybrałam imiona dla dzieci. Hannah dla dziewczyny i Jonah dla chłopca. Pamiętam, że nie chciałam go

odstraszyć. Nie chciałam, by pomyślał, że jestem jedną z *tych* kobiet, które mają z góry wymyślony scenariusz na życie i tylko czekają, aż zjawi się jakiś facet, by odegrać w nim rolę męża.

Wydaje się zatem całkiem prawdopodobne, że gdybyśmy mieli córkę, należałabym na to, by nazwać ją Hannah.

Albo mamy do czynienia z wyjątkowo dziwnym zbiegiem okoliczności.

– Powiedziałaś, że oddałaś ją jakiejś kobiecie w parku obok lasu. Nie znałaś jej imienia. Nie pamiętałaś nawet, jak wyglądała. Powiedziałaś, że głosy w głowie kazały ci to zrobić.

Siadam obok niego.

– Zadzwoń do Cate i spytam ją o wszystko.

– Śmiało – mówi szybko, zaciskając jedną dłoń na kolanie. – Przekonasz się, że niczego nie zmyślam. Gdy będziesz rozmawiać, pójdę po twoje akta, żebyś mogła przejrzeć sprawozdania lekarzy, wyniki badań i oceny twojego stanu zdrowia.

Wsuwam kosmyk włosów za ucho i z trudem przełykam ślinę, czując narastającą gulę w gardle.

Brant jeszcze nigdy nie sprawdzał, czy blefuję.

Chce, żebym sprawdziła wszystko, czego przed chwilą się od niego dowiedziałam.

Domyślałam się, że z jego ramion spadł ogromny ciężar. Ciężar, który musiał dźwigać samotnie na swoich barkach przez niemal dziesięć lat.

– Zadzwoń do rodziców.

Niech wie, że mam zamiar wszystko sprawdzić, na wypadek gdyby okazało się, że wspólnie uknuli tę intrygę. Moi rodzice nigdy by mnie nie zdradzili.

– Oczywiście. Jak najbardziej. Czekaliśmy na odpowiednią chwilę, by ci o wszystkim powiedzieć. Cate od razu chciała wyznać całą prawdę. Razem z twoimi rodzicami podjęliśmy jednak decyzję, by poczekać. Mijały lata... a nam coraz łatwiej przychodziło zamykanie wszystkiego pod dywan. Hannah zniknęła. Co by dobrego wynikło z tego, że po tylu latach ujawnilibyśmy ci prawdę? I tak nie można było nic zrobić. Zmusiłoby cię to do przeżywania tej traumy na nowo. Już raz cię straciliśmy, Nick. Baliśmy się, że dojdzie do tego po raz kolejny.

Brant nakrywa dłonią moją dłoń i ściska ją lekko.

– Kto jeszcze o tym wie? – pytam, dotykając drżącymi palcami ust. Nie miałam pojęcia, że można odczuwać tak głęboki wstyd i poczucie winy z powodu czegoś, czego w ogóle nie pamiętam.

– Wszyscy, Nick. Wszyscy o tym wiedzą. Zgłosiliśmy jej zaginięcie. Twój rodzice natychmiast tu przyjechali. Cate przyleciała z samego rana. Całe miasto stanęło na głowie. Wszyscy mieszkańcy byli zaangażowani w poszukiwania.

Zaraz zwymiotuję.

Przez te wszystkie lata byłam nie tylko outsiderką – byłam wariatką, która oddała swoje nowo narodzone dziecko obcej kobiecie i żyła dalej w nieświadomości, jak gdyby nigdy nic.

Nic dziwnego, że wszyscy się na mnie gapią.

Nic dziwnego, że nie chcą mieć ze mną nic wspólnego.

Nic dziwnego, że kobieta ze sklepu spożywczego zdenerwowała się, gdy spojrzałam na jej dziecko.

Jestem potworem.

– Jak ja mogłam zrobić coś takiego? – pytam.

Płuca mnie palą, a żołądek mam zaciśnięty w supeł. Nie chcę w to wierzyć. Choć nadal nie potrafię sobie niczego przypomnieć, intuicja podpowiada mi, że Brant ma rację. Widzę to w jego oczach. Wyczuwam to w powadze bijącej z jego słów i niewidzialnym smutku wypełniającym przestrzeń między nami.

– Lekarze zdiagnozowali u ciebie psychozę poporodową. W połączeniu z traumatycznym porodem, stresem, na który narażony był twój organizm, zaburzeniami gospodarki hormonalnej po porodzie i zabiegu usunięcia macicy... oraz uświadomieniem sobie, co zrobiłaś z Hannah... to wszystko sprawiło, że coś w tobie pękło. Skierowaliśmy cię na leczenie za radą doktora Dewdneya. Zgodziłaś się. Przebywałaś w szpitalu przez sześć tygodni. W tym czasie lekarzom udało się dopasować ci leki w taki sposób, że w końcu przestałaś słyszeć głosy. Jednak po powrocie nie pamiętałaś niczego, co miało związek z dzieckiem. Doktor postawił kolejną diagnozę – amnezja dysocjacyjna. Dochodzi do niej, gdy doświadczamy głębokiej traumy albo przechodzimy przez wyjątkowo bolesny emocjonalnie okres.

Powiedział, że twój umysł zablokował wspomnienia. Że to jego mechanizm obronny. To miało wiele wspólnego z faktem, że nie śpieszyliśmy się z tym, by przypomnieć ci, przez co właściwie przeszłaś.

Jeśli tak, to wcale mnie nie dziwi, że bał się zostawić mnie samą na zimę w Nowym Jorku – założę się, że przez blisko dziesięć lat żył w nieustannej obawie o to, że znów wystąpi u mnie kolejny epizod choroby albo załamanie nerwowe. Nigdy nie chodziło o zimową chandrę, tylko o to, co wydarzyło się w tamtym, niespotykanie ciepłym, grudniowym tygodniu.

– Dlaczego nie trafiłam do więzienia? – pytam. – Oddanie własnego dziecka obcej osobie musi kwalifikować się jako przestępstwo.

– Nicolette, byłaś chora – odpowiada Brant, ujmując mnie za rękę. – A tamta kobieta, ta, która zabrała dziecko? To ona jest przestępczynią. Nie ty. Powinna była wezwać pomoc. Zamiast tego, wykorzystała sytuację i porwała nasze dziecko.

Moje usta drżą.

– Jakim cudem wytrzymałaś ze mną po tym wszystkim, co zrobiłam?

Wpatruję się w turkusowe oczy mężczyzny, któremu udało się zatrzymać ocean pełen tajemnic tak burzliwy, że groził zatopieniem. Musiał strasznie cierpieć, widząc, jak żyję z dnia na dzień, nie mając o niczym pojęcia, podczas gdy sam znał wszystkie szczegóły tego, co zaszło.

Jeśli to nie jest miłość, to nie wiem, co nią jest.

– Nie zawsze było łatwo. Nie będę udawał, że było inaczej. Dzielenie się wszystkim... wszystkim oprócz tego... Mój Boże, Nicolette, to mnie dobijało. Byłem jednak skłonny żyć z tym bólem, żebyś ty nie musiała się z nim męczyć. Wystarczająco dużo przeszłaś. Nie widziałem sensu w tym, byśmy cierpieli oboje. Kocham cię bardziej, niż to sobie wyobrażasz, najdroższa – Brant kładzie głowę na moich kolanach, a ja dotykam dłonią jej czubka, przeczesując palcami jego jasne włosy, po czym obejmuję go za policzek. – Wybaczysz mi?

Podnosi głowę, a nasze spojrzenia się spotykają.

– Musimy ją znaleźć – mówię szeptem.

Wybaczenie jest nieistotne. Jeśli to, co mówi Brant, jest prawdą, nie zrobił nic złego. Jediną rzeczą, o którą mogłabym go obwiniać, jest chronienie mnie przed samą sobą.

– Przez cały ten czas nie miałem pojęcia, czy ona żyje. Po tym, jak poszlaki się wyczerpały, policja zaprzestała poszukiwań, a agenci FBI wrócili na swoje stanowiska. Beth co jakiś czas dzwoniła, by przekazać nowe wieści, o ile w ogóle jakieś miała. Na przestrzeni lat telefony od niej były coraz rzadsze i rzadsze, ale dwa miesiące temu ktoś przysłał mi mailem to zdjęcie. – Brant sięga po portfel i wyjmuję z niego zdjęcie, które znalazłam wcześniej w jego szufladzie ze skarpetkami. – Wiek się zgadza. Ona wygląda zupełnie jak my, Nick. Ma twoje usta, podbródek, a nawet uszy. A te oczy? Ma je po mnie.

Studiuję w skupieniu zdjęcie, zupełnie jakbym oglądała je po raz pierwszy w życiu.

Teraz to widzę.

Nie wiem, jak mogłam tego wcześniej nie zauważyć.

Wygląda zupełnie jak my.

– Najpierw dostałem zdjęcie. Potem pojawiły się żądania pieniędzy. Szantażowali mnie, grozili, że opowiedzą ci o Hannah i roli, jaką odegrałaś w jej zaginięciu – a to *ja* chciałem być osobą, która ci o tym powie. Nie chciałem, byś dowiedziała się prawdy w taki sposób. Nie wiedziałem... czy znowu przez to nie zachorujesz.

– To dlatego brałeś pieniądze z mojego funduszu?

– Powiedzieli, że jeśli im zapłacę, oddadzą nam Hannah, ale potem zaczęli domagać się coraz większych sum, odwlekając wszystko w czasie. W którymś momencie Beth chciała położyć temu kres, bo według niej chcieli nas wykiwać, ale odmówiłem. Bez przerwy patrzyłem na to zdjęcie i wiedziałem, Nick. Wiedziałem, że to nasza córka. Wiedziałem też, że ktokolwiek za tym stał, musiał pochodzić stąd i być kimś, kto nas zna. Kimś, kto wie, co wydarzyło się dziewięć lat temu, i wie, jak sobie z tym poradziliśmy.

– A raczej, jak *ja* sobie z tym poradziłam.

Brant milczy przez chwilę. Albo nie chce odpowiedzieć, albo pogrążył się w myślach.

– Tak – mówi w końcu.

– Więc kimkolwiek jest ta osoba... to ktoś, kogo znamy? – pytam.

Brant wzrusza ramieniem.

– To może być każdy. Wszyscy w Stillwater nas znają, wiedzą, co się stało, wiedzą, że... *zapomniałaś*. Myślałem, że sam sobie z tym poradzę, a o reszcie pomyślę dopiero wtedy, gdy ją odzyskamy. Wtedy wszystko wydawało mi się takie nieistotne. Myślałem wyłącznie o tym, by sprowadzić ją bezpiecznie do domu.

Trzymam w palcach zdjęcie dziewczynki. Odwracam je, patrząc na jej twarz aniołka i urzekające oczy w kolorze morskiej zieleni.

– Nick, rysunki, które zrobiła Wren... Dziewczynka na jednym z nich wyglądała zupełnie jak nasza córka. Wren powiedziała, że to jej siostra. Istnieje duża szansa, że Evie to nasza Hannah. – Brant wstaje, przesuwając dłonią po gładkiej szczęce i stając przed jednym z okien z widokiem na las. – Może kobieta, która ją porwała, była tą samą, która wychowywała te dziewczyny w całkowitym odcięciu od świata?

Wypełnia mnie paląca pustka. Nigdy nie sądziłam, że mogę tęsknić za czymś tak mocno i tak głęboko odczuwać czyjś brak.

Przez cały ten czas miałam córkę.

I tak po prostu ją komuś oddałam.

Wren

Jest późne popołudnie, gdy przyjeżdżamy do domu pogrzebowego, w którym pachnie zwiędłymi kwiatami. Słysząc tu łagodną, cichą muzykę, choć nie mam pojęcia, skąd ona płynie.

– Dzień dobry – wita nas siwowłosa kobieta w perłach i granatowym kostiumie. – Pewnie przyszlście do Maggie Sharp.

– Zgadza się – odpowiada za nas Nicolette.

Dziwnie się czuję, słysząc prawdziwe nazwisko mamy. Maggie Sharp jest dla mnie kimś obcym. Wygląda na to, że pod pewnymi względami mama również taka była – obca.

– Tędy proszę. – Kobieta prowadzi nas przez jakieś drzwi w stronę prostej, brązowej trumny usłanej białymi różami. – Mieszkańców tak bardzo wzruszyła wasza historia, że zebrali wystarczająco dużo pieniędzy na to, by umożliwić wam ostatnie pożegnanie z mamą. Cmentarz Resting Lawns ufundował miejsce pochówku. Firma kamieniarska McCarthy Monuments zaoferowała się, że dostarczy wskazany przez was nagrobek – kiedy tylko będziecie gotowe. Nie trzeba wyprawiać pogrzebu, żeby złożyć ciało na wieczny spoczynek.

– Dziękuję – mówi Nicolette, ponownie w imieniu naszej dwójki.

– Jeśli będziecie mnie potrzebować, będę w swoim gabinecie – mówi kobieta, najłagodniejszym głosem, jaki kiedykolwiek słyszałam.

Sage zbliża się do trumny.

– Chcę ją zobaczyć.

– Skarbie, wątpię, aby to był dobry pomysł – mówi Nicolette. – Nie będzie

wyglądała tak, jak ją zapamiętałaś.

Żadna z nas nie widziała wcześniej zwłok.

Nie wiem, czy w ogóle mam ochotę je oglądać.

Sage kładzie ramiona na wieku trumny i chowa twarz w zgięciu łokcia. Podaję jej chusteczkę ze stojącego obok pudełka.

Jakaś część mnie chciałaby móc zapłakać.

Ta kobieta karmiła mnie, ubierała, kochała i zapewniała mi bezpieczeństwo przez całe moje życie. Nauczyła mnie wszystkiego, co umiem. Uczyniła mnie osobą, którą jestem dzisiaj. Powinnam być zdruzgotana... a nie gapić się w wypolerowane, brązowe pudło przykryte białymi różami i zastanawiać, jak długo jeszcze będziemy musiały tu być.

Może to przyjdzie do mnie później, kiedy skóra przestanie mnie palić za każdym razem, gdy pomyślę o pytaniach, których już nigdy jej nie zadam. Kiedy przestanę odruchowo zaciskać pięści, gdy przypomnę sobie jej obietnicę, że będzie nas chroniła, że nigdy nie dopuści, by cokolwiek się nam stało... a mimo to Evie zaginęła.

Wchodząc tu, ze stojaka przy drzwiach wzięłam leżący w przegródce kawałek papieru. Napisano na nim, że są różne rodzaje żałoby – łącznie siedem. Czytając o nich, nie mogłam przestać myśleć o tym, czy możliwe jest doświadczenie ich wszystkich naraz.

Albo żadnego.

Moje serce wypełnia tęsknota za jeszcze jednym wspólnie spędzonym dniem. Tylko nasza czwórka. Tak jak za dawnych czasów. Zrywanie bzu. Śpiewanie piosenek. Karmienie naszych zwierząt. Granie w Piotrusia przy kominku przed pójściem spać. Mama zaplatająca nam włosy. Chichot Evie.

Te rzeczy już nigdy nie wrócą.

A winę za to ponosi mama.

– Zaczekam na was w samochodzie – mówi Nicolette. – Nie musicie się śpieszyć.

*

Sage śpi przez całą drogę powrotną do domu, opierając głowę o moje ramię. Wyglądam przez szybę, myśląc o Evie. Gdzie może być. Z kim. Czy się

uśmiecha, czy jest przerażona. Czy za nami tęskni...

Po jakimś czasie myślenie o tym zaczyna sprawiać mi zbyt wielki ból, więc wracam myślami do jasnowłosej kobiety. Skoro mama nie była moja biologiczną matką, to może ona nią była? Chciałabym wiedzieć, czy mnie szukała, czy za mną tęskniła. Próbuję wyobrazić sobie mamę, tatę, przytulny dom, kuzynów, ciotki i wujów – te wszystkie rzeczy, które zdają się mieć pozostali ludzie.

A potem wyobrażam sobie rodzinę Sage. Czuję bolesne ściskanie w klatce piersiowej, gdy pomyślę sobie o tym, jakie to dziwne, że pochodzimy z dwóch różnych rodzin. Mamy dwie pary rodziców. Różnych kuzynów, ciotki i wujów. Czy oni też jej szukają?

Gdy zatrzymujemy się pod garażem Gideonów, Sage budzi się, rozglądając dokoła tak, jakby właśnie ocknęła się z głębokiego snu i nie miała pojęcia, gdzie jest.

– Dziewczyny, jesteście głodne? – pyta Nicolette po wejściu do domu.

– Nie, dziękujemy – mówię, wdychając charakterystyczny zapach ich mieszkania.

Gdy o nim myślę, do głowy przychodzi mi tylko jedno słowo – przyjemny. Co jakiś czas udaje mi się wyłapać pojedynczą nutę zapachową – czasami jest to cytryna, czasami cynamon, a czasami świeży zapach wydobywający się z pralni i unoszący w korytarzach. Zatrzymuję się na chwilę, zastanawiając się, czy będę pamiętać, jak pachniał ten dom jeszcze długo po swoim odejściu.

Nie spodziewam się, że Gideonowie pozwolą nam tu zostać.

Sage milczy, człapiąc niemrawo po schodach do naszego pokoju.

Przystaję na korytarzu, dochodząc do wniosku, że trochę czasu spędzonego na rysowaniu w pracowni Branta pomoże mi pozbyć się napięcia, które dziś mi towarzyszyło. Wspinam się na górę, po drodze zabierając z pokoju gościnnego szkicownik i ołówek.

Chwilę później wchodzę do pracowni i zaczynam dostosowywać stołek kreślarski do swojego wzrostu, gdy nagle coś przykuwa moją uwagę.

Na końcu biurka Branta leży zdjęcie. Nieprzypadkowe zdjęcie.

To fotografia Evie.

W jaki sposób ją zdobyli? Skąd ją mają? Została zrobiona niedawno,

jestem tego pewna. Evie wygląda na niej identycznie jak w dniu, w którym widziałam ją po raz ostatni.

Moje płuca rozszerzają się gwałtownie, a pierś faluje w rytm przyspieszonego oddechu, ale mimo wszystko nie mogę złapać tchu. Udaje mi się to dopiero po dłuższej chwili. Uspokajam się na tyle, by uporządkować myśli. Skoro mają to zdjęcie, mogą wiedzieć gdzie jest Evie. Mogą wiedzieć coś, o czym ja nie wiem. To może być przełom. Coś dobrego.

Nie chcę brać pod uwagę innej możliwości.

Zbiegam po schodach ze zdjęciem przyciśniętym do piersi, by domagać się wyjaśnień.

Nicolette

– Osoba wyłudająca od nas pieniądze spodziewa się jutro kolejnego przelewu, ale Western Union otwierają dopiero o dziewiątej – mówi Brant, gdy myjemy się przed pójściem spać. Zaczęliśmy szykować się do łóżka dwie godziny wcześniej niż normalnie, ale biorąc pod uwagę wieści, którymi podzieliliśmy się z Wren, że Evie może być naszą zaginioną córką, jesteśmy zbyt wyczerpani, by robić cokolwiek innego. – Poza tym zamroziłaś środki na koncie.

Przyciskam do twarzy gorący ręcznik, a kiedy napotykam w lustrze własne spojrzenie, jedyne, co widzę, to wyraz malujący się na twarzy Wren, gdy zbiegła na dół po schodach ze zdjęciem Hannah w rękę.

Przyjęła tę rewelację z wrodzonym sceptycyzmem, jak na inteligentną dziewczynę przystało. W pierwszym odruchu zasugerowała, że wiemy, gdzie jest jej siostra, i że ukrywamy przed nią istotne informacje, ale Brant wyprowadził ją z błędu. Odpowiedział na każde z jej pytań z opanowaniem i taktem, ani razu nie zdradzając swoich prawdziwych emocji.

Pod koniec rozmowy Wren złagodniała, gdy zrozumiała, że jesteśmy jej najlepszą szansą na znalezienie Evie. I że istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że ona nadal żyje.

– Co się stanie, jeśli nie zapłacimy? – pytam z ciekawości. Wolałabym nie przekonywać się o tym osobiście.

Nasze spojrzenia krzyżują się w lustrze.

– Nie wiem. Jeszcze nigdy nie podjąłem takiego ryzyka.

Jakiś czas po tym, jak skończyłam dwugodzinną rozmowę przez telefon

z rodzicami, by mogli potwierdzić jego wersję, Brant zaprowadził mnie do pracowni, gdzie przejrzelśmy dokumentację medyczną i inne papiery, które wyjął ze stojącej w rogu szafki – łącznie z aktem urodzenia Hannah, a także listami i groźbami, które szantażysta wysyłał mu przez ostatnie dwa miesiące.

Kimkolwiek on jest... wie dosłownie *wszystko*.

Nic dziwnego, że Brant potraktował sprawę bardzo poważnie.

– Co dokładnie FBI robi, żeby ją znaleźć? Beth jest tutaj, w naszym mieście?

– Jeden z ich agentów jest ekspertem od przetrwania w dziczy i tropicielem. Domyślam się, że został tu przysłany w chwili, w której otrzymaliśmy pierwszy list i stało się oczywiste, że wysłał go ktoś, kto nas zna. Beth powiedziała, że zaczął wypytywać mieszkańców, obserwować okolicę i rozglądać się w poszukiwaniu podejrzanych działań. Coś go tknęło, bo zaczął nalegać na przeszukanie lasu. Z tego, co wiemy, przeczesywał go od wielu tygodni, ale od jakiegoś czasu Beth nie miała od niego żadnych wieści. Miał się z nią kontaktować przez telefon satelitarny, ale nie jestem pewien, kiedy dzwonił do niej po raz ostatni.

– Nie zaniepokoiło jej to? – pytam, kładąc się do łóżka i nakrywając kołdrą, choć nie mam pojęcia, czy w ogóle uda mi się zasnąć.

– Wygląda na to, że nie. Powiedziała, że on wie, co robi, i że jest jednym z najlepszych. – Brant kładzie się obok mnie.

Kładąc głowę na chłodnej poduszce, wbijam wzrok w zamontowany na suficie nieruchomy wiatrak.

– Co teraz?

Brant wsuwa rękę pod pościel, odnajdując moją dłoń.

– Nie przestaniemy, dopóki ona do nas nie wróci.

Wren

Od naszego pożegnania z mamą minęły trzy dni.

Sage płakała tak długo, aż na jej twarzy zostały zaschnięte ślady łez, a potem jeszcze trochę, głównie przez sen. Ale dziś rano wydarzyło się coś innego.

Około ósmej Nicolette otrzymała telefon.

Natrafiono na ślad w bazie DNA. Tak zwaną zgodność.

Policja znalazła rodzinę Sage. Okazało się, że szukali jej przez cały ten czas.

Poinformowała nas również, że w bazie danych nie znaleziono żadnych dopasowań do mojego DNA.

– Jak wyglądam, Wren? – pyta moja siostra, zaczesując grzywkę na czoło.

– Ślicznie.

– Jak myślisz, jacy oni są?

– Na pewno bardzo mili. I założę się, że jesteś do nich podobna.

Sage się uśmiecha. Ze swoimi ciemnymi włosami i subtelnymi rysami twarzy od zawsze wyróżniała się na tle mamy, Evie i mnie.

– Dziewczyny? – W drzwiach naszego pokoju stoi Nicolette. – Będą tu lada chwila. Chciałam tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Sage przygryza usta, zerkając w moją stronę.

– Chcę ich poznać, ale nie chcę cię zostawiać.

Odpędzając mruganiem łzy, zmuszam się do uśmiechu.

– Wszystko będzie dobrze, bez względu na to, co się stanie.

Nie wiem, czy to prawda, ale wiem, że to jedyne słowa, które powinna

teraz usłyszeć Sage. Schodzimy na dół i siadamy na sofie. Biorę czytana ostatnią książkę, a Sage trzyma w rękach lalkę, którą uszyłam dla niej w zeszłym tygodniu, wpatrując się w przestrzeń w całkowitym milczeniu.

– Wren?

– Tak?

– Co się teraz z tobą stanie?

Patrząc w bok, żeby nie zauważyła wzbierających w moich oczach łez, mówię:

– Nie wiem.

– Nick, przed chwilą przyjechali! – woła z kuchni Brant.

Nicolette idzie do drzwi wejściowych, a Sage łapie mnie za rękę. Dłoń ma gorącą i spoconą.

Chwilę później słyhać czyjeś kroki i głosy, a kiedy Brant i Nicolette odsuwają się na boki, w drzwiach ukazują się mężczyzna i kobieta, oboje dość niscy i szczupli, zupełnie jak Sage.

– Mark. – Kobieta zakrywa usta dłonią, przymykając oczy tak, jakby miała się za chwilę rozplakać. – To ona. To Emma.

Jego dolna warga drży. Kładzie dłonie na jej ramionach i ściska je mocno.

– Wejdźcie, proszę – przypomina im Brant, bo nadal nie ruszyli się z miejsca. – Rozgoście się.

Matka Sage pada przed nami na kolana, dotykając bioder Sage, potem jej ramion, a na koniec włosów, jakby chciała się przekonać, że jej córka jest prawdziwa. Ojciec Sage jest bardziej powściągliwy. Stoi z boku i próbuje być silny, choć emocje w jego oczach temu przeczą.

– Byłaś taka malutka – mówi jej mama, wpatrując się w córkę. – Poszliśmy do tutejszego parku – w Stillwater Hills. Położyłam cię na żółtym kocyku i dałam ci do wypicia mleko, a potem poszłam pobujać twoich braci na huśtawce. Nie było mnie dosłownie przez chwilę... a kiedy wróciłam... zniknęłaś. – Wielkie jak groch łzy spływają po jej bladych policzkach. Ściera je grzbietem dłoni. – Ot tak. Został po tobie tylko żółty kocyk.

Sage uśmiecha się przepaszająco, choć nic z tego nie jest jej winą. Ciekawe, czy czuje jakąkolwiek więź z mamą i tatą. Czy czuje, jak bardzo im jej brakowało.

– Szukaliśmy cię całymi latami – ciągnie jej mama. – W końcu ta sytuacja nas przerosła. Twój ojciec dostał pracę w Vermont. Musieliśmy uciec ze Stillwater Hills, zacząć wszystko od nowa. Nawet policja poradziła nam, żebyśmy przestali szukać, bo tylko marnujemy czas.

Dotyka twarzy Sage, muskając jej skórę opuszkami palców, tak jakby była kruchą, porcelanową lalką.

– Masz dwóch braci – mówi jej mama, uśmiechając się czule. – Nie mogą się doczekać, aż cię poznają. Masz też dziadków, ciotki, wujów i kuzynów.

Mimo ciężaru przygniatającego pierś i palącego ukłucia łez pod powiekami cieszę się szczęściem Sage.

Naprawdę.

– Zatrzymamy się na kilka następnych tygodni u twoich dziadków. Doktor Pettigrew powiedziała, że najlepszym wyjściem jest twój stopniowy powrót na łono rodziny, przy wsparciu psychologa oraz terapii rodzinnej. – Przenosi spojrzenie na mnie. – Wiem, jak bardzo jesteś zżyta ze swoją siostrą. Nie chcemy, żebyś myślała, że już na zawsze was rozdzielimy. – Odwraca się z powrotem do Sage. – Obiecuję ci, Emmo... Sage... że twoja siostra zawsze będzie twoją siostrą. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żebyś mogła widywać się z nią, kiedy tylko zechcesz.

– Dziękuję – odpowiada ledwie słyszalnym głosem Sage.

– Chciałabyś poznać resztę rodziny? – pyta jej ojciec, ściskając żonę za ramiona i ledwie panując nad emocjami w oczekiwaniu na odpowiedź.

Oczy Sage ponownie wypełniają się łzami – ale tym razem są to łzy szczęścia. Tak mi się przynajmniej wydaje. Nie odzywa się, ale ja wiem, czego pragnie.

– Idź – mówię, próbując zwalczyć uśmiechem napływające do oczu łzy. – Wracaj do rodziny.

– Miałaś rację, Wren. Od samego początku miałaś rację – mówi Sage, ściskając mnie z całych sił. – Wszystko będzie dobrze.

Nicolette

Brant wsuwa telefon do kieszeni.

– To była Beth. Pamiętasz tego surwiwalistę, którego wynajęła?

– Tak.

– Właśnie tu jedzie. Wygląda na to, że skontaktował się z nią godzinę temu i jest w okolicy, więc chce się spotkać, by w cztery oczy omówić wyniki swoich odkryć.

Sprzątam resztki po kolacji i wycieram blaty. Wren siedzi w drugim pokoju, z nosem w dziesiątej książce w tym tygodniu, a Sage jest w mieście i spędza czas z rodziną. Od ich spotkania minęło pięć dni. Odbierają ją codziennie około ósmej rano i odwożą do domu tuż po obiedzie. Jeśli poczuje się przy nich bardziej komfortowo, może zacząć nocować w domu swoich dziadków. Na razie nasz dom jest dla niej bezpiecznym azylem. Znajomym miejscem, w którym może dojść do siebie po tych wszystkich rewelacjach. Choć ten czas jest dla niej ekscytujący i nieco chaotyczny, doktor Pettigrew twierdzi, że obecność Wren jest kluczem do jej udanej adaptacji.

– Kiedy dokładnie tu będzie? – pytam.

Brant wygląda przez okno obok stołu.

– Teraz.

Wyglądam ubranie i podchodzę do drzwi. Brant idzie za mną.

– Ty pewnie jesteś Chuck – mówi mój mąż, otwierając drzwi.

Mężczyzna stojący po drugiej stronie jest ogromny, o niemal niedźwiedziej posturze. Twarz ma świeżo ogoloną, a włosy wilgotne po

niedawno wziętym prysznicu. Bije od niego woń hotelowego szamponu, ledwie maskując jego piżmowy zapach.

– Proszę wejść. – Odsuwam się, a mężczyzna zaczyna odpinać guziki płaszcza po przejściu przez próg. – Napije się pan czegoś?

– Nie, dziękuję – mówi, unosząc dłoń. Chwilę później zagląda do salonu, zatrzymując spojrzenie na Wren. – Jezu Chryste.

Zanim mam szansę zrozumieć, co się dzieje, zwykle cicha i spokojna Wren podnosi wrzask, włączając na oparcie kanapy i próbując uciec od niego najdalej, jak się da.

– Nie pozwólcie, żeby mnie zabrał!

Wren upuszcza książkę, a ja podbiegam do niej i łapię za rękę.

– Co się stało? – pytam, obejmując ją i ściągając z oparcia na siedzenie kanapy.

– To on... mężczyzna, który włamał się do naszej chaty i powiedział, że nas stamtąd zabierze.

– Spokojnie, chodź tutaj – mówię, prowadząc ją do drugiego pokoju. Głaszcząc ją po plecach, przysięgam, że praktycznie czuję gwałtowne bicie jej serca. – Ten człowiek pracuje dla FBI. Jest tropicielem. Został zatrudniony, żeby znaleźć Evie. Wren, czy on zrobił ci krzywdę? Dotykał cię w nieodpowiedni sposób?

Wren wzdycha głęboko, marszcząc brwi.

– Nie. Powiedział tylko, że nas stamtąd zabiera. I stale wypytywał o mamę.

– Domyślam się, że to musiało być dla ciebie traumatyczne doświadczenie, i nie do końca pochwalam jego metody, ale obiecuję ci, że nie pozwolę, by się do ciebie zbliżył.

Wpatruje się we mnie, jakby szukała potwierdzenia moich słów, po czym kiwa nieznacznie głową.

– Może pójdziesz teraz na górę, co? – proponuję. – Zawołam cię, kiedy on stąd wyjdzie.

Przyglądam się, jak wychodzi, po czym wracam do drugiego pokoju.

Siadam naprzeciwko Chucka, krzyżując nogi.

– Co dla nas masz?

Siada na skórzanym fotelu, zajmując całą wolną przestrzeń, po czym

wychyla się do przodu, jakby nie było mu wygodnie.

– Beth na pewno wam powiedziała, że ustaliłem położenie chaty.

Brant przytakuje.

– Owszem, dziś rano.

– Ustaliłem również, że chata należała do kobiety, której szukałem. Nie byłem jednak w stanie określić, czy mieszkała w niej wasza córka, ponieważ kobiety i najmłodszej z dziewczynek już nie było. Dwie starsze dziewczyny, które zostały w chacie, myślały, że chcę je zabić, więc nie puściły pary z ust – dodaje kwaśnym tonem. – Parę dni później nafaszerowały mnie czymś i wymknęły się z chaty z moją torbą. Dotarcie do miasta zajęło mi więcej czasu ze względu na nieświeże mięso, które byłem zmuszony jeść, ponieważ ukradły moje racje żywnościowe. Wypadłem z gry na kilka dni, a do tego było mi trochę ciężko bez... no wiecie... bez mojego zestawu ratunkowego. W środku miałem brezent, kompas, tabletki do uzdatniania wody, manierkę, krzesiwo... zabrały wszystko i uciekły. Zostawiły mnie na pewną śmierć.

Ledwo powstrzymuje wybuch śmiechu, jakby był pod wrażeniem tego, co zrobiły.

– Wystraszyłeś je – mówię. – Dziwisz się, że uciekły?

– Tak już działałam na ludzi. Zresztą nigdy nie zrobiłbym im krzywdy. Zamierzałem zabrać je ze sobą do miasta. Zginęłyby tam, kompletnie same. Zbliżała się zima, a one nie miały żywności. Jedyłą interesującą rzeczą, którą udało mi się znaleźć w chacie, były dwa akty zgonu należące do Raya Sharpa i Imogen Sharp. Oboje zmarli około dwadzieścia lat temu.

– Chwileczkę – przerywam mu. – Skąd wiedziałeś, gdzie szukać Maggie Sharp?

– Beth przysłała mi tu na rekonesans po tym, jak Brant otrzymał pierwszy list. Spędziłem tu trochę czasu, rozmawiałem dużo z mieszkańcami, pytałem, czy w okolicy są jacyś samotnicy albo osoby, na które należy uważać. Jeden z mieszkańców wspomniał o Maggie Sharp. Była miejscową nauczycielką w klasie drugiej. Straciła męża i dziecko w wypadku samochodowym, gdy wracali całą rodziną z parku. Widocznie jej odbiło. Już nigdy nie była taka sama. Ten ktoś powiedział, że stała się odludkiem, a potem, po jakimś czasie, nikt jej więcej nie zobaczył.

– Maggie Sharp – mówi cichym głosem Brant. – Nigdy o niej nie słyszałem.

Maggie Sharp.

Moje wyobrażenie o dobrej kobiecie, za którą ją uważałam, ulega zniekształceniu. Trudniej jest mi uznać ją za obłąkaną samotniczkę o złych zamiarach i łatwiej przedstawić jako zrozpaczoną matkę ze złamanym sercem, która nie potrafiła uratować swojego dziecka... Może spotkała mnie i dopatrzyła się w tym drugiej szansy na uratowanie dziecka przed czymś, co uznała za zagrożenie?

Oczami wyobraźni widzę dwie matki – zdruzgotane, przekonane, że robią dobrze – i współczuję nam obu.

– W każdym razie, parę tygodni temu wstąpiłem do jakiegoś sklepiku przy rynku, i zobaczyłem faceta kupującego różne rzeczy – pastę do zębów, grzebień, tego typu produkty. Kasjerka spytała, czy chce odebrać swoje zamówienie. Powiedziała, że wszystko jest gotowe, wskazując na stos materiału w kwiatowy wzorek, kredki i inne przedmioty, które na pewno nie były przeznaczone dla niego. Powiedział, że już nie, i uciekł stamtąd gdzie pieprz rośnie. Poszedłem za nim do jego domu, podłożyłem kamery obserwacyjne i monitorowałem każde wyjście z domu i powrót. Zawsze był sam. Facet na bank był kawalerem. – Oczy Chucka błyszczą. Pochyla się do przodu. – Niedługo po tym zobaczyłem, jak zanoszą do supermarketu pudełko z mydełkami obwiązanymi fioletowym sznurkiem. Najwyraźniej je tam sprzedawał. Przyjrzałem się im dokładniej. Były naprawdę pięknie wykonane. Niemożliwe, żeby koleś wytwarzał i sprzedawał ręcznie robione mydła z kozim mlekiem, więc domyśliłem się, że z kimś współpracuje, i...

– Zaraz, zaraz. – Brant przekrzywia głowę w moją stronę. – Davis.

Mydła o zapachu lawendy. Z koziego mleka. Obwiązane fioletowym sznurkiem.

Jego brat twierdził, że sprzedaje mydła dla znajomego, a Brant z czystej uprzejmości co jakiś czas kupował od niego kostkę, przekonany, że wspiera lokalnych rzemieślników.

Wstrzymuję oddech.

– Twój brat.

– Sukinsyn.

Brant zrywa się z miejsca. Wgłębienie pod jego kością policzkową pulsuje, gdy zaciska szczęki. Przenosi wzrok na mnie, próbuje coś powiedzieć, ale nie może wykrztusić z siebie ani słowa.

Jest w szoku.

Nic dziwnego.

Davis od zawsze zazdrościł nam naszej sytuacji materialnej. Stale prosił o pożyczki i pomoc finansową. Wiecznie rzucał złośliwymi komentarzami. Za każdym razem wywoływał w Brancie poczucie, że jego sukces jest niezasłużony, że był kwestią ślepego trafu. Wydaje się całkiem realne, że Davis mógł wykorzystać nadarzającą się okazję, by zadać bratu kolejny bolesny cios.

– Zgadza się. Twój brat. – Chuck pociąga nosem, śmiejąc się i pocierając pokryty bliznami podbródek. – Ty to powiedziałaś, nie ja.

– Nie rozumiem. Skąd wiedziałeś, że trzeba pójść do lasu? – pytam.

– Właśnie do tego zmierzam – mówi Chuck, unosząc gruby palec. – Za każdym razem, gdy przeszukiwałem jego posesję, robiłem to po ciemku, kiedy był w pracy. Któregoś ranka wrócił koło dziewiątej, pijany jak bela. Pewnie zahaczył o bar w drodze do domu. Dałem mu dwadzieścia minut na zaśnięcie i postanowiłem zaryzykować. I całe szczęście, że to zrobiłem. Niedaleko jego przyczepy natknąłem się na niewielką polanę. Moim oczom ukazała się wydeptana ścieżka. Wyglądało to tak, jakby ktoś chodził po niej z taczkami czy czymś w tym stylu, bo koleiny, choć wąskie, w niektórych miejscach były dość głębokie. Na pewno nie były to ślady stóp. Wtedy przypomniałem sobie o mydlach, które sprzedawał... Zacząłem iść ścieżką, która ciągnęła się coraz dalej i dalej...

Dość już usłyszałam – przynajmniej na razie.

– W jaki sposób odzyskamy Hannah?

– Co sugerujesz? Że Davis maczał w tym palce? – pyta go Brant. – Dlaczego Beth o niczym mi nie powiedziała?

– Będziesz musiał ją o to spytać – mówi Chuck. – Wydaje mi się, że wolała mieć pewność, że nie jesteście razem w zмовie, i nie chciała, żeby któreś z was go ostrzegło.

Mój mąż zaczyna protestować. Znam go, więc wiem, że komentarz Chucka uraził go do żywego. Kładę dłoń na jego ramieniu w nadziei, że

powstrzymam go przed powiedzeniem czegoś, czego za chwilę będzie żałował.

– Musimy iść – postanawia, poklepując kieszenie w poszukiwaniu kluczy.

– Natychmiast.

– Nie. – Łapię go za rękę. – Musimy zadzwonić do May.

Davis ma broń. I absolutnie żadnych skrupułów, by jej użyć. Jego posesja na skraju miasta jest usiana tablicami z napisem „Wstęp wzbroniony”.

– Twój brat zwariował – przypominam mu. – Nie pójdziesz tam bez asysty policji.

Szybkim krokiem przechodzę do kuchni, biorę do ręki świstek z prywatnym numerem May i jednym szarpnięciem odłączam swój telefon od ładowarki. Chuck wyłania się zza moich pleców, nim udaje mi się z nią połączyć.

– Jeśli zamierzałaś wezwać policję, to jestem pewien, że funkcjonariusze są już na miejscu. Kiedy rozmawiałem z Beth po raz ostatni, właśnie się tam wybierała.

Wszystko dzieje się bardzo szybko, ale nadal zbyt wolno.

Wren

Dochodzące z dołu odgłosy zamieszania są tak wyraźne, że nie mogę skupić się na rysunku przedstawiającym naszą trójkę. Chcę podarować go Sage przed wyjazdem do Vermont, do nowego domu, dokąd ma się udać za kilka tygodni.

Odkładam ołówek i staję na szczycie schodów.

Na dole jest zastępczyni szeryfa May.

Intruz z chaty również. Jeszcze nie wyszedł.

Nicolette i Brant rozmawiają tak szybko, że prawie ich nie rozumiem. Chodzą w tę i z powrotem, co chwila mijając podest na półpiętrze. Krążą między kuchnią a salonem.

Schodzę na dół, ściskając poręcz spoconą dłonią.

– Wren.

Nicolette zatrzymuje się we foyer na mój widok.

– Co się stało? – Rozglądam się dokoła, dziękując w duchu za to, że intruz siedzi daleko ode mnie. Nicolette ma przekrwione oczy. Jej włosy są rozczochrane, jakby przeczesywała je palcami i szarpała za końcówki. To nie w jej stylu. To nie jest Nicolette, którą zdążyłam poznać. Biorę głęboki wdech. – Znaleźliście Evie, prawda?

Brant i Nicolette wymieniają się spojrzeniami.

– Nie – mówi Brant. – Jeszcze nie.

– To o co chodzi? Dlaczego przyjechała tu pani May?

– Wpadliśmy na pewien trop – mówi May. – Zamierzamy go sprawdzić. Powiadomimy cię, jeśli czegoś się dowiemy.

– Jadę z wami. – Podchodzę do drzwi, pod którymi na dywaniku stoją moje buty, ale spotykam się ze zbiorową odmową.

– Tutaj nic ci nie grozi – mówi Nicolette. – Podam ci kod do naszego systemu alarmowego. – Tam jest zbyt niebezpiecznie.

Chce mi się krzyczeć.

Po raz pierwszy Nicolette brzmi zupełnie jak mama.

– Nie. – Mój głos jest taki donośny, że wszyscy milkną, wyraźnie zaskoczeni. – To moja siostra. Jadę z wami.

– Wren, to nie jest dobry pomysł. Wybacz, ale... – zaczyna mówić May, ale nie zamierzam jej słuchać.

– Jadę z wami – mówię, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby. – Nie zostanę tu. Nie obchodzi mnie, jakie to według was niebezpieczne. Nie jestem dzieckiem.

Brant i Nicolette znów wymieniają się spojrzeniami.

– Skarbie, wiem, że nie jesteś dzieckiem, ale chcemy zapewnić ci bezpieczeństwo – mówi Nicolette, próbując mnie uspokoić.

– Jeśli Evie tam jest, to muszę pojechać z wami. – Nigdy nie pyskowałam Nicolette i zawsze szanowałam jej decyzje, ale nie pozwolę, by ktoś rozdzielił mnie z siostrą. – Nie sądzicie, że będzie chciała zobaczyć znajomą twarz?

Brant przygląda się z boku swojej żonie. Przez chwilę nikt się nie odzywa.

– W porządku – zgadza się zastępczyni. – Ale przez cały czas masz siedzieć w moim radiowozie. Nie wystawisz nosa za drzwi, dopóki nie powiem, że jest bezpiecznie. Zrozumiałaś?

Niech będzie.

– Tak.

Chwilę później wszyscy łapią za kluczyki, uruchamiają silniki i zamykają drzwi. Załadowaliśmy się do samochodów: ja z May, a Brant z Nicolette i intruzem, który – jak się dowiedziałam – ma na imię Chuck.

Wczesnowieczorny księżyc oświetla granatowe niebo usłane pierzastymi, białymi chmurami, które nadal są dobrze widoczne w ciemności. Jedyne, na czym potrafię się skupić, to szum silnika samochodu jadącego po szarawej drodze.

Dziesięć minut później zatrzymujemy się przed długim i wąskim

niebieskim domem obitym od dołu białym sidingiem. Nie ma tu garażu, a na zewnątrz nie stoi żaden pojazd. Jest tylko szopa i mała weranda przy drzwiach.

May wzywa wsparcie przez radio, po czym wysiada z radiowozu.

– Nie ruszaj się z miejsca – nakazuje, po czym zatrzaskuje drzwi.

Przykładając dłoń do służbowego paska z bronią, podchodzi do butwiejącej werandy, wchodzi na schody i puka do drzwi wejściowych.

Zerkam na siedzących w swoim aucie Branta i Nicolette. Nicolette obgryza paznokcie, a Brant zaciska mocno szczękę. Nikt nawet nie mrugnie. Nikt się nie porusza.

Chwilę później May schodzi z werandy i zbliża się do samochodu Gideonów. Nie słyszę, o czym rozmawiają. Nie muszę. Jej zmarszczone brwi i wygięte w dół kąciki ust mówią wszystko.

Dom jest pogrążony w ciemnościach.

Jest zupełnie pusty.

Mojej siostry tu nie ma.

Nicolette

– Namierzyliśmy go dzięki sygnałowi odbitemu z wieży komórkowej oddalonej o osiem kilometrów stąd – mówi May, zaglądając do samochodu przez szybę od strony Branta. Wszyscy stoimy i czekamy przed przyczepą Davisa. Zerkam w kierunku radiowozu, nawiązując kontakt wzrokowy z Wren.

– Zajrzę do niej.

Gdy wychodzę z auta, rozlega się trzask drugich drzwiczek. Spodziewając się, że Brant będzie próbował mnie powstrzymać i kazał wracać do środka, gdzie jestem bezpieczniejsza, doznaję szoku, gdy okazuje się, że to nie on.

To Chuck, który maszeruje prosto w stronę domu.

– Co ty wyprawiasz? – pytam, zatrzymując się w pół ruchu, i patrzę, jak idzie przed siebie długimi krokami, emanując pewnością siebie typową dla superbohatera. Po chwili znika za rogiem przyczepy. Może po prostu robi rutynowy obchód posesji? Wróciwszy, podchodzi prosto do kosza na śmieci. Zdejmuje pokrywę i wkłada rękę do środka.

– May, chodź tu i zobacz – mówi Chuck, pokazując kolorowe pudełko. – Posiłek dla dziecka. Niedawno kupiony. W koszu leży poczta sprzed dwóch dni. Wasze podejrzenia chyba właśnie się potwierdziły.

Serce wali mi jak młot, gdy patrzę na Branta. May podnosi do ust krótkofalówkę.

– Na każdej z wiodących tu dróg ustawiliśmy nieoznakowane radiowozy i zablokowaliśmy drogi wyjazdowe. Jeśli spróbuje uciekać, nie zajdzie daleko – mówi, wracając do domu. – Tak czy inaczej, muszę was poprosić,

żebyście wsiedli z powrotem do samochodu.

Wracam do naszego sedana i przyglądam się, jak May wyważa kopniakiem frontowe drzwi przyczepy i znika w środku, pochłonięta przez ciemność.

Ściskam Branta za rękę, prawie wbijając mu paznokcie w skórę i niemal zapominając o oddychaniu.

Mija minuta.

Potem kolejna.

I jeszcze jedna.

Moja nadzieja słabnie, ale nie gaśnie zupełnie.

Patrzę w dal na autostradę biegnącą za posesją Davisa, spodziewając się, że brat mojego męża zaraz tu przyjedzie i zrobi coś głupiego, gdy tylko nas zobaczy.

– Nick. – Brant szturcha mnie w łokieć. Sekundę później wysiada z fotela kierowcy, wpatrując się w coś jak skamieniały. Podążam za jego spojrzeniem.

May stoi na rozsypującej się werandzie, trzymając za rękę małą, blondwłosą dziewczynkę, przecierającą zaspane oczy.

Otwieram drzwi jednym szarpnięciem i biegnę za Brantem.

Wren robi to samo.

Wszystko dzieje się jak w zwolnionym tempie. Nie mogę oderwać wzroku od tej słodkiej twarzyczki, która wydaje mi się dziwnie znajoma. Jej widok sprawia, że odrzucam wszelkie dotychczasowe wątpliwości.

– To nasza córka – szepczę spod przyciśniętych do ust dłoni, zatrzymując się obok męża.

– To nasza córka. – Głos mu się załamuje. Patrzy na nią, nie mogąc oderwać od niej wzroku.

Biegniemy w jej kierunku ramię w ramię, do Evie – naszej Hannah – przecinając zwirowany podjazd Davisa i podążając w stronę zapadającej się werandy. Mała zasłania oczy, chroniąc się przed wycelowanymi w nią światłami reflektorów. Gdy jesteśmy zaledwie kilka metrów od niej, May kręci głową i unosi dłoń, zabraniając nam podejść bliżej. Dopiero wtedy dociera do mnie, że to nie jest radosne spotkanie... a już na pewno nie dla tej małej dziewczynki.

Jest naszą córką, ale my nie jesteśmy jej rodzicami. Jeszcze nie. Na razie jesteśmy tylko dwójką obcych jej ludzi. Jedyna matka, jaką znała, nie żyje. Kto wie, na jaką traumę naraził ją Davis w ciągu tych kilku miesięcy.

– Evie! – krzyczy zza naszych pleców Wren. Gdy tylko ich spojrzenia się spotykają, Evie puszcza dłoń May i podbiega do siostry.

W oddali słysząc wycie syren. May wyciąga krótkofalówkę i przykłada ją do ucha.

Zanim udaje nam się w pełni nacieszyć radością malującą się na twarzy naszej córki oraz wielce spóźnionym, rodzinnym pojednaniem, oślepią nas zalew jaskrawych światła. Czerwone i niebieskie rozbłyski oświetlają przód przyczepy Davisa.

Opony zatrzymują się z piskiem na zwirowanym podejździe, wzbijając w powietrze obłok kurzu. Evie chowa się za Wren, a Brant zasłania mnie swoim ciałem.

Wszystko dzieje się jednocześnie.

Drzwi furgonetki Davisa otwierają się, a kiedy kurz opada na ziemię, widzę jego uniesione w powietrzu ręce, odcinające się na tle światła stojącego za nim radiowozu. Dwóch funkcjonariuszy policji chowa się za otwartymi drzwiami auta, celując do Davisa z broni, a trzech kolejnych otacza jego furgonetkę.

May krzyczy, żebyśmy się schowali.

W mgnieniu oka Davis zostaje powalony na ziemię, uderzając twarzą o żwir, a jeden z posterunkowych zakłada mu kajdanki.

– Nick, chodź tutaj. – Brant ciągnie mnie w stronę samochodu, kątem oka obserwując scenę rozgrywającą się obok furgonetki.

– Nie idziesz ze mną? – pytam, wsiadając do samochodu, ale on mnie nie słucha. – Brant?

– Wsiadaj. Zaraz wracam.

Jestem jego żoną tak długo, że rozpoznaję stalowy błysk w jego oczach, ale zanim udaje mi się zaprotestować, zostawia mnie samą.

Wychodząc z samochodu, zatrząskuję za sobą drzwi i idę w ślad za mężem, ale on jest już w połowie drogi. Podchodzi prosto do jednego z radiowozów. Stojący obok przysadzisty policjant wpycha Davisa na tylne siedzenie, nie wysilając się zbytnio. Davis wygląda mizerniej niż zwykle –

to znak, że znowu ćpa – i nie stawia żadnego oporu. Nigdy nie był odważny i zawsze zachowywał się jak manipulujący wszystkimi cwaniak.

– Brant! – wołam, ale mąż mnie ignoruje. Z odległości kilku metrów widzę, jak mówi coś do funkcjonariusza, który kiwa głową i zostawia otwarte drzwi radiowozu.

W jednej chwili Brant rzuca się na swojego brata, łapiąc go za koszulę i wywlekając z auta. Davis upada na kolana w kłębach kurzu, z rękami na plecach skutymi kajdankami.

– Spójrz na mnie, sukinsynu – rozkazuje mu Brant.

Chwilę to trwa, ale w końcu Davis podnosi głowę.

– Przez cały czas wiedziałeś, gdzie ona była? – pyta Brant niskim głosem, ale nadal wyraźnie go słyszę.

Dwójka policjantów odwraca się plecami, ignorując całe zajście. Kolejny z nich stoi przy rozpadającej się werandzie i rozmawia z May, która nagle wykazuje wielkie zainteresowanie tym, co się dzieje, ale nie sprawia wrażenia zaniepokojonej ani się do nich nie zbliża. Wszyscy przymykają oko na zachowanie Branta.

Davis spluwa na bok, z uporem odmawiając udzielenia odpowiedzi. Nawet to, że jest skuty i unieruchomiony, nie powstrzymuje go przed lekceważeniem brata.

– Od jak dawna? – pyta schrypniętym głosem.

Davis wzrusza ramionami, po czym wyciera sobie o nie nos.

– Nie wiem. Lata lecą tak szybko i powoli się ze sobą zlewają...

– *Od jak dawna?* – Brant kuca, przysuwając twarz do jego twarzy.

Davis parska śmiechem. Jestem pewna, że w innych okolicznościach, to byłby niezły widok – patrzeć, jak mój łagodnie usposobiony mąż spuszcza manto własnemu bratu – tyle że jego chichot jest dla Branta wystarczającą zachętą, by złapać Davisa za koszulę i unieść go na tyle, by móc znów upuścić go na ziemię. Tym razem Davis upada na plecy, zginając kolana pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Brant go zniszczy. I to na oczach wszystkich.

Davis nie ma innej rodziny poza moim mężem. Wszyscy już dawno odeszli, a ci, którzy zostali, zerwali z Davisem wszelkie kontakty, gdy zaczął brać narkotyki i obracać się w złym towarzystwie. Niedługo po tym

Davis zaczął wyglądać na o wiele starszego, niż był w rzeczywistości. Miał worki pod oczami, jego zęby rozpaczliwie potrzebowały leczenia, a skóra nabrała ziemistego odcienia. Zawsze wiedzieliśmy, kiedy był czysty. I kiedy nie był.

Jednak po tak długim czasie i po wszystkich wybrykach, których dopuścił się Davis, Brant ani razu nie pomyślał, by odwrócić się od niego plecami, decydując się zapamiętać go takim, jaki był wtedy, gdy wspólnie dorastali, jeździli na rowerze, wymieniali się kartami baseballowymi i biwakowali pod rozgwieżdżonym, letnim niebem, gdy w domu było zbyt gorąco. To Davis kupił mojemu mężowi pierwszy aparat, z miejscowego lombardu, na jego trzynaste urodziny, i to on zachęcał go do robienia zdjęć, a nawet pozwalał robić sobie zdjęcia w ramach ćwiczeń. Fotografia stała się dla Branta ucieczką oraz sposobem na kontrolowanie pełnej chaosu rzeczywistości. Ostatecznie stała się czymś zdecydowanie poważniejszym niż zwykłe hobby. To był sposób na przetrwanie.

Nigdy tego nie powiedział, ale jestem przekonana, że Brant czuje się zobowiązany i wdzięczny Davisowi. I właśnie dlatego tak chętnie dawał mu pieniądze i jeszcze chętniej wybaczał.

Kiedy jednak patrzę na napinające się mięśnie ramion mojego męża, na głębokie zmarszczki między jego brwiami i zaciśnięte zęby, gdy stoi nad bratem, wiem, że Davis jest dla niego martwy.

– Dlaczego? – pyta Brant. Świdruje wzrokiem twarz brata. Jeśli szuka jakichkolwiek oznak wyrzutów sumienia, na pewno ich na niej nie znajdzie.

– Opiekowałem się nią – mówi Davis, jakby to cokolwiek zmieniało. – Karmiłem ją. Pozwalałem jej całe dni oglądać kreskówki. Było jej tu całkiem dobrze.

Brant zaczyna coś mówić, ale urywa w pół słowa, unosząc pięść i zaciskając usta. Odwraca się w moją stronę, kręcąc głową.

– On nie jest tego wart – mówię.

I nigdy nie był. Pożyczyliśmy mu setki tysięcy dolarów, kupowaliśmy samochody, gdy nie miał jak dojeżdżać do pracy, i wpłacaliśmy za niego kaucję tak wiele razy, że nie zliczę ich na palcach jednej ręki. Ani razu nie usłyszeliśmy słowa „dziękuję”, a teraz to...

– Dlaczego? – pyta ponownie Brant pełnym napięcia głosem.

– Serio muszę odpowiadać na to pytanie? – mówi w końcu Davis. – Daj spokój, Brant. Nie jesteś głupi.

– Skoro chciałeś pieniędzy, to dlaczego zwyczajnie nie poprosiłeś? Jakoś za każdym poprzednim razem nic cię przed tym nie powstrzymało.

– Cholera, miałem już dość zebrania o kasę. To stało się nudne. Każdy miał na tym skorzystać. Wy odzyskalibyście córkę, a ja podreperowałbym budżet. – Davis przekierowuje swą uwagę na mnie. – Domyśliłem się, że Nick powoli zaczyna mieć dość wypisywania kolejnych czeków. Chciałeś się ode mnie odciąć, Brant. Zacząłeś się wahać i robić wymówki. To źródło i tak by wyszło, prędzej czy później.

Gdy ostatnim razem Davis poprosił o pożyczkę, Brant kazał mu przestać. Choć z moim podejściem do tej kwestii bywało różnie, zawsze gryzłam się w język, gdy dochodziło między nimi do sporu o kwestie finansowe. Z tego, co wiedziałam, pieniądze, które Davis otrzymywał od Branta, pochodziły wyłącznie z konta mojego męża – nigdy z mojego funduszu powierniczego.

– Brzydę się tobą – wypluwa z siebie mój mąż. – Jesteś chory.

– Dla twojej wiadomości, nawet nie tknąłem jej palcem. Powiedziałem, że jestem jej wujkiem. Dostawała trzy porządne posiłki dziennie i mogła do oporu oglądać kreskówki.

– Koniec z nami – mówi Brant, po raz ostatni przybliżając twarz do jego twarzy. – *Koniec.*

Davis zaczyna się śmiać, ale sekundę później jego śmiech się urywa, gdy Brant wymierza mu kopniaka w brzuch. Wijąc się z bólu, przetacza się na bok z podciągniętymi kolanami. Widzę, jak niższa policjantka odwraca się w kierunku zamieszania.

– Skończyliście już? – pyta mojego męża, machając palcem wskazującym pomiędzy sobą a nim.

Na miejsce przyjeżdża czarny SUV. Z fotela kierowcy wyskakuje drobna brunetka z odznaką na szyi. To chyba Beth. Z siedzenia pasażera wysiada jakiś mężczyzna. May zauważa ich i kieruje się w ich stronę.

Pierś Branta faluje pod wpływem przyśpieszonego oddechu. Opiera dłonie na biodrach. Na czoło wystąpiła mu cienka warstwa potu. Biorę go pod łokieć i odciągam od zdradzieckiego brata, ciągnąc ku rodzinie, która

od tej chwili będzie nas potrzebować.

– Już po wszystkim – mówię. Opieram głowę na jego ramieniu i wracamy do May oraz dziewczynek. – *Po wszystkim.*

Wren

– Przesuń się – mówię do Evie, gdy wracam do jej szpitalnego pokoju.

Uśmiecha się, robiąc mi miejsce na łóżku. Jesteśmy tu niemal cały dzień. Lekarze i pielęgniarki wchodzą i wychodzą, zadając setki pytań i wykonując mnóstwo badań.

Evie zmienia kanały w telewizorze z taką wprawą, jakby robiła to już z milion razy.

– Jak się tego nauczyłaś?

– Pan od zapasów pozwalał mi oglądać kreskówki. Dał mi własny telewizor. I dużo zabawek.

Z tego, co powiedziała lekarzom i reszcie personelu, wynika, że nie tknął jej palcem – trzymał ją w zamkniętym pokoju i wypuszczał tylko po to, by mogła skorzystać z łazienki.

Jakby tego było mało, załatwił jej nawet lekarstwo, którego potrzebowała.

– Wren, gdzie jest mama? – pyta Evie.

Nikt jej o niczym nie powiedział.

– Pamiętasz coś z tej nocy, kiedy byłaś chora, a mama zaniosiła cię na rękach do lasu?

Evie przygryza dolną wargę i kręci głową.

– Nie. Pamiętam tylko, że obudziłam się w domu pana od zapasów.

Nie mam pojęcia, jak jej wyznać, że mama nie żyje. Jest w tak pogodnym nastroju, że wolałabym uniknąć mówienia jej prawdy tu i teraz.

– On wiedział o nas dosłownie wszystko – ciągnie Evie, jakby to było coś dobrego. Dopiero teraz dociera do mnie, że całe nasze życie spędziłyśmy

w swego rodzaju więzieniu. Najwidoczniej przetrzymywanie w pokoju nie wpłynęło na nią tak negatywnie, jak myślałam. Zabawki i kreskówki na pewno jej pomogły.

– Powiedział, że zna mamę od dawna. Nasz dom był jego starą łowiecką chatą. Dał ją mamie, żebyśmy miały gdzie mieszkać. Czy to nie miłe z jego strony?

Ciekawe, czy od samego początku wiedział, że mama nas porwała, czy może jej się wymyśliło, bo uważała go za starego przyjaciela, któremu mogła się ze wszystkiego zwierzyć? Najwyraźniej od wielu lat miała do niego zaufanie, skoro zawsze przynosił nam zapasy i sprzedawał nasze produkty.

– Gdzie jest Sage? – dopytuje Evie.

– Niedługo ją zobaczysz. – Kładąc głowę na poduszkę, przewracam się na bok i odgarniam jej z twarzy kosmyki jasnych włosów. – Mam ci tyle do powiedzenia, Evie.

Obejmuję ją za ramiona.

Na razie jedyne, czego chcę, to wdychać jej zapach, tulić ją do siebie i już nigdy nie puszczać.

Nicolette

Doktor Pettigrew prowadzi nas do pustej sali konferencyjnej na końcu szpitalnego korytarza. Siada na szczycie długiego stołu, otwiera brązową kopertę i przesuwa w naszą stronę kartkę. Brant bierze mnie za rękę. Wstrzymuję oddech.

– Są wyniki – mówi, a kącik jej różowych ust drga. – To wasza córka.

Osuwamy się na siebie bezwładnie, a Brant obejmuje mnie ramionami.

Wiedziałam. On też. Ale usłyszenie tego – zobaczenie na własne oczy – sprawia, że ten fakt staje się jeszcze bardziej realny.

– Kiedy powinniśmy jej powiedzieć? – pyta Brant.

Przez ostatnie trzydzieści sześć godzin dotrzymywaliśmy Evie towarzystwa w szpitalu, dbaliśmy, by było jej wygodnie, i angażowaliśmy się w każdy aspekt opieki nad nią – na tyle, na ile pozwalał nam szpital. Bez legalnego dowodu, że jest naszą córką, musieliśmy zachowywać dystans. Gdy spytała, kim jesteśmy, Wren nazwała nas dobrymi ludźmi, którzy dali jej dach nad głową i chcieli jej pomóc.

Pettigrew unosi lewą brew.

– Szczerze? Im szybciej, tym lepiej. Będę bardziej niż szczęśliwa, umożliwiając wam tę rozmowę.

– Chciałabym powiedzieć jej to osobiście – mówię, przenosząc spojrzenie między nimi. – To wszystko wydarzyło się z mojej winy.

Te słowa nabierają innego, o wiele poważniejszego znaczenia, gdy wypowiadam je na głos zamiast dusić w sobie. Są o wiele prawdziwsze. Nie miałam czasu, by wszystko odpowiednio przemyśleć, uporać się

z poczuciem winy, które znacznie mnie przygniatać z coraz większą siłą w miarę poznawania córki. Jedyne, co mogę zrobić, to z niczym się nie spieszyć i szukać oparcia w mężu, gdy sytuacja znacznie mnie przerastać.

– Nick, to nie była twoja wina. – Brant sięga przez stół i przykrywa dłonią moją dłoń. – Byłaś chora. Przestań się o to obwiniać.

– Łatwiej powiedzieć niż zrobić.

Ciepło jego dłoni i spokój zielonych oczu dają mi ukojenie. I przypominają, że Hannah nie jest jedyną osobą, której wyrządziłam krzywdę.

Nigdy nie powinnam była w niego wątpić. Nigdy nie powinnam była spodziewać się najgorszego po osobie, która kocha mnie najbardziej na świecie.

Powiem mu to i do końca życia będę starała się mu to wynagrodzić, ale wszystko po kolei.

– Jak mamy do tego podejść? Od czego zacząć? – pyta Brant.

Doktor Pettigrew zastanawia się, przygryzając usta.

– Bądźcie na tyle bezpośredni, na ile jest to możliwe, unikając dyskomfortu. Mówcie prosto z serca. Nie ma idealnego ani łatwego sposobu na wytłumaczenie tego, co się stało. Ale jako jej biologiczni rodzice, a także przyszli prawni opiekunowie, najlepiej wytłumaczycie jej, co zaszło i dlaczego z wami zamieszka.

Wstaję z krzesła i poprawiam bluzkę.

– Gotowy? – pytam Branta.

Mój mąż podnosi się z miejsca, kiwając głową.

– Chcecie, żebym wam towarzyszyła? – pyta doktor Pettigrew.

– Raczej nie – mówię. – Ale dziękuję.

Kobieta przytakuje, a ja podchodzę do Branta i biorę go za rękę. Wracamy na drugi koniec korytarza. Pukamy lekko do drzwi, po czym wchodzimy do pokoju Evie.

Wren leży obok niej na łóżku. Śmieją się z jakiejś kreskówki, którą oglądają.

– Wren, mogłabyś zostawić nas na chwilę samych? – pyta Brant, chrząkając dyskretnie.

Wren siada, odgarnia włosy z twarzy, po czym wychodzi z pokoju

i zamyka za sobą drzwi. Evie prostuje się na łóżku, przyglądając się nam obojgu. Jej uśmiech blednie.

Siadamy na krzesłach po obu stronach szpitalnego łóżka. Brant kiwnięciem głowy daje mi znak, że mogę zaczynać. Z trudem udaje mi się zebrać myśli.

– Evie, czy wiesz, kim jesteśmy?

– Jesteście Brant i Nicolette. Pomagacie Wren.

– Zgadza się, ale jesteśmy kimś więcej. Kiedy opuścisz jutro to miejsce, pojedziesz do domu razem z Wren, do naszego domu... który stanie się również twoim domem.

Marszczy jasne brewki.

– Nie rozumiem.

– Twoja mama – mówię – ta, która was wychowała... nie jest osobą, za którą ją uważasz.

– Co?

– Ona was porwała. Całą waszą trójkę – dodaję łagodnym głosem. – Wiesz, co to oznacza?

Evie kręci głową.

– Nie byłyście jej dziećmi. Ukradła was waszym prawdziwym mamom i wychowywała jak swoje córki. – Tak bardzo bym chciała wyciągnąć dłoń, odgarnąć jasne włosy z jej niezwykłych zielonych oczu i uścisnąć jej słodką, małą rączkę. Wszystko w swoim czasie. – To bardziej skomplikowane, niż się może wydawać. Któregoś dnia usiądziemy i opowiemy ci wszystko, co tylko będziesz chciała wiedzieć, ale chodzi o to, że... ona ukradła mi ciebie, gdy miałaś zaledwie kilka dni.

Dokładnie w ten sposób opisała to policja. Stwierdzili, że to porwanie, ponieważ byłam w złym stanie psychicznym i nie mogłabym dobrowolnie oddać własnego dziecka.

Evie przenosi spojrzenie na lecaącą w telewizji bajkę.

– Gdzie jest mama? – pyta chwilę później.

Na pewno potrzebuje więcej czasu na zrozumienie wszystkiego, co powiedziałam, terapii z doktor Pettigrew i lepszego przystosowania do nowej rzeczywistości. To będzie długi proces, ale wpatrując się w prześliczne oczy mojej córki, napełniam się wyłącznie nadzieją.

Cuda zdarzają się każdego dnia.

Właśnie patrzę na jeden z nich.

– Bardzo mi przykro, kochanie – mówię, rozpaczliwie pragnąc wziąć ją za rękę. – Została poważnie ranna w lesie i... nie ma jej wśród nas.

Evie odwraca się do mnie po chwili ciszy. Drżą jej usta.

– Nie żyje?

– Tak, skarbie. Bardzo mi przykro.

Moja córka zaczyna płakać nad jedyną matką, jaką знаła, a ja nie potrafię się dłużej powstrzymać. Siadam na łóżku obok niej i tulę ją w ramionach, pozwalając jej wypłakać się w moją bluzkę. Opieram brodę na czubku jej głowy.

Patrzę na Branta, a on kiwa uspokajająco głową.

Rozmyślanie o wszystkich utraconych chwilach, o jej pierwszych krokach, słowach i innych przełomowych momentach, napełnia mnie bezbrzeżnym smutkiem, ale spoglądanie w przyszłość i myślenie o wspomnieniach, które wspólnie stworzymy, napawa mnie radością, której mogłaby zaznać jedynie matka.

Wren

– Wren! – woła z kuchni Brant. – Możesz tu na chwilę przyjść?

Odkładam książkę i delikatnie zsadam Evie z kolan, na których wylegiwała się cały dzień w różowej piżamie w jednoróżce, oglądając kreskówki o gadających myszach. Brant nazywa to „wylegiwaniem”. Nicolette mówi, że właśnie tym ludzie zajmują się w weekendy, i że to żaden wstyd odpoczywać.

Myślę, że mogłabym do tego przywyknąć.

Evie jest jednym z Gideonów od niemal tygodnia, i jak na razie adaptuje się zgodnie z oczekiwaniami. Któregoś razu usłyszałam, jak doktor Pettigrew mówi, że młodsze dzieci są odporniejsze i lepiej znoszą zmiany. Potem nazwała Evie „idealnym przykładem” tego zjawiska, choć nie bardzo wiem, co miała przez to na myśli.

Przechodzę niechętnie do kuchni, gdzie zastaję Branta z telefonem w ręce. Kładzie go na stole ekranem do góry.

– Skontaktowała się z nami pewna osoba – mówi. – Członek twojej rodziny. Właśnie otrzymaliśmy potwierdzenie, że jest tym, za kogo się podaje.

Przykładam dłoń do piersi, po czym dotykam palcami szyi. Pocieram kciukiem obojczyk, próbując sobie wyobrazić, kto to może być, i jednocześnie nie rozbudzać niepotrzebnie nadziei.

– Chce z tobą porozmawiać – mówi Brant, a jego oczy błyszczą, gdy wskazuje na telefon. – Zapisałem jej numer. Możesz zadzwonić teraz albo kiedy indziej, gdy będziesz gotowa.

Biorę do ręki jego komórkę i siadam przy stole.

– Chcę zadzwonić teraz – mówię, choć serce wali mi jak młot, a dłonie pokrywa cienka warstwa potu. Nie jestem pewna, czy wytrzymam kolejną noc z setkami pytań huczącymi mi w głowie i niedającymi zasnąć.

– Jesteś pewna?

Kiwam głową, a on bierze telefon i stuka w niego palcami, aż w końcu na białym tle pojawia się czyjeś imię – Katrina – oraz numer.

– Wszystko gotowe. Wystarczy, że wciśniesz „połącz”.

Chrząkam, biorę dwa głębokie wdechy i wciskam przycisk, po czym przysuwam telefon do prawego ucha. Rozlegają się trzy długie sygnały, a potem nic.

– Halo? – pyta jakaś kobieta.

– Halo – mówię. Serce dudni mi w uszach.

– Wren. – Głos kobiety po drugiej stronie jest tak głośny, że muszę na chwilę odsunąć telefon. – O mój Boże!

– Przepraszam, kto mówi?

Brant uśmiecha się, stojąc z założonymi rękami i obserwując sytuację. Najwyraźniej słyszy każde jej słowo.

– Twoja ciocia Trina. – Mówi w zabawny sposób, przeciągając każdą sylabę. – Wiedziałam, że ten dzień w końcu nadejdzie. O. Mój. *Boże*. Przepraszam. Nie chciałam być natrętna, ale nie masz pojęcia, jak długo się o to modliłam. Wiedziałam, że nie bez powodu dobry Bóg chciał, żebym zrobiła jeden z tych testów genetycznych.

Śmieje się w taki sposób, że zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem też nie płacze.

– Brant mówił, że szukasz mamy i taty – dodaje z westchnieniem, które podpowiada mi, żebym się przedwcześnie nie ekscytowała. – Skarbie, nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale... oboje zmarli mniej więcej siedemnaście lat temu.

Moje oczy wypełniają się łzami. Odwracam się, by Brant ich nie widział.

– Miał miejsce wypadek samochodowy. Twój tata siedział za kierownicą. Nie było żadnych świadków, a zanim na miejsce dotarła pomoc, oboje już nie żyli – mówi stłumionym, łamiącym się głosem. – A twój fotelik... twój fotelik był pusty. Policja uznała, że ktoś tamtędy przechodził i cię zabrał.

Świat jest pełen niegodziwych ludzi. – Cmoka z dezaprobatą. – Możesz wyszukać tę historię w internecie. Media nazwały cię Małą Felicity. Przez długi czas nie mówili w telewizji o niczym innym, tylko o tym.

– Felicity? – pytam. Usłyszenie swojego prawdziwego imienia na chwilę odwraca moją uwagę od złych wieści.

– Tak. Tak miałaś na imię. A raczej nadal *masz*. Felicity Hollingsworth. W każdym razie, znalezienie cię okazało się niemożliwe. Nie było żadnych świadków, dowodów ani poszlak. Mimo to nigdy o tobie nie zapomnieliśmy. Nawet przez chwilę. Nadal trzymam twoje zdjęcie z dzieciństwa na komodzie. Zabierałam je ze sobą za każdym razem, gdy się przeprowadzałam.

Ciotka Trina sprawia wrażenie miłej i pełnej życia, dobrej, jak tamta kobieta o żółtych włosach z moich wspomnień.

– Bardzo chciałabym cię poznać, Wren. Im szybciej, tym lepiej. Mieszam w Dallas w Teksasie, ale jeśli chcesz, mogę załapać się na najbliższy lot do Nowego Jorku.

– Oczywiście, z przyjemnością – mówię. Moje łzy obsychają. Nie mogę przestać się uśmiechać.

– Widziałaś kiedyś zdjęcie swoich rodziców?

– Nie.

– Jak tylko skończymy rozmawiać, wyślę ci jedno na ten numer. Co ty na to? A kiedy przyjadę cię odwiedzić, zabiorę ze sobą kilka albumów.

– Bardzo chętnie, dziękuję – mówię, kiwając głową, choć przecież i tak mnie nie widzi.

– Świetnie. Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę, że jesteś cała i zdrowa. I wręcz nie mogę się doczekać naszego spotkania. Będziemy w kontakcie.

Trina rozłącza się, a po trzydziestu sekundach przychodzi pierwsza wiadomość ze zdjęciem.

To ona.

Kobieta o żółtych włosach.

Moja mama.

Nicolette

– Porwanie i zabójstwo pierwszego stopnia – mówi Brant, odkładając telefon.

– To zarzuty, które postawiono Davisowi?

Od czasu znalezienia naszej córki minęły prawie dwa tygodnie, choć wspomnienie tego jest tak wyraźne, jakby to stało się wczoraj. Czasami, gdy zamykam oczy, słyszę wycie syren i widzę powódź czerwono-niebieskich świateł zalewających bok przyczepy Davisa. Jestem pewna, że widok zaspanej i lekko wystraszonej twarzy naszej córki już na zawsze pozostanie w mojej pamięci.

Pierwszego wieczora po przyjeździe ze szpitala, w którym zostawiliśmy Evie, Brant chodził z pokoju do pokoju, wyrywając z ramek każde zdjęcie Davisa. Pozbył się wszelkich pamiątek z dzieciństwa, które przypominały mu o bracie.

Gdy wrzucił pudło ze zdjęciami do kosza na śmieci, spytałam, czy chce o tym pogadać. Brant wsparł dłonie na biodrach, spojrzał po raz ostatni na śmieci i zatrzasnął pokrywę.

„Nie ma takiej potrzeby”, powiedział po wszystkim. „Hannah wróciła. Nic więcej się nie liczy”.

I w ten oto sposób odzyskałam swojego łagodnego, życzliwego i pełnego optymizmu męża.

Przesuwam się na jego połowę łóżka, układając wokół siebie kołdrę.

– Tak. May mówi, że Davis wszystko zaplanował. Gdy Maggie potrzebowała lekarstw dla Evie, zamiast nich dał jej skażone witaminy.

Wiedział, że dziewczynka rozchoruje się po nich na tyle poważnie, że będzie wymagała opieki lekarza. Wygląda na to, że Maggie była w posiadaniu telefonu satelitarnego, którego używała w nagłych wypadkach. Zadzwoiła do niego tamtego wieczoru, a on spotkał się z nimi w lesie. Zabił Maggie i porwał Evie.

– Skąd wiedział, że Evie jest naszą córką? I od jak dawna?

– Odkrył to dopiero niedawno, jakiś rok temu. Twierdzi, że Maggie mówiła mu wiele rzeczy, a on powoli zaczął składać je w jedną, sensowną całość. Ufała mu. Wszystko wskazuje na to, że pracował z jej mężem w fabryce, zanim tamten umarł.

– Co zamierzał zrobić z Evie?

Brant wzrusza ramionami.

– Szczerze? Myślę, że chciał wyłudzać od nas pieniądze tak długo, jak się dało.

Davis nigdy nie patrzył na nic z szerszej perspektywy i nigdy nie robił dalekosiężnych planów. Nie interesował się tym, co będzie dalej. Wątpię, by wybiegał myślą daleko w przyszłość. Temu idiotcie wydawało się pewnie, że będzie nas okradał w nieskończoność.

– Przynajmniej nie zrobił jej krzywdy.

– Dużo można o nim powiedzieć, ale wątpię, by był w stanie skrzywdzić niewinne dziecko, nie mówiąc już o kimś z rodziny.

Dochodzę do wniosku, że lepiej nie mówić Brantowi, że się z nim nie zgadzam. Skoro jego brat był zdolny do wymuszeń i więził Evie dla własnych korzyści materialnych, to mógł być zdolny do wszystkiego. Na razie wolę skupiać się na pozytywnych rzeczach. Na patrzeniu w przyszłość, byśmy wszyscy mogli uleczyć swoje rany i na powrót stać się rodziną.

– Mama i tata przyjeżdżają w ten weekend. Nie mogą się doczekać, aż ją poznają – mówię. – Wren też.

Wren stała się członkiem naszej rodziny. Wczoraj wieczorem rozmawiałam przez godzinę ze swoją matką, zapewniając ją, że bardzo polubi Wren. Opowiadałam o jej wytrwałości, inteligencji i tym, jaka byłam z niej dumna, że zachowała siłę i odwagę w obliczu wszystkiego, co ją spotkało.

„Mówisz o niej, jakby była twoją własną córką”, powiedziała na koniec moja mama.

Przeleżałam w łóżku większość nocy, próbując wyobrazić sobie, jak teraz będzie wyglądać nasza przyszłość, i każdy wymyślony przeze mnie scenariusz łączyła jedna rzecz: Wren.

Przez dziewięć lat Wren kochała Evie, troszczyła się o nią i zapewniała jej bezpieczeństwo. Jedyne, co mogę zrobić, to zapewnić ją, że Evie już zawsze będzie jej siostrą, a ona będzie mogła z nami zostać jako członek naszej rodziny.

– Możemy ją adoptować? – pytam. – Wiem, że ma prawie dwadzieścia lat, ale chyba nadal możemy to zrobić, prawda? O ile będzie chciała.

Jest milion rzeczy, na których musimy się teraz skupić: poznać lepiej Evie, zadbać o to, by się przystosowała, dążyć do sytuacji, w której poczuje się na tyle komfortowo, że zacznie wracać się do nas inaczej niż po imieniu. Mimo to w moim sercu tkwi drobne, ale niedające spokoju zmartwienie, gdy myślę o Wren i o tym, co się z nią stanie. Cokolwiek to będzie, chcę, byśmy byli tego częścią.

Brant kładzie się obok mnie, pochylając się, by skraść mi całusa.

– Możemy. I powinniśmy.

Wren

Pół roku później

Sześć dni.

Tylko tyle dzieli nas od wyjazdu do Miami. Brant i Nicolette zabierają nas w odwiedziny do ich wspólnej znajomej, Cate.

Skreślałam czarnym krzyżykiem dzisiejszą datę na przezroczystym, plastikowym kalendarzu wiszącym na bocznej ścianie lodówki. Ostatni dzień miesiąca jest zakreślony różowym serduszkim – to data przesłuchania w sprawie adopcji z sędzią sądu rodzinnego. Gideonowie nalegali na to, by mnie adoptować, mimo faktu, że jestem pełnoletnia. Chcieli przeprowadzić całą procedurę „przez odpowiednie instancje”, co wiązało się ze spotkaniami z ludźmi w garniturach i podpisaniem całej sterty dokumentów. Powiedziałam, że nie muszą tego robić, ale nalegali, mówiąc, że rodzina Evie to także ich rodzina.

Dopiero w momencie, w którym ich do siebie przytuliłam, dotarło do mnie, jak bardzo pragnęłam być częścią ich rodziny. Bardzo się ze sobą zżyliśmy, a oni okazali mi wielką dobroć, pomagając kierować tym nowym życiem i ucząc mnie rzeczy, o których istnieniu nigdy nie słyszałam. Poza tym nie wyobrażałam sobie, bym mogła opuścić Evie.

Nicolette powiedziała, że o tej porze roku na Florydzie jest bardzo gorąco i że nie będziemy potrzebować tony ubrań. Brant uznał, że pewnie i tak spędzimy większość czasu na pływaniu albo przeczesywaniu plaży w poszukiwaniu pięknych muszli. Obiecał, że nauczy nas pływać, jak tylko dotrzemy na miejsce.

Evie nie może się doczekać. Brant pokazał jej na filmiku, czym jest pływanie, i teraz mówi wyłącznie o tym. Właściwie to Evie mówi wyłącznie o tym, co pokazuje albo czego uczy ją Brant. Chodzi za nim jak cień, bez przerwy podglądając, co robi, i zadając setki pytań. Zeszłej nocy usłyszałam, jak Nicolette mówi Brantowi, że uwielbia patrzeć, jaki jest cierpliwy w stosunku do Evie. Powiedział jej wtedy, że czekanie dziewięć lat na to, by przytulić własną córkę, sprawia, że cierpliwość przychodzi z łatwością.

Brant robi mi zdjęcie, jak skreślam datę w kalendarzu. Nie wiedziałam, że tam stoi. Często to robi – zdjęcia, które nazywa „szczerymi ujęciami”. Mówi, że są wtedy lepsze i za każdym razem, gdy widzimy go z aparatem w ręku, każe nam udawać, że wcale go tam nie ma. Nicolette mówi, że pracuje nad jakąś rodzinną serią fotografii na kolejną wystawę i że w przyszłym roku pojedziemy do Berlina, żeby móc obejrzeć jego prace w muzeum sztuki.

Jesteśmy osobliwą, małą rodziną, ale po raz pierwszy w życiu czuję, że jestem w domu.

Podziękowania

Ogrom podziękowań należy się osobom, które ciężko pracowały, by ta książka mogła powstać: Jill Marsal, Jessice Tribble i Charlotte Herscher. Dziękuję za wasz najwyższej klasy profesjonalizm, nieustające wsparcie i słowa zachęty.

Dziękuję moim pierwszym redaktorkom: Pameli Hull, Deannie Finn i Ashley Cestra. Ta książka nie byłaby tym, czym jest dzisiaj, bez waszych bezgranicznej pasji do czytania, zmyślnych sugestii i oka do szczegółów.

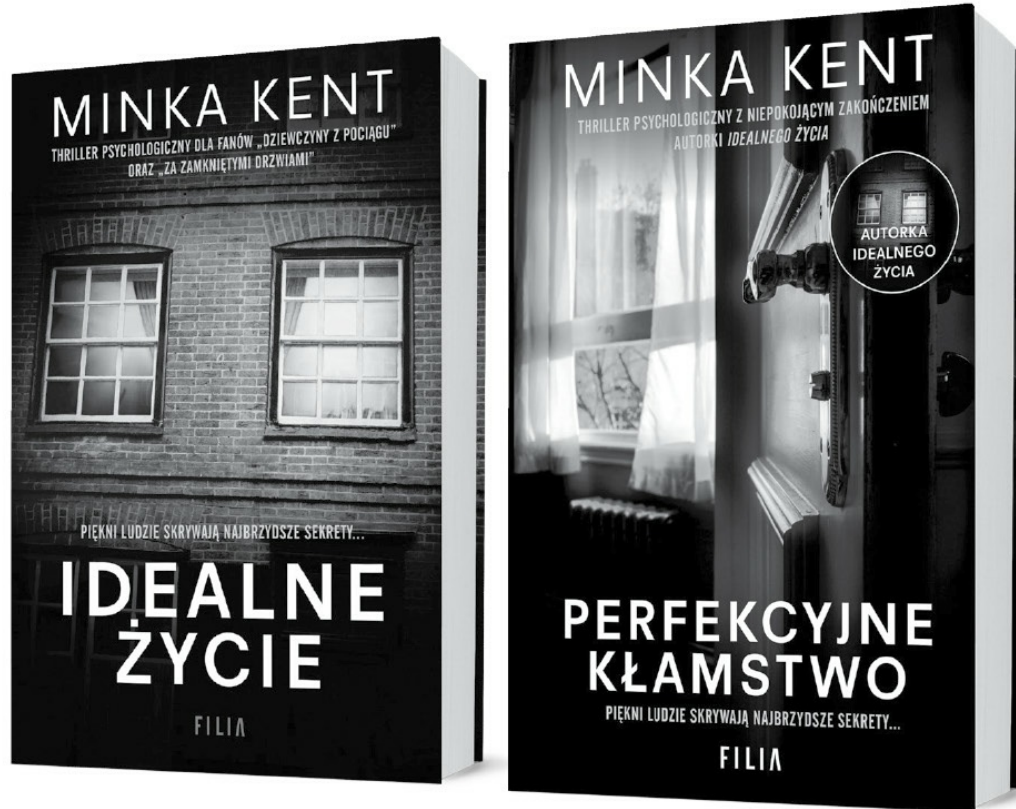
Dziękuję Chuckowi, Max, Kat, Marin i Jennifer – mojemu kręgowi wspaniałych, utalentowanych i zaufanych autorów, których mam przywilej nazywać przyjaciółmi. Dziękuję, że pozwoliliście mi dać upust swoim pomysłom i podzieliliście się opiniami na ich temat, oraz za to, że mogę uprzykrzać wam życie, kiedy robię sobie „przerwę” od pisania.

Dziękuję mojemu mężowi i dzieciom za to, że nigdy nie czuję się winna, gdy nad głową wisi mi widmo kolejnego terminu, a równowaga między moją pracą i życiem osobistym jest kompletnie zachwiana. Jesteście moją opoką i całym moim światem.

O autorce

Minka Kent to autorka bestsellerów „Washington Post”. Napisała *The Thinnest Air* (*Perfekcyjne kłamstwo*), *The Perfect Roommate* oraz *Idealne życie* (*The Memory Watcher*) – powieść, na podstawie której wytwórnia NBCUniversal planuje zrealizować film. Jest absolwentką Uniwersytetu Stanowego Iowa. Mieszka w Iowa wraz z mężem i trójką dzieci. Aby dowiedzieć się więcej, wejdź na www.minkakent.com albo www.facebook.com/authorminkakent.

PIĘKNI LUDZIE SKRYWAJĄ NAJBRZYDSZE SEKRETY



Bestsellerowe thrillery psychologiczne z niepokojącym zakończeniem.

FILIA

Tytuł oryginału: *The Stillwater Girls*

Text Copyright © 2019 by Nom De Plume LLC. All Rights Reserved.
Copyright for the Polish edition © 2020 by Wydawnictwo FILIA

This edition is made possible under a license arrangement originating with Amazon Publishing, www.apub.com, in collaboration with Graal, SP. Z.O.O.

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2020

Zdjęcie na okładce: © Stephen Mulcahey/Arcangel

Redakcja: Katarzyna Smardzewska / panbook.pl

Korekta: Kamila Sowińska / panbook.pl

Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-155-5

FILIA

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona

mrocznastrona.pl

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)